

**CZARNA SERIA**  
KRYMINAŁ



# Åke Edwardson

Park Marconiego

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!  
Dwunasty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

*Said I loved you... but I lied*

Michael Bolton, Said I Loved You... But I Lied

# Åke Edwardson

Park Marconiego

przełożyła Inga Sawicka

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2014

Dla Hanny i Kristiny

KOMISARZ POLICJI KRYMINALNEJ ERIK WINTER poczuł zapach wiosny. Znów nadchodzi, chwała na wysokości. Nagle odczuł radość, jak ktoś, kto już myślał, że zapomniał, jak to jest. Szedł przez Kungstorget i zrobił nawet kilka tanecznych kroków. Chociaż nie, nie zrobił, miał zamiar, ale coś go powstrzymało. Może paczka, którą niósł pod pachą. Miał w niej łopatkę jagnięcą, kilka coburgerów i puszkę sardeli. Szedł do domu. Miał być sam, chociaż człowiek stojący przy kuchni nigdy nie jest sam. Będzie nacierał jagnięcinę ziołami i czosnkiem i popijał whisky, ale tylko szklaneczkę. Człowiek mający pod ręką szklaneczkę whisky również nigdy nie jest sam.

Była już szósta po południu, ale wciąż widno. Samo w sobie było to powodem do radości. Pomyślał o Angeli, Elsie i Lilly. Jeszcze trzy miesiące i ich rodzina będzie już na zawsze razem.

W górnej kieszonce jego marynarki zawibrował telefon. Wyjął go, spojrział na wyświetlacz i przyłożył do ucha. Headset to nie dla niego, słuchawki nie byłyby dobre na szумы uszne señora Wintera. Na to nic nie jest dobre, nawet najlepsza whisky, nawet Coltrane.

- Hola! – powiedział.
- Jak wesoło to powiedziałaś! – zauważyła.
- Bo mi wesoło.
- Bardzo mnie to cieszy.
- Mnie też.
- Tak cię słychać, jakbyś był na dworze.
- Zgadnij gdzie.
- Kungstorget?
- Zgadłaś.
- Szkarłacica?
- Nie.

- Wątrobianka?
- Blisko, ale to nie to.
- Jagnięcina.
- To nawet nie było pytanie – zauważył.
- A u nas pada – powiedziała.
- Do Göteborga przyszła wiosna.
- To się ciesz.
- Nie powiedziałaś tego tak, jakbyś się cieszyła.
- A kto powiedział, że ja się cieszę?
- Ty, dopiero co.
- To było chwilowe.
- Angelo, co się dzieje?
- Sama nie wiem.
- Przecież niedługo się zobaczymy.
- Za trzy miesiące – powiedziała.
- No co ty opowiadasz, zobaczymy się wcześniej.
- Przekonamy się.
- To zabrzmiało naprawdę niepokojąco.
- Coś się stanie, Eriku, a ty znikniesz.
- Zniknę?
- Zapadniesz się w siebie.

Jeśli rzeczywiście stało się to tu, w tym miejscu, musiało to być w nocy. Do tego mniej więcej sprowadzała się opinia lekarza sądowego. Pia E:son Fröberg powiedziała to Erikowi Winterowi na krótko przed świtem. Stała w krzakach na małym skwerku przed domem kultury w dzielnicy Frölunda. Po drugiej stronie, w otwartym tunelu, znajdował się przystanek tramwajowy. Właśnie wyjechały pierwsze tramwaje. Wszędzie dookoła beton i szkło, stary beton i nowy.

Winter przyglądał się postaci leżącej na ziemi. Ofierze. Mężczyźnie, to akurat było widać, bo spodnie i kalesony miał ściągnięte poniżej kolan, a genitalia odsłonięte. Ręce związane na plecach, kostki nóg związane sznurkiem. Na głowie foliowa torba, zacisnięta na szyi. Nachylił się, żeby przez niebieską folię spojrzeć na profil zmarłego. Jego twarz wyglądała tak, jakby była pod wodą. Pamięć Wintera wykonała skok w czasie. W dwie sekundy wrócił do wydarzeń sprzed dwóch lat i do

zamazanego obrazu, który miał przed oczami, gdy jego ciało opadało na dno, ku śmierci. Ale nie umarł wtedy, stoi tu, a jedyną pamiątką po tym, że otarł się o śmierć, jest nieustanny szum w uszach, jak szum wzburzonego morza. Ten mężczyzna na ziemi jest już bardzo daleko od życia. Lekarka chyba powiedziała coś o traumie i jeszcze coś, czego nie dosłyszał. Pod folią była krew, na pewno krew, chociaż w nijakim świetle padającym z nijakiego nieba wydawała się raczej czarna niż czerwona. Spojrzał w górę. Nic tam nie było. Znów spojrzął w dół.

– Musiał chyba być nieprzytomny, kiedy mu naciągano torbę na głowę – powiedział.

Pia Fröberg nie odpowiedziała.

– Inaczej jednej osobie byłoby chyba trudno – ciągnął.

– Chcesz powiedzieć, że sam to zrobił? – powiedziała, odwracając się do niego. Nie uśmiechała się. Czarny humor.

– To bardzo wątpliwe – odparł. Ze znajdującego się poniżej tunelu powiało chłodem.

Wpatrywał się w literę leżącą na zwłokach: wielkiemu czarnemu R. Napisano je ręcznie na białym, pośpiesznie i krzywo oddartym kawałku pudełka, chyba od tortu. Wyglądała, jakby została zapisana ze złością, gniewnym pociągnięciem grubego pędzla. Kontury trochę się rozlały, jak to czarne na twarzy nieboszczyka pod folią. Ta folia wygląda jak szyba, pomyślał, jak szyba, przez którą teraz może patrzeć, jakby to był jakiś przywilej. Naszło go znajome paskudne przeczucie, że jeszcze będzie to oglądał. Wiatr zawirował w tunelu i wrócił do niego. Zginie w tym wietrze.

– Facet najwyraźniej lubi torty – odezwał się komisarz Fredrik Halders. Zespół dochodzeniowy zebrał się na pierwszej odprawie.

– Który facet? – spytał komisarz Bertil Ringmar.

– To nie jest zabawne – powiedziała inspektor Aneta Djanali.

– Ani trochę.

– Taki czarny humor – odparł Halders.

– To chyba rzeczywiście było pudełko po torcie – odezwał się Winter. – Öberg już sprawdza.

– No proszę – odparł Halders.

– Ile takich pudełek może krążyć po mieście? – zastanawiała się inspektor Gerda Hoffner.

– Tyle samo co tortów – odparł Halders. – Nawiasem mówiąc, mój stary był cukiernikiem.

– No to przesłuchasz cukierników – stwierdził Winter.

– Żartujesz?

– Taki czarny humor.

Gerda Hoffner zaśmiała się.

– Widzę, że ktoś tu ma poczucie humoru – zauważył Halders.

– To nie jest zabawne – powtórzyła Aneta.

– Fakt. To morderstwo rzeczywiście nie jest zabawne – powiedział Winter.

Niebo za oknem było błękitne, błękitne jak nieskończoność i tak samo odwieczne. Była w nim odpowiedź, samotny, rozpaczliwy krzyk z przeszłości. Przeszłość to bardzo długa wyprawa do piekła, pomyślał Winter. Odwrócił się od okna, kiedy Ringmar zapukał w otwarte drzwi.

– Permesso?

– Oczywiście, wejdź, Bertilu.

Ringmar wszedł do pokoju i usiadł w fotelu naprzeciw biurka. Winter nadal stał przy oknie. Słońce świeciło mu w plecy, ale było tak samo zimne jak wiatr na dworze.

– Co my tu mamy? – spytał Ringmar.

– Zemstę – odparł Winter.

– Za co?

Winter nie odpowiedział. Zza okna dobiegł jakiś odgłos. Odwrócił się. Przeleciały trzy czarne ptaki, krzyczały coś w niebo.

– Zemstę za co? – powtórzył Ringmar.

– Za coś, co się stało w przeszłości – odpowiedział Winter. Już był gotów do tej rozmowy. To była ich metoda. Wymiana



luźnych myśli i skojarzeń, które mogłyby ich poprowadzić wstecz, a potem do przodu.

– W odległej przeszłości? – spytał Ringmar.

– Niezbyt odległej.

– Dziesięć lat?

– Mniej – powiedział Winter.

– Zemsty za coś, co się stało niedawno?

– Tak.

– Zemsty za przemoc?

– Tak.

– Na kobiecie innego mężczyzny?

– Tak.

– Na mężczyźnie innego mężczyzny?

– Nie.

– Mogło tak być.

– Owszem.

– Mogło też być całkiem co innego.

– Tak – odparł Winter. – I to jeszcze dawniej.

– Więcej niż dziesięć lat temu – powiedział Ringmar. – Co się wtedy stało?

– Coś, czego nie da się zapomnieć – odparł Winter.

– Zamordowany miał goły tyłek – przypomniał Ringmar.

Zamordowanym był niejaki Robert Hall, pobity do nieprzytomności, a potem uduszony foliową torbą, co może należałoby uznać za akt miłosierdzia.

– Został powalony jakąś pałką, bo to był jedyny sposób – zauważył Ringmar.

Winter przytaknął.

– Hall nie należał do mężczyzn drobnej postury – dodał Ringmar.

– A my szukamy gościa drobnej postury? – spytał Winter.

– Może kobiety?

– Nie.

– Nie?

– Nie, nie szukamy kobiety, w każdym razie nie jako sprawcy.

– Cherchez la femme – powiedział Ringmar. – Tak czy

inaczej.

- Myślałem, że trzeba raczej iść za pieniędzmi.
- Też.
- Nie chodzi o pieniądze – zaproponował Winter.
- Tylko o gniew.
- Wielki gniew.
- Dlaczego właśnie tam?
- Bo to jedyne miejsce, gdzie nie było ich widać – stwierdził

Winter.

- To była zaplanowana zbrodnia?
- Odpowiedź brzmi: tak.
- W takim razie zabójca mieszka niedaleko – powiedział

Ringmar.

- Niekoniecznie – uznał Winter.
- Mieszka niedaleko – powtórzył Ringmar.
- Poczekamy, zobaczymy.
- Na co?
- Na następną ofiarę.

Winter pojechał z powrotem na Marconigatan i zaparkował na południe od torów tramwajowych. Zmierzczało, beton wyglądał jak pokryty matową błoną. Wysiadł z samochodu. Grupa uczniów, gimnazjalistów, zeszła po schodach domu kultury i zatrzymała się przy policyjnej taśmie. Nie widział dokładnie ich twarzy, ale i tak wiedział, że są zafascynowani tym, że to nie film ani powieść kryminalna. Nauczyciel próbował ich pogonić, może do szkoły, ale dzieciaki nie przestawały się wpatrywać w funkcjonariuszy w fajnych czarnych skórach. Może któryś się zgodzi dać autograf. Technicy kryminalistyki, ryjący z tyłu jak śmieciarze, nie byli już tak szykowani.

Torsten Öberg podniósł wzrok. Spojrzał na stojącego nad nim Wintera.

- Całkiem przyzwoite ślady.
- Czego? – spytał Winter.
- Butów.

– Aha.

Öberg wstał. Niedawno dostał oficjalny awans na szefa wydziału technicznego, którym nieoficjalnie kierował od wielu lat. Jakby urósł. Zrobił się prawie tak wysoki jak Winter.

– Ciągnął go kilka metrów po ziemi, w krzaki.

– Aha.

– Uderzenie w potylicę.

– Pia powiedziała, że tylko jedno.

– A potem naciągnął mu ten kaptur.

– Przedtem ściągnął Hallowi spodnie.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś miał do tego osobisty stosunek.

– Co takiego?

– Ściągnął Hallowi spodnie.

– No to ściągnął ofierze spodnie – powiedział Winter.

– Nie. Wydaje mi się, że najpierw włożył mu torbę na głowę. Zresztą nie wiem. Trzeba będzie zrobić wizję lokalną, odtworzyć to cholerstwo. Ale myślę, że chciał się upewnić, że facet nie żyje.

Winter nic nie powiedział.

– O czym myślisz, Eriku?

– O szaleństwie – odparł Winter.

– W jego piśmie jest agresja – stwierdził Öberg.

– Co jeszcze da się o tym powiedzieć?

– To litera R.

– Znam alfabet – powiedział Winter.

– Została namalowana energicznie – dodał Öberg. – To jedyne, co mogę powiedzieć.

– Potrzeba nam więcej liter – stwierdził Winter.

– To życzenie?

– Nie, szaleństwo.

ROBERT HALL MIESZKAŁ w dzielnicy Järnbrott, niezbyt daleko od miejsca, gdzie znaleziono jego ciało i gdzie prawdopodobnie został zamordowany.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi z kuchnią. Okna i przeszklone drzwi w kuchni i dużym pokoju wpuszczały mnóstwo światła. Padało od północy. Winter wyszedł na balkon i spojrzał na dwa stare korty tenisowe, niewielkie boisko do piłki nożnej i budynki, które wyglądały na szkołę. No oczywiście, to Frölundaskolan. Boisko ma zniknąć, tak słyszałem. Mają zagęścić. Za dużo przestrzeni i światła, no i trawy, oczywiście z wyjątkiem boiska.

Robert Hall był rozwiedziony, jego była żona mieszkała z dziećmi w Borås. Niedaleko uciekła, pomyślał Winter, wciągając do płuc powietrze pełne wiosny i życia. Sąd powierzył Linnei Hall władzę rodzicielską nad dwojgiem ich wchodzących w wiek dojrzewania dzieci, synem i córką. W tamtej chwili nie pamiętał ich imion. Matka jako jedyna opiekunka, to oczywiście coś znaczy. Aneta już wyruszyła do Borås. Nigdy tam nie byłam, powiedziała na porannej odprawie. Boże, odezwał się Halders, jak to możliwe? Mają tam zoo i inne rzeczy.

Winter usłyszał, że w szkole dzwoni dzwonek. Nigdy nie lubił tego dźwięku. Kojarzył mu się z brakiem wolności, jak wszystko, co się wiązało ze szkołą. Nawet dzwonek na przerwę nie dawał mu poczucia wolności, nawet ten pod koniec dnia, bo wiedział, że jutro znów zadzwoni na lekcje. Nie było wyjścia, tak miało wyglądać całe jego dzieciństwo i młodość, a potem dorosłość i starość. Zrozumiał to wcześniej, aż za wcześniej. Czasem zadzwoni na przerwę, dzwonek cholerny, ale zawsze zadzwoni na lekcję. Może nawet jego decyzja, żeby zostać policjantem, wzięła się stąd, że wtedy była szansa, że nie będzie tkwił w czterech ścianach.

Ale tak naprawdę był tylko jeden sposób, żeby osiągnąć spokój ducha. Sposób Roberta Halla. W dodatku Hall był nauczycielem. Może jest w tym nawet jakaś symbolika, pomyślał Winter, patrząc na dzieci wybiegające ze szkoły, szybko jak cholera. Za dużo przeklinam, pomyślał, ale skoro to robię w myślach, to może wcale nie jest przeklinanie. Przecież zostaje między mną a mną.

Słyszał techników Öberga. Kręcili się po mieszkaniu. Szukali zarówno rzeczy ważnych dla śledztwa, jak i nieważnych, przy czym te drugie mogły się okazać rozstrzygające. Mieszkanie wyglądało całkiem schludnie, gdy weszli z Fordem i Brattlingiem. Posprzątane i uładzone, jakby Hall spodziewał się niedługo wrócić, ale wszystko poutykał na miejsca, na wypadek gdyby ktoś przyszedł przed nim. Nic podejrzanego, przynajmniej jak do tej pory, ale wystarczy włączyć komputer i człowiek przestaje się dziwić. Zakonnice mają ściągnięte pornosy z księżmi, a biskupi z zakonnicami. Można tam znaleźć niewyobrażalne wręcz paskudztwa, choćby nagrania z festiwalu tańca ludowego i dyskusji literackich. Kiedyś natrafił na komplet dwudziestu dorocznych festiwalu szwedzkiej piosenki plus eliminacji do nich z ostatnich lat.

Było to dość szokujące przeżycie.

Wszedł z powrotem do mieszkania.

Ringmar wyszedł z kuchni.

– Facet lubił porządek – zauważył.

– Nauczyciel – powiedział Winter.

– A co to ma do rzeczy?

Winter nie odpowiedział. Na stoliku przed kanapą leżał stosik książek. Spojrzał na leżące na wierzchu pięknie wydane dzieło o Göteborgu – dawniej i dziś.

– Mam ją – powiedział Ringmar.

– Jesteś tam? – spytał Winter.

– Co?

– Wymienili cię w tej książce?

– Wykopaliska nie sięgnęły jeszcze tak głęboko – odparł Ringmar.

– Więc będzie więcej.

- Na razie kopie my płytke – powiedział Ringmar.
  - Czyli koło mnie – zauważył Winter.
  - Jesteś przygnębiony?
  - Trochę. Naszło mnie, kiedy stałem na balkonie.
- Ringmar wyjrzał przez okno. Słońce świeciło oślepiająco.
- Szkoła, już rozumiem.
  - Chyba każdego ogarnia melancholia, kiedy przechodzi koło szkoły – powiedział Winter. – Zwłaszcza jeśli to jego dawna szkoła.
  - Nie melancholia, tylko nienawiść – odparł Ringmar.
  - To ciekawe.
  - Bardzo normalna reakcja.
  - A więc ktoś nienawidził Roberta Halla.
  - Nauczyciele bywają narażeni na wiele rzeczy, ale nieczęsto są mordowani.
  - A on został zamordowany za coś.
  - Niewłaściwy człowiek w niewłaściwym miejscu.
  - Nie, to on miał być ofiarą – powiedział Winter.
  - Za co?
  - Za coś, co zrobił kiedyś.
  - W młodości.
  - Co to znaczy młodość?
  - Dwadzieścia parę lat.
- Ringmar przeszedł przez pokój i wyjrzał przez okno. Winter podążył za jego spojrzeniem. Teraz było tam pusto: żwir, trawa i szkoła.
- To boisko do piłki ma zniknąć – odezwał się Ringmar.
  - Wiem, słyszałem.
  - Tak jak boisko na Marconiego.
  - Tak?
  - Już go nie ma. Zbudowali tam halę ze sztucznym lodowiskiem. Całkiem niedaleko stąd. Kurde, o tam! Widać stąd.
  - Grałem na tym boisku – powiedział Winter.
  - Coś ty?
  - Finter BK. Podjąłem wtedy ostatnią próbę. Miałem trzydzieści pięć, może trzydzieści sześć lat. Kolana nie

wytrzymały.

– Ja się wcześniej wycofałem – powiedział Ringmar.  
– Zrozumiałem, że nie mam dość talentu. Nie miałem nawet wielu kontuzji.

– No tak, lepiej skończyć wcześniej.

– Czego uczył Hall?

– Gimnastyki. I szwedzkiego.

– Wszystko, czego człowiekowi potrzeba – zauważył Ringmar.

– Ale nie pozwoliło mu to przeżyć. Nie sądzę, żebym dał radę przesłuchać wszystkich jego kolegów.

– No to nie rób tego. Eriku, odpuść. Nie wszyscy nauczyciele są łajdakami. Powinieneś o tym z kimś pogadać. O innych sprawach też.

– To jest na końcu mojej listy.

– A co jest na początku? – spytał Ringmar.

– Wolalbyś nie wiedzieć.

– Ty nigdy nie pójdziesz na żadną terapię, prawda?

– Ależ pójdę.

– Jak mi to udowodnisz?

– Sposobem bycia.

– Trzeba wielu lat, żeby się stać innym człowiekiem – powiedział Ringmar.

– No to udowodnię ci, przedstawiając rachunki. Wystarczy.

– Prawda, że to cholernie kosztowne – odparł Ringmar.

– Droższe od naprawdę dobrej słodowej whisky.

– Niemożliwe.

– Ja chodziłem do terapeuty aż do chwili, kiedy już mnie nie było stać. Birgitta odeszła, a Martin zaczął świrować. To było wtedy.

– Przykro mi – powiedział Winter.

– Że co?

– Że nie było cię stać na kontynuowanie terapii.

– Może byłem bliski przełomu.

– Może ten przełom nawet nastąpił.

Ringmar nie odpowiedział. Odwrócił się do Wintera.

– Dłaczego Hall? – spytał.

- I to jest pytanie – odparł Winter. – Na którym był miejscu?
- Właśnie.
- To samo z literą.
- Tak.
- Tu nie ma żadnej chronologii.
- Nie ma.
- Wiadomość nie zaczyna się na R.
- Nie zaczyna.
- Ale może się tak zaczynać.
- Może.
- Hall został zamordowany jako pierwszy, bo miał być pierwszy. To coś znaczy.
- Tak.
- Albo i nie.
- Nie ma znaczenia.
- Ale ma.
- Tak.
- Ma związek z Hallem.
- Tak.
- Nie będzie jedyny. Jaką mamy pewność, że tak będzie?
- Dość sporą.
- A skąd?
- Przez tę literę.
- Ona może znaczyć cokolwiek.
- To początek jakiejś wiadomości albo środek, albo koniec, ale to jest wiadomość.
- Zabójca nie chciał, żeby wiatr ją zwiął – przypomniał Winter. – Przypiął mu agraftką do koszuli.
- Chyba przesadził – zauważył Ringmar.
- Nie, dopilnował, żeby litera nie zniknęła, chociaż sam wolał znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

Aneta minęła zjazd na lotnisko Landvetter. Przez chwilę nawet się zastanawiała, czy nie skręcić, nie wsunąć się na prawy pas, a potem pojechać dłuugim skretem w górę i na prostą prowadzącą do terminali, potem zaparkować, wejść do



hali odlotów i kupić bilet na pierwszy z brzegu lot. Ilu ludziom przemknęła przez głowę taką myśl? Można tak zrobić? Są bilety do kupienia? Jeśli tak, to znaczy, że świat stoi otworem. A w nim Afryka. Od lat nie była w Wagadugu. Tata wciąż tam jest, w swoim białym domku. Drużyna z Burkina Faso doszła w zeszłym roku do finału afrykańskich mistrzostw w piłce nożnej. Tata na pewno wrzeszczał wtedy jak wariat, z butelką dôlo<sup>1</sup> w ręce. W każdym razie Fredrik dał się jak opętany, kiedy w ćwierćfinale Burkina Faso strzeliła gola drużynie Togo.

Nieprawda, że nigdy nie była w Borås. Przejeżdżała tędy wiele razy, chociaż nigdy się nie zatrzymała. Autostrada przecięła miasto na pół. Kiedyś myślała, że coś takiego może się zdarzyć w jakimś afrykańskim mieście, tu nigdy.

Zatrzymała się przy stacji benzynowej pod autostradą i spojrzała na mapę. Linnea Hall mieszkała na południu. Trzeba przejechać przez miasto. Ruszyła ostrożnie. Tam mogą być niewidomi kierowcy, jakiś Ray Charles za kierownicą autobusu. Szwedzkie miasto średniej wielkości to nie fraszka. Przejeżdżając albo, jak teraz, wjeżdżając, zawsze była przygnębiona, jakby przypominało jej to o śmierci, o bezsensownej wędrówce przez ziemskie krainy przeciętności. Ja nie jestem przeciętna, pomyślała, ja jestem inna. Nikt nie jest przeciętny. Może w drodze do domu wsiądę do samolotu, który zabierze mnie w wielki świat. Wszyscy moglibyśmy to zrobić.

Zaparkowała przed jednorodzinny domem z lat pięćdziesiątych, na swój przeciętny sposób nawet dość wdzięcznym.

Kobieta otworzyła drzwi, zanim zdążyła wejść na schodki prowadzące do domu. Ubrana w dżinsy i sweterek robiony na drutach, chyba własnoręcznie. Miło. Jasne włosy, karnacja w promieniach słońca biała jak śnieg. Aneta czuła, że słońce pada jej na plecy. Było ciepło, najcieplejszy jak dotąd dzień roku.

– Pani Agneta? To pani?

– Tak, Aneta.

---

1 Dôlo – afrykańskie piwo z prosa (wszystkie przypisy tłumaczki)

- Słucham?
- Właściwie Aneta.
- Ach tak?
- Na porodówce pomylili się w pisowni – powiedziała. Linnea Hall się nie uśmiechnęła.
- Można wejść? – spytała Aneta.
- Jak to się stało? – spytała Linnea Hall.

Nie zabrzmiało to jak pytanie. Zresztą nie patrzyła na Anetę, tylko na znajdujący się trochę dalej stadion piłkarski. Aneta nie mogła sobie przypomnieć nazwy drużyny z Borås. Fredrik jej mówił, że niedawno coś wygrała.

- Można wejść? – powtórzyła.
- Co on zrobił? – spytała Linnea Hall.

Aneta zatrzymała się w pół kroku.

- Co pani ma na myśli?
- To, co mu się stało. Musiał coś zrobić, żeby na to zasłużyć.

ZAPACHY O ZMIERZCHU są nie do wytrzymania. Siedzi wtedy w domu przy zamkniętych oknach i obserwuje przez szybę, jak tamci, na dole, cieszą się życiem, chłopcy i dziewczynki, mężczyźni i kobiety, koty i psy, i ptaki. A on siedzi w domu, boli go głowa. Ten ból nigdy nie przechodzi. Nie jest w stanie znieść wody, szumu fal. Nigdy tam nie wrócił, nigdy. Nie znosi głosów, choć słyszy je, jakby to się stało wczoraj, pijane, głośne i złe.

Gdzie jesteś?

Coś tu mamy.

Chodź, to zobaczysz.

Było wtedy prawie ciemno, księżyc zaszedł za chmurę. Stał na rogu domu, na lewo od wejścia. Za każdym razem gdy do tego wraca w myślach, to właśnie tak, ciągle do tego wraca, nieustannie.

Właśnie w takiej sytuacji człowiek potrzebuje pomocy, myśli, patrząc na jakąś mamę z dzieckiem, którzy znikają w słonecznej mgie nad Frölanda targ. Mnie nikt nie pomógł, nikt nic nie wiedział, żaden dobry człowiek nie wiedział.

Płacze. Coraz częściej mi się to zdarza, płacę jak dziewczyna, pomyślał. Cieszę się, że nikt tego nie widzi. Nikt mi nie wytłumaczył, co znaczą słowa cieszyć się. Muszę być weselszy, myśli. To się zbliża, czuję, wiem, już prawie jest tutaj.

Mruga oczami, ledwo co widzi, woda zalała mu oczy. To jak pływać w wodzie. Próbowałem się potem utopić, myśli.

Znów patrzy i już nie płacze. Niedługo tam zejdzie. Teraz się zaczyna. Światło nad placem jest brudne i lepkie po długim dniu.

USIADŁY NAPRZECIWKO SIEBIE w wyjątkowo jasnym salonie. Aneta w głębokim, aż za głębokim fotelu. Dzieci były w szkole. Ze wszystkich stron napierała wiosna. Tak to odczuwała Aneta. Napierała, jakby to było coś niewłaściwego. Albo oznaczało koniec czegoś. Jasne światło dnia przyniosło coś nowego, zwłaszcza do tego domu. Mąż nie był częścią tego domu. Nie był częścią niczego, bo był już po tamtej stronie, a na całym świecie nie ma nikogo, kto by wiedział, gdzie to jest. Ja nawet nie chcę wiedzieć, pomyślała.

Robert Hall musiał zrobić coś złego, żeby zasłużyć na śmierć. Tak powiedziała od razu na wstępie jego była żona. Co on jej zrobił?

W jej oczach było coś, czego Aneta nie widywała u osób będących w żałobie, właściwie nigdy nie widziała. To na pewno nie żałoba. Dojdziemy do tego, może nawet podczas przesłuchania. To ważne. Bardzo ważne.

– Powiedziała pani, że widocznie zrobił coś takiego, że zasłużył na śmierć – powiedziała Aneta.

– Musiał coś takiego zrobić – odparła Linnea Hall.

Z jej twarzy nie dało się wyczytać, co się kryje za tymi zaskakującymi słowami.

– Proszę mi to wyjaśnić.

– Robert nie był miłym człowiekiem – powiedziała Linnea Hall.

– Proszę mówić.

– Od czego zacząć?

– Jak pani uważa.

– Od jego narodzin?

– Aż tak źle? – spytała Aneta.

– Nie pyta pani, dlaczego w takim razie wyszłam za niego? Dlaczego mieliśmy ze sobą dzieci?

– Była pani zakochana.

– To ma być pytanie?

– Co on pani zrobił?

Linnea Hall milczała. Jej spojrzenie powędrowało na dwór. Było tam przeraźliwie jasno, jaśniej niż kiedykolwiek w tym roku. Potem popatrzyła na Anetę.

– Gdyby nie dzieci, nie poszłabym na pogrzeb.

– Proszę mówić – powtórzyła Aneta. Jak długo można, trzeba zadawać otwarte pytania.

– O czym?

– Dlaczego pani uważa, że musiał zasłużyć na śmierć.

– Czy to aż tak niezwykle?

Aneta kiwnęła głową. Mogło to znaczyć tak albo nie, albo może. Zasłużyć na śmierć? To tak jakby zasłużyć na to, żeby się nie urodzić. Właśnie tak. Dla niektórych cały sens życia polega na tym, żeby się nigdy nie urodzić. Ludzkość ponosiłaby wtedy mniejsze koszty. Miliony ludzi mogłyby się właściwie nie urodzić. Dotyczyło to również złych czarnuchów z kraju, z którego pochodziła. Tata często tak mówił, a mimo to wrócił tam. Tu rządzą biali, zło jest równie jaskrawe, a skrzy się tak samo pięknie.

– Musiał coś zrobić – powtórzyła Linnea Hall.

– Na przykład?

– Nie wiem.

– Co mógł zrobić?

– Skrzywdzić kogoś – odparła.

– Jak?

Pani Hall milczała. Zastanawiała się, a może rozpamiętywała. Coś przemknęło po jej twarzy, i nie był to promień słońca.

– Muszę się dowiedzieć czegoś więcej – powiedziała Aneta.

– Zacznijmy od waszego małżeństwa. Dlaczego się rozwiedliście?

– On... Robert... był człowiekiem gwałtownym. Groził mi. Dzieciom też.

– W jaki sposób?

– Gwałtowny – odpowiedziała.

– Bił was?

– Nie...

- W jaki sposób wam groził?
  - Jeszcze gorzej.
  - Nie rozumiem.
  - Nie bił... ale był straszny. – Spojrzała na Anetę. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć.
  - Niech pani spróbuje.
  - Stawał się... nie tyle kimś innym... był taki, jaki był od początku.
  - Jaki był od początku?
  - Straszny.
  - W młodości też?
  - Myślę, że tak.
  - Wie pani na ten temat coś więcej?
  - Właściwie nie.
  - A jednak coś pani wie.
  - Wydaje mi się, że coś zrobił i nie mógł się od tego uwolnić. Nosił to w sobie, a to coś nie odpuszczało, i wyładowywał się na innych. Nic o tym nie wiedziałam. W każdym razie nie wtedy, kiedy się poznaliśmy. Był... pełen uroku, chyba tak to trzeba nazwać. Jak każdy psychopata.
  - Chce pani powiedzieć, że był psychopata?
  - Może to złe słowo. Ale nie dało się z nim żyć.
  - Kiedy się rozwiedliście?
  - Cztery lata temu.
  - A kiedy się ostatnio widzieliście?
  - Nie widzieliśmy się od rozwodu.
  - A dzieci?
  - Raz w ciągu czterech lat – odparła, wykrzywiając usta, niby w uśmiechu, ale ten uśmiech wyglądał jak grymas. – Ale chcą iść na cmentarz. Dzieci bywają zabawne.
- Zabawne, pomyślała Aneta. Dziwne szwedzkie słowo. W zasadzie może znaczyć wszystko i odnosić się do każdej sytuacji. W szwedzkim jest wiele dziwnych słów. Jakbyśmy się nie umieli zdecydować, co chcemy powiedzieć.
- Kontaktowaliście się przez telefon?
  - Nie.
  - A w jaki sposób?

– Przecież mówię, że się nie kontaktowaliśmy!

Linnea Hall powiedziała to podniesionym głosem. Aneta się zdziwiła, bo do tej pory była spokojna, chłodna, opanowana. Może to przejaw desperacji. Albo lęku.

To lęk, pomyślała Aneta. Właśnie to ma w oczach. Lęk. Czują go zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Wszyscy odczuwają strach.

– Kiedy odszedł z pracy?

– Policja nie wie?

– A pani wie?

– To się nie mogło udać – powiedziała Linnea Hall. – On nie potrafił utrzymać żadnej pracy.

– Pani też jest nauczycielką – powiedziała Aneta.

– Tak, tak się poznaliśmy.

– Ach tak?

– Nie ma nic do dodania. Wyleciał z pracy, ze szkoły.

– Co się stało?

– Nigdy się tego nie dowiedziałam.

Linnea Hall wstała. Aneta nadal siedziała. Zrobiła błąd, siadając w tym fotelu. Poczula się ociężała, jakby nie mogła jasno myśleć.

– Muszę iść do szkoły po Tyrę – wyjaśniła Linnea Hall.

– Zawsze ją odbieram po lekcjach.

– Czy byłaby pani w stanie zabić byłego męża? – spytała Aneta.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie znalazłabym w sobie tyle siły. Zresztą nie rozumię w ten sposób. Nigdy.

– Odczuwa pani żal?

– Po nim?

– Tak.

– Żal mi, że stało się, jak się stało. Z nim, ze mną, z nami. Z naszą rodziną. Ale nie brakuje mi go. Od bardzo dawna nie było między nami nic, do czego można by tęsknić.

– Czy mąż miał jakiegoś bliskiego kolegę?

– On się nie chciał z nikim zadawać – odparła. – Trzymał się

z dala od innych ludzi, a w naszym zawodzie tak nie można. Miałam wrażenie, że stara się trzymać z dala od siebie samego.

– Od siebie samego?

– Od siebie dawnego i od tego, kim się stał.

W tym się zawiera wszystko, pomyślała Aneta. W końcu go dopadło.

– Jak... co się stało? – spytała Linnea Hall.

– Co takiego?

– Jak, w jaki sposób... został zamordowany?

– Dlaczego chce pani wiedzieć?

– Co w tym dziwnego?

– Dlaczego chce pani to wiedzieć?

– To była gwałtowna śmierć?

– Tak.

– Już samo to wiele mówi, prawda?

– Co pani ma na myśli?

– W jaki sposób ludzie giną. Jakie życie, taka śmierć. Ułatwi wam to śledztwo, prawda? I dotarcie do sprawcy.

Winter otworzył drzwi mieszkania Roberta Halla. Na podłodze leżały gazety i koperty, ale niczego nie ruszał. Zostawił to ludziom Öberga.

W dużym pokoju spojrzął w okno, nie było w nim żaluzji. Zobaczył tramwaj, kawałek domu kultury, wielkie parkingi wokół placu, nowe domy i stare domy. Krzaki pod domem kultury. Miejsce zbrodni.

Ile razy Hall mógł stać przy tym oknie i patrzeć na to samo? Coś mu kazało pójść w to miejsce, ostatnie w jego życiu.

Odwrócił się. W pokoju stały tandetna kanapa, fotel i stolik. Odniosł wrażenie, że Hall kupił je używane. Całość wyglądała biednie. Na zniszczonym parkiecie leżał szmaciany chodnik. Szmaciany chodnik to dobre słowo. Chyba oglądał film pod tym tytułem, a może czytał książkę? Szmaciany chodnik. Szmaciana lalka. Nie można powiedzieć, żeby dużo czytał. To zbyt męczące, wymaga wewnętrznego spokoju. W książkach jest za dużo odpowiedzi, które by go tylko rozdrażniły. I tak



wszystko go drażniło. Na przykład to, że Angela nie zadzwoniła rano. Musiał usłyszeć jej głos, głosy dzieci. Źle spał. Poprzedniego wieczoru nie pił whisky. Siedział z laptopem na kolanach i robił projekty ze szkła i betonu. Ładnie wyszło. Wreszcie coś stworzył.

W kieszeni na piersi zawibrowała komórka. Zwrócił uwagę, że jest wyjątkowo zimno, jakby po śmierci Halla jego mieszkanie zwolniło obroty. Spojrzał na wyświetlacz. Nareszcie.

– Cześć – powiedział.

– Gdzie jesteś?

– W domu ofiary morderstwa. Jeśli można to jeszcze nazwać domem.

– Znaleźliście już coś?

– Nic nie ustaliliśmy – powiedział. – Poza tym, że facet żył bardzo zwyczajnie i biednie.

– Jak większość ludzi – zauważyła.

– A co ty o tym wiesz?

– Mam rzucić słuchawką?

– Już nie ma słuchawki – powiedział. – Dzisiaj są inne czasy.

Rozłączyła się. Rozległ się sygnał wyłączonej, nie, rzuconej słuchawki. Jak zwykle szumiało mu w uszach, w przestrzeni między uszami, między Oceanem Lodowatym a Oceanem Słonecznym. Wybrał numer i czekał, wsłuchując się w tinnitusa<sup>2</sup> zmieszanego z zakłóceniami sferycznymi. Jedno i drugie to samo gówno. W tym sensie był częścią wszechświata, chociaż cholernie małą.

W końcu odebrała.

– Przepraszam – powiedział.

– Ty w ogóle nie wiesz, jak to jest – powiedziała.

– Ale co?

– Widzisz? Nie wiesz nawet, o czym mówię.

Zastanowił się. Porządnie.

– No, Eriku, o czym ja mówię?

– O sobie i o mnie.

– Mówię o naszej rodzinie.

---

<sup>2</sup> Tinnitus – szumy uszne

– Latem będziemy już razem. Na zawsze, na wieki wieków.  
– Jeśli masz zamiar ironizować, to zaraz znów rzucę tak zwaną słuchawką.

– Ja nie ironizuję.

– Elsa powiedziała dziś, że nie chce się stąd wyprowadzać, bo nie chce zostawić babci Siv.

Ale Siv nie żyje. Jego matka nie żyje od ponad miesiąca. Jak to się mówi, spoczęła w pokoju obok Bengta, na pięknym cmentarzu, z jednej strony osłoniętym przez białe góry, z drugiej zaś, niżej, przez lśniące złotem i srebrem morze. Piękne miejsce.

– Rozumiem – powiedział.

– Nie, to ja rozumiem – odparła.

– Co takiego?

– Próbuję cię rozumieć. Zawsze staram się cię rozumieć.

– Ty jedyna rozumiesz – powiedział.

– Mówisz to wszystkim kobietom?

– Chcesz się pokłócić? – spytał. – Przecież my się nie kłócimy. Unikamy tego. Kłócenie się z partnerem jest drobnomieszczkańskie. My nie robimy takich rzeczy, my należymy do wyższej klasy średniej.

– Zawsze musisz robić uniki – powiedziała. – A ja znów mam paskudne przeczucie.

Wiedział, co ma na myśli. To poważna sprawa. Nie można tego lekceważyć.

– Nie zrobię nic głupiego – zapewnił ją.

– Mówisz to za każdym razem, co rok i co miesiąc.

– Nie pójdę nigdzie sam i nie zrobię nic głupiego  
– powtórzył.

– Miesiąc temu o mało nie zginąłeś – przypomniła mu.

– Gdyby nie jeden z twoich podejrzanych, już byś nie żył.

– Wiem.

– Stąd nie mam nad tobą żadnej kontroli – powiedziała.

– Niedługo będziemy razem – odparł.

– A jeśli nie wrócimy do domu?

– Angelo, ja tego nie słyszałem.

– Słyszałeś.

Musi się z tego jakoś wymigać. Nigdy mu się nie uda jej przekonać. To dlatego niektórzy mężczyźni uciekają się do pięści, skrajnej formy komunikacji, gdy słowa okazują się niewystarczające, a nigdy nie są wystarczające.

– Mógłbym porozmawiać z Elszą?

– Poszła do mercado z Marią i Lilly.

– Porozmawiamy wieczorem – powiedział. – Muszę pogawędzić z dziewczynkami.

– Zanim się napijesz whisky – odparła i rozłączyła się.

Wpatrywał się w wyświetlacz, jakby oczekiwał, że telefon ożyje, ale w uszach miał syczącą ciszę. Włożył iPhone'a do wewnętrznej kieszeni marynarki i znów spojrzał na pokój. Pod ścianą stał wielki ponury telewizor. Pilot leżał na stoliku. Odtwarzacz DVD stał na podłodze obok telewizora. Żadnego zwracania głowy jakimś stołem czy regałem. Generalnie żadnych tego rodzaju niepotrzebnych rzeczy. Wszedł do sypialni. Pojedyncze łóżko i niewiele więcej. Chodził ostrożnie w foliowych ochraniaczach na buty, niczego nie dotykał.

Na chybotliwym stoliku przy łóżku stał stary komputer.

W powietrzu unosił się kurz. Mienił się w świetle wpadającego przez niczym nieosłonięte okna słońca.

Kuchnia była duża, solidna, z przestarzałą kuchenką elektryczną, ogromną zamrażarką i lodówką. Nikt już nie zapelnia zamrażarek. Ludzie nie kupują pół krowy, całego prosiaka ani jagnięcia, nie robią przetworów, nie pichcą z wypiekami na twarzy.

Kuchenny stół pochodził zapewne z tego samego źródła co pozostałe meble w mieszkaniu. Krzesła też. Całe mieszkanie wyglądało jak to życie, które na dobre się nie zaczęło, a już się skończyło. Zawsze w takich sytuacjach nachodziły go te myśli.

Komórka drgnęła, zaczęła go drapać w pierś. Wyjął ją. Była równie zimna jak jego dłoń w tym wyziębionym mieszkaniu.

– Słucham cię, Bertilu.

– Gdzie jesteś?

– W mieszkaniu Halla.

– To się znów stało – powiedział Ringmar.

Od pierwszego morderstwa upłynęło pięć dni.

NASTĘPNĄ OFIARĄ okazał się Jonatan Bersér, lat czterdzieści jeden. Portfel z dowodem osobistym miał w wewnętrznej kieszeni kurtki. Miał rozbitą czaszkę, na głowie foliową torbę. I ściągnięte spodnie. Jego tyłek biał w nagim świetle.

Pia E:son Fröberg podniosła się i podeszła do Wintera i Ringmara.

– To się stało dzisiejszej nocy – powiedziała. – Na razie nie mogę określić dokładniej, ale przypuszczalnie we wczesnych godzinach nocnych.

– Zginął od ciosu w głowę? – spytał Winter.

– Jeszcze nie umiem powiedzieć.

– Więc mógł zostać uduszony?

Nie odpowiedziała. Winter po prostu głośno myślał. Nieprawdopodobne, żeby się otworzyło nowe pole, z innym sprawcą. Zresztą Bersér miał na plecach kawałek kartonu z namalowaną czarną farbą literą O. Winterowi przypomniało się, jak kiedyś grali z Angelą w Alfapet<sup>3</sup>. Byli wtedy bardzo młodzi, w każdym razie Angela, bardzo szczęśliwi i bardzo biedni, w każdym razie Angela. Przeszali grywać, gdy przyłapała go na oszukiwaniu.

– Dwie litery, dwóch zmarłych – powiedział Ringmar.

– Dwóch mężczyzn – doprecyzował Winter.

– Hall miał czterdzieści lat, czyli prawie rówieśnicy.

– To też ich łączy.

– Tyle na początek – podsumował Ringmar.

– Całkiem nieźle.

– Bardzo dobrze – odparł Ringmar.

Pia Fröberg zdążyła sobie pójść. Rozmawiała teraz z Torstenem Öbergiem.

Szef wydziału technicznego kiwnął głową, kiedy ich zobaczył.

---

<sup>3</sup>Alfapet – szwedzka wersja scrabble'a

- Torsten jest wyraźnie wściekły – zauważył Ringmar.
- Nie lubi, jak ktoś z nami pogrywa.
- A ty lubisz?
- To nie jest gra – odparł Winter.
- Przynajmniej dla tego gościa – dodał Ringmar.
- On mieszka niedaleko stąd – powiedział Winter.
- Jungfruplatsen.
- Ładna nazwa<sup>4</sup>.

Byli za szpitalem w Mölndal, na zachód od szpitalnych budynków. Rosło tam wystarczająco dużo krzaków, żeby się dało jako tako ukryć ciało Berséra.

Znalazła je kobieta z psem, a właściwie pies. Często tak jest, kobieta z psem. Winter jeszcze ich nie widział. Najpierw miał się spotkać z rodziną denata. O ile mu było wiadomo, Bersér miał żonę i nastoletnią córkę. Czekwały na Jungfruplatsen.

– Da się coś zrobić z tymi cholernymi literami? – spytał Ringmar. – R i O.

- Nic. Ale może da się pójść tropem kartonów.
- Uważasz, że doprowadzi nas do konkretnej cukierni?
- Wszystko jest możliwe.
- Może do Ahlströms? Tyle zainwestowaliśmy w ich napoleonki, że byłoby to nawet właściwe. W imieniu Napoleon są dwa o.

- Bystry jesteś, Bertilu.
- Pogadam z Torstenem.
- O czym?
- O tych kartonach, rzecz jasna.
- Mam nadzieję, że nie żartujesz.
- To nie miejsce ani pora na żarty – odparł Ringmar.
- Po co on tu przyszedł, ten Bersér?
- Umówił się z kimś – zasugerował Ringmar.
- Tak.
- Ktoś do niego zadzwonił.
- Sprawdzimy.
- Nie miał przy sobie komórki.
- Fakt.

---

<sup>4</sup>Jungfruplatsen – plac Marii Panny.

- Morderca ją zabrał.
- Robert Hall też miał niedaleko do miejsca, gdzie zginął
- zauważył Winter.
- Morderca woli, żeby to się stało w odległości spaceru od domu.
- Czyjego?
- Dobrze pytanie, Eriku.
- Mölndal jest kawałek drogi od Frölundy.
- Jest w tym jakiś sens.
- W czym?
- Mówię o ofiarach. Musi być jakiś związek – powiedział Ringmar. – Trzeba tylko trochę pogrzebać. Zresztą nie pierwszy raz. – Machnął ręką w stronę południa i dodał:
- Nienawidzę przeszłości. – Jakby ta przeszłość przyszła z południa.
- Genitalia miał nieuszkodzone – powiedział Winter.
- W każdym razie Pia do tej pory nic takiego nie stwierdziła.
- Ale obaj mieli ściągnięte gacie.
- To dość wyraźny komunikat. Właściwie dwa.
- Facet jest potwornie wściekły.
- Może zabrało mu to dużo czasu.
- Żeby się wściec? Niektórzy potrzebują dużo czasu.
- Może będziemy mu jeszcze współczuć – powiedział Winter.
- W najlepszym razie – odparł Ringmar.
- Dobre serce. Powinien się nim kierować myśliwy
- zauważył Winter.
- Dobre serce to coś dla kobiet – powiedział Ringmar.
- Teraz mówisz zupełnie jak Halders.
- Czy ta sprawa dotyczy wyłącznie mężczyzn? – spytał Ringmar.
- Przekonamy się przy następnej literze.
- Nie mów tak.
- Winter nic nie dodał. Poczul na twarzy wiatr. Zaczęło wiać. Przecież to wiosna, nadeszła od południa.
- Jeszcze nie mieliśmy do czynienia z seryjnym zabójcą
- powiedział Ringmar.
- Do tego trzeba trzech morderstw – odparł Winter.

– Przecież powiedziałem.

– Ale to nie jest seryjny morderca, choćby było nie wiadomo ile ofiar – stwierdził Winter.

– Czyżby przemawiało przez ciebie współczucie dla mordercy?

Winter spojrzął na poddające się wiatrowi gałęzie dwóch klonów po drugiej stronie ulicy. Po wielu latach nauczył się rozróżniać drzewa nawet wtedy, gdy były pozbawione liści. Te wyglądały martwo, ale za jakiś miesiąc wstąpi w nie nowe życie. Wcale nie miał ochoty spotykać się z pozostałymi członkami rodziny Bersérów. Wolałby być w Marbelli i iść brzegiem plaży, i czuć na twarzy wiatr wiejący z południa. Usiąść przy kieliszku w Café Ancha i dopóki jeszcze żyje, mieć obok siebie rodzinę. To tutaj to nie jest życie.

– Idziemy? – spytał Ringmar.

Rodzinę Bersérów tworzyła jeszcze tylko jedna osoba. Amanda Bersér miała trzydzieści osiem lat. Małżeństwo było bezdzietne. Łaska boska, pomyślał. Żałoba nie jest przez to łżejsza, ale tym razem nie musi jej przeżywać nikt więcej.

Zresztą Amanda Bersér wolała zostać ze swoją żałobą sam na sam.

Poinformowali ją, co rano znaleźli, ale nie powiedzieli jej o wszystkim, ze względu na wyjątkowo drastyczne szczegóły.

– Czy jest ktoś, po kogo chciałaby pani zadzwonić? – spytał Ringmar.

– Nie chcę nikogo – odparła. I powtórzyła to.

Zaprosiła ich do kuchni. Widać było stamtąd sąsiednie domy i krzaki, i niezdecydowane tego dnia niebo.

– Gdzie wyście byli? – spytała twardo.

– Słucham? – zdziwił się Winter.

– Zadzwoniłam w nocy na policję, bo Jonatan nie wrócił do domu.

Winter spojrzął na Ringmara. Nie słyszeli o żadnym doniesieniu, ale to pewnie prawda. Nie wrócił do domu. Skąd, od kogo?

– Boże – powiedziała, pochylając się i chowając twarz w dłoniach. Nie płakała.

– O której mąż wyszedł z domu? – spytał Winter.

Wymamrotała coś, nie odrywając dłoni od twarzy.

– Co pani powiedziała?

Podniosła wzrok.

– Nie było mnie w domu – odparła. – Nie było mnie w domu!

Sprawiała wrażenie winnej wszelkich możliwych grzechów tego świata.

Ale nie tego. Nie mogła być w nocy koło szpitala. Nawet Winter w to nie wierzył, jeśli w ogóle wierzył w cokolwiek. Próbował czytać z jej twarzy, oczu, mowy ciała, wyczytać, co się kryje za jej słowami. Słowa to tylko wierzchnia warstwa, osłona, czasem osłona przed nim.

Jak długo jeszcze będą dręczyć Amandę Bersér?

– Co pani robiła wczoraj wieczorem? – spytał Ringmar.

– O której?

– Proszę opowiedzieć o tym wieczorze.

– Byłam w pewnym... barze. Z przyjaciółką.

Ringmar kiwnął głową.

– W barze Tara. W centrum, na Linnégatan.

– Znam to miejsce.

– Tam byliśmy.

– Jak długo?

– Czy ja wiem... od pół do ósmej do dwunastej, coś takiego. Dziś mam wolne... – powiedziała i twarz jej się ściągnęła, zasnurowała od tych słów. Jednak nie, od rzeczywistości.

– O której wróciła pani do domu? – spytał Winter.

– Za kwadrans pierwsza. Sprawdziłam na zegarku.

– Mąż był w domu?

Spojrzała na niego wielkimi oczami, jakby powiedział coś głupiego albo jakby próbował ją sprowokować.

– Jak mógł być w domu?

– Więc nie było go? – spytał Ringmar.

– Nie było!

– A był, kiedy pani wychodziła?



– Tak. – Zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale w końcu tego nie zrobiła. – Tak!

– Próbuje zrozumieć, co się stało – wyjaśnił Winter. Zrozumieć. Źle się wyraził, ale ona nie zareagowała. – Dowiedzieć się, co się stało. Po to tu jesteśmy. Trzeba działać szybko. Czas jest bardzo ważny.

– Jakie mąż miał plany na wczorajszy wieczór? – spytał Ringmar.

– O ile wiem, nie miał żadnych.

– Mówił, co będzie robić?

– Czytać, oglądać telewizję, nie wiem!

– Wychodził wieczorami z domu? – spytał Winter. – Na spacer, pobiegać, jakieś regularne zajęcia?

– No... owszem, biegał – odparła. – Trenował w stoczni.

Ale nie tego wieczoru. W chwili gdy został zamordowany, nie był ubrany jak na trening. W ogóle był ledwo ubrany.

– Czy on był... czy miał...

– Co takiego? – spytał Winter.

– Trenował? – spytała.

W jej pytaniu slychać było nadzieję, że jej mąż poszedł pobiegać.

– Wczoraj nie. W każdym razie nie wskazywał na to jego ubiór – odparł Winter.

Spojrzała na niego tak, jakby to on był mordercą.

– Dzwoniłam do niego na komórkę – powiedziała. – Ale nie odebrał.

– Komórka była wyłączona?

Nie rozumiała.

– Był sygnał?

– Tak, ale zaraz włączyła się poczta głosowa. Wysłałam też SMS-a.

– O której to było?

– Od razu jak przyszłam do domu, kiedy zobaczyłam, że go nie ma. Oczekałam kilka sygnałów.

Winter kiwnął głową.

– Możecie sprawdzić moją komórkę – powiedziała.

– A o której zadzwoniła pani na policję? – spytał Ringmar.

– Zaraz potem. Była może druga. Możecie... mogę sprawdzić w komórce. Dzwoniłam z niej.

– Co pani powiedzieli na policji? – spytał Ringmar.

– Przyjęli zgłoszenie. To była kobieta. Odniosłam wrażenie, że w ogóle jej to nie obeszło.

– Bardzo mi przykro – powiedział Winter.

Za oknem biegła ścieżka. Amanda Bersér zatrzymała na niej wzrok, jakby jej mąż miał tamtędy przybiec i jakby znów miało być jak dawniej.

Winter patrzył na nią. Wciąż wydawała się tkwić za oknem. Jak to wyglądało dawniej? – spytał w myślach. W tej kobiecie jest coś zastanawiającego. W jej mężu też. Tyle razy stykał się z rodzinami zmarłych, że umiał dostrzegać w tym, co mówili, różne odcienie, poza słowami, również w tym, co mówiły ich ciała. Czasem nie było tam nic, tylko ciemność i otchłań. Innym razem zimne światło albo nieskończone ciepło. Tego ciepła nie było jednak ani w niej, ani w tej kuchni.

Miał bardzo wyraźne przeczucie. To jego prawda.

– Mogłaby nam pani podać nazwiska jego przyjaciół i znajomych? – spytał Ringmar, zwracając się do wdowy.

Wesołej wdówki, pomyślał Winter. O to chodzi, ona się cieszy.

Na Jungfruplatsen życie znów zamieniło się w zabawę.

Jechali na północ. Ringmar pokręcił głową.

– Co jest, Bertilu?

– Paskudna historia.

– Masz na myśli tę sprawę czy obie?

– Obie. To jedna i ta sama sprawa, prawda? Czytałem protokół Anety z przesłuchania.

– Tak.

– Roberta Halla jego żona nie kochała. Czy odniosłeś wrażenie, że żona Jonatana Berséra go kocha?

– Tak, po śmierci – odparł Winter.

– Aż tak źle?

– Amanda robiła wszystko, żeby nie okazać smutku. A może

radości.

- To dlaczego się nie rozwiodła?
- Pytanie za dziesięć tysięcy koron, Bertilu.
- Póki co są jeszcze rozwody.

Winter zamilkł. Bertil nie był formalnie rozwiedziony. Żona odeszła od niego i już. Czasem przypominało to życie na bezludnej wyspie, gdzie jest się samotnym na zawsze. Chwilami jednak Bertil wydawał się nie pamiętać, jakby nadal żył.

- Co mówią nam o ofiarach te dwie kobiety? – spytał Winter.
- Że może byli do siebie podobni – odparł Ringmar.
- Trzeba to będzie sprawdzić.

Na automatycznej sekretarce czekała wiadomość od Torstena Öberga. Winter wszedł do wydziału technicznego. Zastał Torstena przy stole, pochylonego nad mikroskopem.

Chrząknął dyskretnie. Öberg podniósł wzrok.

- Powinienem to obejrzeć? – spytał Winter.
- Tak, proszę.

Winter spojrział przez okular. Zobaczył to, co na ogół widać przez mikroskop. Mogło to być cokolwiek: kreseczki, kropeczki, pęcherzyki.

Podniósł wzrok.

- Torsten, nie widzę tego, co chcesz, żebym zobaczył.
- Włos – odparł Öberg.
- Włos?

Öberg wyjął cieniutkie szkiełko i podał je Winterowi.

- Masz tu jakieś okulary do czytania?
- Tylko takie kupione na stacji benzynowej.
- Mogą być.

Podał je Winterowi. Swoje Winter zostawił w pokoju. Zawsze nosił je przy sobie, ale coraz częściej zdarzało mu się zapominać różnych rzeczy. Wiadomo, szumy uszne to wstęp do alzheimera.

Teraz już widział. Włos, jak z bardzo czarnej głowy.

- Co to jest?
- Włos z pędzla – powiedział Öberg. – Został w literze O.

W R nic nie było.

– Okej. Dobrze.

– Dzięki, co za entuzjazm!

– Torsten, świetna robota. Prawdziwy przełom, i to na tak wczesnym etapie.

– Wiem.

– A więc to była prawdziwa farba.

– Lada chwila powinniśmy ustalić jej nazwę. Jestem pewien, że to najwyklesza farba do malowania płotów.

– Pozostaje odnaleźć pędzel – powiedział Winter.

– To już twoje zadanie, Eriku.

Materiał porównawczy, do tego się to sprowadza. Pędzel, w którym brak jednego włosa. Pędzel i puszka w jakiejś piwnicy, garażu, składziku, szopie. Na dnie śmietnika. Na dnie Skagerraku.

– Może udałoby się określić, jaki to pędzel – powiedział Winter. – Tani czy drogi. Sprawdzić u hurtowników od pędzli.

– Na przykład – odparł Öberg.

– Dlaczego użył prawdziwej farby i pędzla? – zapytał Winter.

– Dobre pytanie.

– Pisakiem byłoby prościej.

– Nie dla niego. Albo dla niej.

– Dla niego.

– Okej, nie dla niego.

– Przez to też chce nam coś powiedzieć?

– Może farbę miał pod ręką. A pisaka nie.

Czarna farba, czarny płot, pomyślał Winter, idąc po schodach na górę, do swojego wydziału. Czy kiedykolwiek widział czarny płot? Czy ktokolwiek widział taki płot?

PIERWSZE PROMIENIE KWIETNIOWEGO SŁOŃCA padły na siedzących w przewiewnej salce konferencyjnej i to wcale nie był żart. Kwiecień, drugi miesiąc pierwszego kalendarza rzymskiego. Słowo aprilis pochodzi od apricus, co znaczy słoneczny, albo aperire, co znaczy otworzyć, albo od obydwu. Winter zapamiętał jeszcze jedną możliwość: że od Etrusków, znanych z posępnych ceremonii pogrzebowych, będących śmiertelnym zagrożeniem dla żałobników. Chciałby pojechać do Rzymu, przespacerować się z rodziną po Via Nomentana, zaczynając od Porta Pia. Tyle lat tam nie był, a one nigdy.

Jako komisarz rzymskiej policji kryminalnej podlegał jedynie Juliuszowi Cezarowi, zamordowanemu w 44 roku przed naszą erą. Niby sprawa z głowy, bo Brutus uciekł na wschód, ale dla niego osobiście – Ericusa Petrusa Hibernuma – sytuacja nie przedstawiała się zbyt korzystnie. Nie pomogło tłumaczenie, że Cezar odesłał straż przyboczną, pretorianów, z których pożytek był dopiero dziewięćdziesiąt lat później, gdy zabili pomyłonego Kaligulę, ale co mu z tego.

– Eriku!

– Hm?

– Śpisz?

W spojrzeniu Anety było chyba rozbawienie, ale wyglądała na zmęczoną, miała podkrążone oczy. Nawet Aneta się starzeje, pomyślał. Czy to możliwe?

– Śnię na jawie – odparł.

– O czym?

– O Rzymie, o mieście Rzym.

– Czy nasza sprawa ma coś wspólnego z Rzymem? – spytał Halders. Siedział obok Anety. – Czy sprawca pochodzi z Rzymu?

– Bardzo możliwe – powiedział Winter, wstając. – Aneto, proszę bardzo.

– Jak już mówiłam – odezwała się, rzucając Winterowi jeszcze jedno spojrzenie – była żona Roberta Halla powiedziała, że od czterech lat nie miała z nim żadnego kontaktu. Podobno był kiedyś w Borås odwiedzić dzieci, ale szczegółów nie znam. One były u niego w Göteborgu, w mieszkaniu przy Norra Dragspelsgatan. Tyra ma jedenaście lat, a Tobias trzynaście. Już ich wstępnie przesłuchałam.

– I jak było?

– Spokojnie.

– Jakie robili wrażenie?

– Smutni, ale nie zrozpaczeni. Przede wszystkim poruszeni tym, że to morderstwo.

– Jakie kontakty mieli z ojcem?

– Nieregularne, z tego co mi wiadomo.

– A w ogóle utrzymywał z kimś stały kontakt?

– Jak dotąd nic mi o tym nie wiadomo.

– Strasznie samotne życie – zauważył Ringmar.

Winter spojrzał na niego. Ringmar miał smutną minę. On mówi o sobie, zaproszę go dziś na kolację. Mam nadzieję, że zdążę jeszcze coś kupić w Saluhallen.

– Bersérowie byli bezdzietni, tak? – spytał Halders.

– Na to wygląda – odparła inspektor kryminalna Gerda Hoffner.

– Co znaczy wygląda? Albo byli bezdzietni, albo nie.

Winter zauważył, że Gerda się czerwieni. Rubrica, czerwień z czasów starożytnego Rzymu, zwyczajny kolor w epoce, gdy krew płynęła ulicami wraz z odchodami, śmieciami, szczurami, węzami i trupami.

– Jako małżeństwo byli bezdzietni – sprecyzowała.

– No właśnie – powiedział Halders.

– Amanda Bersér nie powiedziała, czy ma dziecko z poprzedniego związku ani czy jej mąż miał – dodał Ringmar.

– Ja tylko głośno myślę – tłumaczył się Halders.

– Dobrze, Fredriku. – Ringmar wstał. – Odkryjemy ewentualne tajemnice tych ludzi.

– Pytaliśmy ich?

– Spytamy.

- Wszyscy mają jakieś tajemnice – powiedział Halders. Panasonic na podłodze aż się rozgrzał od B.B. Kinga.
- Słuchasz bluesa? – zdziwił się Ringmar.
- To prawie jak jazz.
- A gdzie tam!
- Tak czy inaczej, dobra muzyka. Jak jazz.
- Wiesz, Eriku, czasem jesteś jak dziecko.
- Angela też tak mówi.
- Co u niej słyhać?
- Właściwie nie wiem.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

Byli w pokoju Wintera. Obaj stali, jakby nie chcieli usiąść, bo właśnie mieli wyjść. Stale gdzieś wychodzimy, pomyślał Winter. Cukiernia Ahlströms służy nam za biuro, podobnie jak najlepsze bary w mieście.

- Ona ma dość tego układu.
- Masz na myśli to, że mieszkacie daleko od siebie?
- W pewnym sensie. Ale właściwie nie o to chodzi.
- A o co?

– O moją pracę – odparł Winter. Patrzył przez okno na kanał Fattighusån. Zajmował ten pokój od szesnastu lat. W tym czasie do nowych domów po drugiej stronie kanału wprowadzili się ludzie bogaci. Może między innymi dlatego już nie chciał stać przy tym oknie. Nie lubił ludzi bogatych, z których większość dorobiła się nieuczciwie. Na swój sposób on też, bo do tak zwanych starych pieniędzy matki doszły nowe pieniądze ojca, co oznaczało, że nie lubił samego siebie, a to już była myśl niebezpieczna.

- Byłoby łatwiej, gdybyście byli bliżej siebie?
- A nie jest wtedy łatwiej? – spytał Winter.
- Zawsze jest ciężko. Spójrz na siebie.
- Bertilu, dlaczego zostałeś policjantem?
- Zapomniałem – odparł Ringmar. – Może sobie przypomnę, jak złapiemy tego sukinsyna.
- Widzę, że jesteś wkurzony.
- Nie będzie mnie facet robił w fucka.
- Oglądasz za dużo amerykańskich seriali policyjnych.

– W ogóle nie oglądam. Szwedzkich też nie. Tfu!

– Nazwisko tego gościa będzie jednym z wielu nazwisk, na które się natkniemy podczas tego dochodzenia. Będziemy mnóstwo razy gapić się na nie, nie wiedząc, że to on.

– A potem się dowiemy – powiedział Ringmar.

– Tak, potem się dowiemy.

Nie mógł oddychać, ale nie znajdował się w wodzie. Wokół wszystko było błękitne, chociaż to nie było niebo.

Poruszył rękami.

Stopami nie mógł poruszyć.

Przed nim w oddali coś zawisło, jak samotne drzewo na horyzoncie. Kołysało się powoli w przód i w tył.

Teraz to był dom. Stał przed jakimś domem, a może leżał? Wiedział, że to sen, i to był jeszcze większy koszmar. Nie mógł się z niego wydostać. Nikt nie ma dość siły, żeby się wyrwać ze snu. Sny są jeszcze gorsze niż życie.

Przed drzwiami coś wisiało, trup. Bujał się powoli w przód i w tył, w przód i w tył. Ktoś przyczepił do niego coś białego, kawałek papieru, na którym widniało coś czarno na białym, jakieś słowo, ale nie mógł odczytać, nie widział wszystkich liter. Teraz sam zawisł obok, zobaczył to słowo. Już mógł je odczytać i spróbował to zrobić. W domu rozległ się dzwonek, przed domem, na horyzoncie, w niebie, na polach, które były strasznie czerwone, wszędzie dzwoniło i dzwoniło.

Dzwoniło na stoliku nocnym, uporczywie. Położył dłoń na budziku, ale nie był to budzik, tylko telefon stacjonarny. Przetoczył się po łóżku na stronę Angeli i wymacał go.

– Słucham.

– Przepraszam, że cię obudziłem, Eriku.

– E... nie... to znaczy tak. Która godzina?

– Pół do drugiej – odparł Ringmar. – Dopiero wróciłem do domu.

– Skąd wróciłeś?

– Ze służby.

– O co chodzi, Bertilu?

– Amanda Bersér ma syna z wcześniejszego związku. Pomyślałem, że powinieneś się o tym dowiedzieć jak



najszybciej.

- Gdzie on jest?
- Tu, w Göteborgu.
- Jesteś pewien?
- Owszem. Umówiłem się z nim na dziesiątą rano.
- Gdzie?
- W Guldheden. Dlaczego ona nam nie powiedziała o synu?

Zadzwoił, chociaż była noc. Dwa, trzy sygnały.

- Słucham?
  - Przepraszam, że cię obudziłem.
  - Nie szkodzi. I tak źle spałam.
- Miała zaspany głos, jakby mówiła przez sen.
- To tak jak ja – powiedział.
  - Stało się coś?
  - Mam rzucić to gównno? – spytał.
  - Co masz na myśli?
  - Mam wsiąść do najbliższego samolotu?
  - Przecież masz pracę.
  - Sraj na to.
  - Czy to mówi Erik Winter?
  - Oczywiście.
  - Ty nie umiesz żyć bez pracy.
  - Gównno prawda.
  - Jakoś dużo się nagle zrobiło tego gówna.
  - Dla mnie wy jesteście najważniejsze – powiedział.
  - Samotność ci nie służy – odparła.
  - Cholernie mi nie służy.
  - Klniesz jak twoja siostra.
  - Bo ludzie kłamią jak cholera – powiedział.
  - To coś nowego?
  - Chciałbym mieć pracę, w której można ufać ludziom.
  - Na przykład?
  - Może zająłbym się polityką.
  - Świetny pomysł. Hiszpańską polityką.
  - Przecież mówię.

– Eriku, nie możemy cię oderwać od pracy.

Nie odpowiedział. Sam nie mógł, nie chciał się oderwać. Chciał tylko usłyszeć jej głos. Poczul się samotny bardziej niż kiedykolwiek. Niedobrze.

– Stało się coś w nocy? – spytała.

– Co noc się coś dzieje – odparł. – Dziś śniło mi się, że widzę, jak kogoś wieszają. Sam zostałem powieszony.

– O Boże.

– Na szczęście obudził mnie telefon. Dzwonił Bertil.

– Nie piłeś przypadkiem wieczorem whisky?

– Absolutnie. W ogóle żadnych halucynogenów.

– Nie będę ci mówić, że kiedy idziesz spać, pracę powinieneś zostawiać za sobą.

– Przecież to nie tak, że nie chcę.

– Wiem.

– Po prostu bierze górę – tłumaczył. – Zawsze tak jest.

– Przecież ty tego chcesz – odparła.

– Mówisz poważnie?

– A nie mam racji?

– Nie jestem wyjątkiem – powiedział.

– Myślę, że jesteś – odparła. – Wiem, że jesteś.

– Każdy człowiek jest wyjątkowy.

– Wszyscy ludzie są równi, ale niektórzy równiejsi.

– Czy my jesteśmy równi, Angelo?

– A ty jak uważasz?

Rozejrzał się po samotnym pokoju. Spojrzał na samotną ścianę, na stoliki nocne, krzesło w rogu, komodę, samotne książki na stole, historie pozostawione same sobie, przeczytane albo nieprzeczytane, okno i to fałszywe miasto za oknem, kłamstwo na kłamstwie, ciemność w godzinie wilka. Sam to sobie wybrał.

– Nie jesteśmy równi – odparł.

Najpierw odwiedzili Amandę Bersér. Jungfruplatsen spowijała mgła. Może będzie ładny dzień.

– Nikt mnie nie spytał – powiedziała, gdy już usiedli

w dużym pokoju.

Za oknem mgła robiła się coraz rzadsza. Winter ujrzał błękitne niebo. Był spokojny. Nocna rozmowa z Angelą była jak terapia.

– Myślałam, że to nie ma znaczenia – ciągnęła. – Że to nieważne.

– A jest nieważne? – spytał Winter.

– Oczywiście, że ważne, ale dla mnie.

– Jak ma na imię pani syn? – spytał Ringmar.

– Gustav. Nie wiedzieliście?

– Gdzie mieszka?

– U ojca.

– To znaczy gdzie?

– W Guldheden. Pewnie o tym też już wiecie.

– A kiedy mieszka tutaj? – spytał Winter.

– Nie mieszka tu.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Winter nie widział jej twarzy. Słońce przedarło się przez chmury i okno zaśniło jak reflektor. Nie widział jej oczu.

– Dlaczego syn nie mieszka z panią? – spytał Ringmar.

– Tak... wyszło. Mieszka z ojcem.

– Dlaczego? – spytał Winter.

– Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Będziemy z nim rozmawiać, ale najpierw chcielibyśmy usłyszeć, co pani ma do powiedzenia.

– Spotykamy się co tydzień – odparła.

– Tutaj?

Nie odpowiedziała, ale pokręciła głową.

– Czy to miało coś wspólnego z pani mężem? – spytał Winter.

– Nie...

– Na pewno?

– Nie.

– To o co chodziło?

– Nie wiem! – odparła podniesionym głosem.

– Czy teraz syn przeprowadzi się do pani? – spytał Ringmar.

– Za bardzo ją dociskałem?

Jechali mercedesem Wintera, na zachód. Najpiękniejszy dzień w tym roku, przepiękny, anieli śpiewają w niebie.

– W takim razie ja też – odpowiedział Winter.

– Cholera, co ona ukrywa?

– Kim był Jonatan – odparł Winter. – Jaki był.

– A jaki był, Eriku?

– Może aż za miły w stosunku do pasierba?

– Kłamałaby w takiej sprawie? Oślaniała męża przed synem?

– Nie mam pojęcia – przyznał Winter. – Zazwyczaj powinno się chronić syna.

Aneta zaparkowała za szkołą, pięćdziesiąt metrów od domu. Minęło ją kilka dziewczynek, pewnie szły na lekcje. Dłużej dziś pospały, pomyślała. Zawsze to lubiłam. Sen przynosi spokój.

Dom Mårtena Lefvandra był rzeczywiście imponujący. To mi wygląda na stare pieniądze, pomyślała. Wiedziała, że Lefvander jest prawnikiem, więc w grę mogą wchodzić zarówno stare, jak i nowe pieniądze. Jako policjantka zawsze będzie wobec takich ludzi na gorszej pozycji. Erik to wyjątek. Wywodzi się z wyższych sfer. Kilka razy się to przydało, gdy nikt inny nie potrafił odczytać obowiązujących w niej kodów kulturowych. Tylko on miał odpowiednie pochodzenie, a w wyższych sferach też dochodzi do strasznych zbrodni. Może dlatego tak niewielu jest policjantów o takim pochodzeniu. Ona nigdy nikogo nie zabiła. A Erik? Nie mogła sobie przypomnieć. Przecież go nie spyta.

Usłyszała okrzyk, jakby prosto z nieba.

Zobaczyła, że z ogromnej drewnianej willi wybiega młody chłopak. Biegł w jej stronę środkiem ulicy.

Wypadła z samochodu.

– Stać!

Zdażył ją minąć. Rzucił jej szybkie spojrzenie, ale jakby jej nie widział. Pobiegł dalej.

– Stać!

Wołała do jego pleców.

Nie miał najmniejszego zamiaru się zatrzymać.

Spojrzała na wille, nic się tam nie działo. Żadnych krzyków, tylko ten jeden, ten, po którym chłopak wybiegł. Nastolatek, mógł mieć najwyżej szesnaście lat. To musiał być Gustav Lefvander, syn Amandy, na pewno.

Był już pięćdziesiąt metrów dalej. Co mogła zrobić? Strzelić mu w plecy? Byłby pierwszym człowiekiem, którego zabiła. Później już poszłoby łatwo.

Zaraz potem rozległ się straszny zgrzyt opon na asfalcie i krzyk, tym razem spod ziemi, głośniejszy niż poprzedni, odgłos hamowania. Samochód zarzucił i łukiem, przerażająco blisko, przejechał obok biegnącego chłopca. Nadjechał z prawej strony skrzyżowania. Poznała mercedesa Wintera, jego sylwetkę za kierownicą. Samochód jechał teraz na dwóch kołach, wciąż potwornie blisko chłopaka, wciąż blisko śmierci, zaledwie kilka centymetrów. Ona nigdy nie była tak blisko śmierci.

ZOBACZYŁ CHŁOPAKA. PRZELATYWAŁ mu przed maską jak w koszmarnym śnie. Odruchowo zjechał na bok.

– Co, do chole... – dobiegł go krzyk Bertila.

Tkwili w samochodzie, zatrzymali się na środku skrzyżowania. Auto jeszcze dygotało. Winter nie dygotał, już wysiadał. Zobaczył na środku ulicy Anetę i chłopaka. Chłopak właśnie zniknął za jednym z wysokościowców przy Doktor Fries torg.

Winter nie zamierzał biec za nim, to się zawsze źle kończyło.

Aneta podbiegła do niego. Jej ciemna twarz pociemniała jeszcze bardziej.

– Wyleciał z domu jak wariat – powiedziała. – Lefvander. To dom Mårtena Lefvandera.

– Byłaś w środku?

– Nie zdążyłam.

– Gdzie jego ojciec?

– Już tu jedzie. Z pracy.

Winter spojrzął na dom, na Ringmara, na swój samochód i wyniosłe wysokościowce przy Doktor Fries torg.

Od południa nadszedł samochód. Zatrzymał się przed domem, zaraz za służbowym autem Anety. Wsiadł z niego mężczyzna po czterdziestce, jak wszyscy pojawiający się w tym dochodzeniu, w garniturze. Wygląda na Bourdí, chyba niemożliwe. Nie miał płaszcza. Ulizane włosy zaczesane do tyłu. Ulubiona fryzura adwokatów. Winter nie ufał nikomu, kto miał przylizane włosy. Taka fryzura to kryminal. Zwłaszcza u adwokata.

Mężczyzna spojrzął w ich stronę. Ringmar pomachał do niego.

– A to co? – spytał Winter.

– Chciałem mu tylko pokazać, że jesteśmy usposobieni pokojowo.

– Nie jesteśmy – odparł Winter, ruszając w stronę mężczyzny, ulizanego domu i ulizanych drzwi.

– Co się dzieje? – spytał Lefvander. – Gdzie Gustav?

– Uciekł – odparł Winter.

– Uciekł? Jak to?

– Wybiegł stąd kilka minut temu. O mało go nie rozjechałem na skrzyżowaniu.

– Co pan opowiada?!

– Widać mu się śpieszyło.

– Nic nie rozumiem.

– Czy jadąc do domu, dzwonił pan do niego? – spytał Winter.

– Tak, ale było zajęte.

Winter pokiwał głową.

– Jezu – powiedział Lefvander, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął komórkę i wybrał skrócony numer. Czekał. Patrzył na Wintera jak na ducha. Tak. Ja jestem z twoich snów. To ja.

– Nie odbiera. Za szybko biegnie.

– Jezu – powtórzył Lefvander, zupełnie jakby był człowiekiem wierzącym. Ale nadaremno wzywał imienia jedyne go syna. Może Gustav też jest jedynym dzieckiem. Winter tego nie wiedział.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? – spytał, wskazując na dom.

Lefvander odwrócił się, jakby zobaczył swój dom po raz pierwszy. Potem spojrzał na Wintera.

– Nie. Mieszkamy tu tylko we dwóch. – Znów spojrzał na dom, na Wintera, i jeszcze raz na dom. – Myśli pan, że... tam ktoś jest?

– Wchodzimy – powiedział Winter.

W środku było ciemniej, niż Winter się spodziewał. Okna okazały się nie tak duże, jak się wydawały z ulicy. Wnętrze było ponure.

– Widocznie ktoś do niego zadzwonił – powiedział Lefvander. Sprawdzili dwa pokoje i kuchnię i stali w przedpokoju. Winter obszedł również pokoje na piętrze. Nigdzie żadnych śladów walki.

– Kto? – spytał Ringmar.

- A skąd ja mam wiedzieć?
- Ma pan w domu telefon stacjonarny?
- Tak...
- Gdzie go znajdę?
- W kuchni.

Wrócili do kuchni. Wymagała remontu, wymiany. Lefvander sprawiał wrażenie, jakby sobie nie radził, ale czy on, Winter, miał prawo go osądzać? Nawet nie pamiętał, gdzie odłożył młotek, gdy dwa czy trzy lata wcześniej przybijał do ściany haczyk, żeby powiesić oprawioną fotografię dziewczynki w stroju baletnicy, stojącej przy starym pianinie w Houston w USA, dzieło Katy Anderson, Sparrow Song. Kupili je za ciężkie pieniądze w małej galerii w Paryżu, w pobliżu placu Bastylli.

Lefvander zdjął telefon z podstawki i spojrzął na wyświetlacz.

- Rzeczywiście ktoś dzwonił – powiedział.
- Co to za numer?

Lefvander nie odpowiedział. Patrzył z niedowierzaniem na wyświetlacz. Potem spojrzął na Wintera, na Ringmara, i znów na wyświetlacz.

- Kto dzwonił? – spytał Winter.
- Jonatan – odparł Lefvander.
- Przepraszam, kto?
- Jonatan Bersér. Faktem jest, że znam ten numer. – Znów spojrzął na Wintera. – Czy on nie został zamordowany?

- Cholerna historia – powiedział Ringmar.
- Czego on chciał od tego chłopaka? – zastanawiał się Winter.

Siedzieli w jego samochodzie, ale jeszcze nie ruszyli. Gustav Lefvander gdzieś jest, oby żywy. Skontaktował się z nim morderca. Chyba że to ktoś, kto znalazł komórkę. Raz za razem dzwonił na komórkę Berséra, ale nikt nie odbierał. Czy Gustav znał tego, kto dzwonił? Rzucił się do ucieczki, dosłownie rzucił się. Czy to było ostrzeżenie? Kim właściwie jest Mårten Lefvander? Kim jest Amanda Bersér? Kim był Robert Hall?



A Jonatan Bersér?

Plus nazwiska, które jeszcze dojdą, pomyślał Winter.

- Czy to było ostrzeżenie? – zastanawiał się głośno Ringmar.
- To samo sobie pomyślałem.
- Ostrzegał go, że przyjdziemy?
- On się nie może chować przed nami.
- Może na wyświetlaczu pokazał się jakiś stary numer
- powiedział Ringmar. – Mnie się to zdarza raz po raz.
- A mnie nigdy – odparł Winter.
- Możliwe.
- Wszystko jest możliwe.
- Ogłaszamy poszukiwania?

Winter nie odpowiedział.

Ruszył. Minął Doktor Friesa, tory i gabinet swojego dentysty, Daga. Niedługo powinien się wybrać na coroczną wizytę kontrolną. Chce gryźć, żuć, steki, żeberka, homarce z rusztu, surowiznę, gryźć jak najdłużej, aż do późnej starości. Objechał rondo na Wavrinskys plats, jechał Guldhedsgatan, minął szpital Sahlgrenska. Przemknęła mu przez myśl Angela. Pewnie by tu pracowała, gdyby była w Göteborgu, w domu, a może to miasto już nie jest jej domem. To moja wina, nie tylko dlatego, że zaciągnąłem swoją rodzinę na Costa del Sol.

– Chłopak może być w niebezpieczeństwie – powiedział Ringmar.

- Nie.
- Nie?
- Jest w drodze do matki.
- Ona nie odbiera.
- A jednak.
- My też tam jedziemy?
- Właśnie sobie pomyślałem, że tak – odparł Winter, przecinając ciągłą linię i mijając jakiś dumny tramwaj koło Jubileumskliniken. Wjechał na teren kliniki, zawrócił, okrążając kiosk z gazetami, i wrócił na Guldhedsgatan. Jechał na wschód. Po kilkuset metrach zjechał w stronę Toltorpsdalen.

– Z kim my mamy do czynienia? – zastanawiał się Ringmar.

- O co ci chodzi?
- Czy oni wszyscy są popieprzeni?
- Nie bardziej niż zwykle.

Winter zaparkował przed centrum handlowym przy Jungfruplatsen, skazanym na niebyt jeszcze przed ukończeniem budowy. Ciągające się w nieskończoność trzypiętrowe bloki obłożone tanią czerwoną licówką. Widok tak przygnębiający, że płakać się chce. Jak można mieszkać wśród takiej czerwieni i szarości. Sama nazwa placu wyglądała na kiepski żart, zważywszy na to, co się z niego zrobiło. Winter nie wiedział, co było pierwsze, kura czy jajko, szatan czy jego babka, jak mówi stare porzekadło, ale oczywiście była tam pizzeria, jak zresztą wszędzie. Dajcie mi zapiekankę z kapusty, oddałbym królestwo za gołąbki z sosem pieczeniowym, gotowane ziemniaki, krojone ogórki w occie.

Nad placem snuła się mgiełka. Prześliczna. Cały plac się od niej zmienił. Winter siedział w samochodzie. Widocznie na niego też podziałała. Ni z tego, ni z owego poczuł się tak, jakby był w jakimś innym, lepszym miejscu, na innej planecie. Jakby sam stał się kimś innym. Spojrzał na swoją dłoń, podniósł ją. Należała do kogoś innego, do jakiegoś lepszego człowieka. Nie mógł poruszyć innymi częściami ciała. Ktoś wyłączył silnik, pewnie on. Tracę rozum. Bertil zaraz zacznie się dziwić. To tylko kwestia czasu, wszystko jest k-w-e-s-t-i-ą-c-z-a-s-u. To przez głód whisky. Człowiek umiera w środku. Porusza ręką, ale jest martwy.

- Eriku, co się dzieje?
- Weltschmerz.
- Aha.
- No to wchodzimy.

Chłopak otworzył drzwi. Zobaczył ich przez okno, oni jego też. Błada twarz na tle czarnego okna. Wyglądał na przestraszonego, widzieli to w jego oczach. Poza tym spokój.

Winter pokazał legitymację.

- Poznaję pana.
- Zdażyłeś?
- Jak mnie znaleźliście?
- Po prostu zgadliśmy.

Chłopiec kiwnął głową, jakby był do takich rzeczy przyzwyczajony.

- Biegłeś całą drogę?
- Tak.

Gustav Lefvander mówił prawdę, koszulę miał mokrą od potu. Kurtka leżała na podłodze.

- Można wejść? – spytał Winter.

Chłopak cofnął się w głąb przedpokoju.

Winter zamknął za sobą drzwi.

- Dlaczego uciekłeś?
- Ktoś zadzwonił.
- Kto?
- Nie wiem.
- A mimo to się wystraszyłeś.
- Bo zobaczyłem numer.
- Jaki numer?

Chłopak nie odpowiedział.

- Kto to był? – spytał Ringmar.
- Nie odezwał się.
- A ty co powiedziałeś? – spytał Winter.
- Nic... to znaczy słucham... albo halo... nie pamiętam.
- Wiemy, że ten ktoś dzwonił z telefonu Jonatana Berséra
- powiedział Winter. – Widzieliśmy numer na wyświetlaczu.

Chłopak spojrzał na Wintera niewidzącym wzrokiem.

Ktoś mu coś powiedział. On nie chce tego powtórzyć. Nie wolno mu tego powtórzyć.

- Usłyszałeś coś? – spytał Ringmar.
- Co miałem usłyszeć?
- Jakieś odgłosy? Coś jeszcze?
- Nie...
- Dlaczego uciekłeś?
- Mówiłem... ten numer.

Winter kiwnął głową.

– Nie chciałem tam zostać.

– Wiedziałeś, że jedziemy do ciebie.

– Nie chciałem tam zostać – powtórzył Gustav.

Nagle wydał się Winterowi dziecinny. Nie wyglądał na piętnaście lat, raczej na dziesięć. Dla młodego człowieka taka różnica to jak dwadzieścia lat, dla starego – dwadzieścia minut.

– Nas się bałeś?

– Nie... tak.

– Dlaczego się nas bałeś?

Marconihallen na pewno nie jest pięknym budynkiem. Może to nieistotne w przypadku sztucznego lodowiska, gdzie najważniejszy jest lód. I dach. Hala stanęła w miejscu dawnego boiska Marconiplan, gdzie Winter rozegrał swój ostatni mecz w barwach BK Finter. Teraz grała tam drużyna hokejowa Bäckén HC. Nazwa równie głupia, jak nazwa drużyny piłkarskiej BK Häcken. Zdecydowanie coś jest nie tak z tym miastem, jego miastem.

Nie był pewien, kiedy zbudowali tę halę, ale musiało to być niedawno. Dookoła w ogóle dużo się budowało. Domy wielorodzinne w całkiem ludzkiej skali, ładniejsze od tych przy Jungfruplatsen. Nie były wyższe, ale jakby weselsze. Za halą powstały domy o łupkowych fasadach, tworzące coś w rodzaju rynku, a całe osiedle nosiło nazwę Park Marconiego, chociaż nie było tam żadnego parku. Boisko Marconiego było kiedyś parkiem, chociaż bez trawy. Zwykle żwirowe boisko, kamień, kreda, pot i krew, jego krew, z jego kolan. Jego młodość. Tak było do chwili, gdy w wieku trzydziestu sześciu lat został najmłodszym komisarzem policji kryminalnej w całej Szwecji. Wtedy stał się prawie dorosły.

Poczuł zimno od lodowiska. Pustka, nikogo, mimo otwartej bramy. Na ścianie napis: „GO BÄCKEN!”. To pierwsze, co się rzucało w oczy, jak tylko się weszło.

Dalej reklama Skanska i Piwafood. Kurde, co to jest Piwafood?

W hali panowała zima. Winter był w zimowym palcie. Pod spodem miał garnitur, a mimo to przemarzył do kości. Z miejsca. Zatrzął się.

Po przeciwnej stronie lodowiska ktoś stał.

Zobaczył nieruchomą sylwetkę, jakby tamten na coś czekał albo jakby oglądał mecz rozgrywający się w jego wyobraźni.

Winter ruszył wzdłuż trybuny. Naprzeciwko chyba nie było trybun. Tamten też ruszył, ale w drugą stronę. Oddalał się od niego, obchodził lodowisko. Był bez czapki, miał jasne włosy. Dość młody, może miał trzydzieści lat, może mniej. Odwrócił twarz w stronę Wintera i poszedł dalej. Winter poczuł, że kotłuje mu się w brzuchu. Obrzydliwe uczucie, jakby zaraz miał wymiotować na lodowisko, na Piwafood. Zatrzymał się, wbił wzrok w ziemię i przelknął ślinę.

Podniósł wzrok, ale po drugiej stronie już nikogo nie było. Co się ze mną dzieje? Diabeł szarpie mnie za trzewia.

Znów mógł się ruszać. Mdłości ustępowały. Ruszył do wyjścia. Wyglądało równie samotnie jak wszystko inne w hali.

Na dworze już go nie zobaczył. Zniknął między placami budów. Koparki pełzały po czarnej skorupie ziemskiej jak pająki.

Po drugiej stronie Marconigatan zobaczył szyld pizzerii Ruddalens, dalej szyld myjni samochodowej Clear Park. Pod wiatą przystanku na Musikvägen kulili się jacyś biedacy. Wyglądali jak postacie z ponurego dramatu. Śnieg unosił się w powietrzu, opadał powoli jak popiół. Wszystko wokół wydawało się czarne albo szare.

Przejechał kilkaset metrów, skręcił w Norra Dragspelsgatan i zatrzymał się przed jednym z ohydnych dziesięciopiętrowych szarych bloków. Kolor został starannie wybrany przez idiotów od planowania przestrzennego, socjaldemokratycznych kretynów niemających za grosz wstydu, członków sprzysiężenia z szalonych lat sześćdziesiątych. Sam się wtedy urodził. Dekada była jeszcze młoda i niewinna, jak piękne dziecko urodzone w dysfunkcyjnej rodzinie. A potem lata siedemdziesiąte, pomyślał. Dalszy ciąg zbrodni popełnianej na mieszkańcach Göteborga.

W mieszkaniu Roberta Halla czas stanął i już nie ruszy, dopóki nie wprowadzi się tam inny biedak oczarowany widokiem na Västra Frölunda. Dlaczego w te wieżowce nie walnie jakiś samolot? Przecież te domy nie mają w niebie nic do roboty.

Na dole, tam gdzie zginął Hall, drzemały krzaki. Została jeszcze taśma policyjna, jedyny akcent kolorystyczny. Kwiecień to miesiąc bez kolorów, miesiąc ostrego bezbarwnego wiatru i ziemi, która się zastanawia, czy warto się jeszcze raz obudzić. Ludzie ze skłonnością do depresji unikają kwietnia jak dżumy. Próbują przeskoczyć ten gówniany miesiąc, uciekając do innego świata.

Podszedł do okna wychodzącego na wschód. Podpierając się wyobraźnią, mógł stamtąd zobaczyć Jungfruplatsen i krzaki koło szpitala. Kotłownię, przy której leżały zimne jak lód zwłoki Jonatana Berséra. Stare budynki, w których kiedyś były mieszkania pracowników. Bersér leżał na ukos od Budynku UI. Kiedyś toczyło się tam życie, może było słyhać śmiech młodych kobiet pragnących ratować ludzi. Miał je pod powiekami. Szły przez trawnik w białych i błękitnych uniformach, w kolorach Göteborga. Na ten ciepły obraz życia i radości nałożył się dzwonek komórki. Dzwonił Öberg.

– Słucham cię.

– Zbadaliśmy farbę.

– Tak?

– To farba do użytku zewnętrznego. Do powierzchni drewnianych. Alcro, farba nazywa się Bestå. Jeden z kilku odcieni czerni. Jak teraz na nią patrzę, to poznaję. Używał jej mój brat. Tak czy inaczej, mamy ją. Znaczą Bestå.

– Jeśli używał jej twój brat, to chyba jest bardzo zwyczajna.

– Niestety tak.

– Kurde, kto maluje ściany na czarno? Goci czy jak ich zwać? Deathmetalowcy?

– A oni mają własne domy?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Pewnie do czarnych elementów. Tak się domyślam, przecież nie wiem.

- Okej, jeszcze coś?
  - Nazwa wynika z właściwości. To znaczy że barwa i połysk mają być trwałe i tak dalej.
  - Wolał nie ryzykować – zauważył Winter.
  - Cha, cha.
- Winter wrócił do okien wychodzących na Frölunda targ.
- Trzeba sprawdzić tutejsze sklepy z farbami – powiedział.
- Nigdy nic nie wiadomo. Może został jakiś kwit.
- Nigdy nic nie wiadomo.
  - W najlepszym razie znajdę dla ciebie napoczętą puszkę farby.
  - Wielkie dzięki.
  - I pędzel.
  - Eriku, jeśli znajdziesz puszkę, znajdziesz i pędzel.
  - Myślę, że znajdę.
  - Wiem, że znajdziesz.
  - Jestem w tej chwili w mieszkaniu Halla.
  - Pewnie nie ma tam żadnej puszk.
  - Tu w ogóle nic nie ma – odparł Winter. – Nic nie czuję.
  - Wydaje mi się, że rozumiem, co masz na myśli.
  - Tu wszystko jest martwe – powiedział Winter. – Chyba więcej tu nie przyjdę.

Stojąc przed domem, wybrał numer komórki Jonatana Berséra. Rozległo się kilka sygnałów. Ktoś zapewne patrzył na wyświetlacz i może wiedział, że to on dzwoni. Potem zadzwonił na komórkę Roberta Halla. Nie usłyszał żadnego sygnału. Sztucznie brzmiący kobiecy głos poinformował go, że abonent jest w tym momencie nieosiągalny.

Wsiadł do samochodu. Nastawił gitary Frisella tak głośno, że przykryły jego tinnitusa. Poczul się fantastycznie: jechał do miasta trasą imienia Daga Hammarskjölda, już bez szumu w uszach, sam pogłos, decybele i wycie Frisella do niezmiennego nieba, czarnego jak domostwo szatana.

WINTER WZIĄŁ żeberka jagnięce, podzielone według rozbioru francuskiego, obsmażył je na maśle z oliwą, posolił i popieprzył, ale nie dodał ani czosnku, ani ziół. Potem włożył je na trzynaście minut do piekarnika nagrzanego do dwustu stopni, później odłożył na pięć minut, żeby mięso odpoczęło na desce do krojenia.

Kotlety wykroił już na stole. Do tego podał prostą sałatkę, trochę oliwy, kilka sardeli i spory kawał parmigiano reggiano sezonowanego przez trzydzieści trzy miesiące. Odkrawali sobie kawałki podczas posiłku.

– Niezłe – odezwał się Ringmar. Dłuższą chwilę milczał i tylko żuł.

– Dziękuję, Bertilu.

– Bardzo dawno nie jadłem tak przyzwoitego posiłku.

– Domyślam się.

– A to widać?

– Człowiek, który nie odżywia się jak trzeba, staje się nieszczęśliwy.

– Czy ja wyglądam na nieszczęśliwego?

– Czasami.

– Wiesz co, Eriku, ty też nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego z życia.

– W tej chwili jestem akurat całkiem zadowolony.

– Nie da się spędzić życia, wyłączając godziny na sen, nad apetycznymi żeberkami jagnięcymi – stwierdził Ringmar.

– Naprawdę?

– I co to za popitka!

– Nie lubisz Dewar's?

– Whisky do jedzenia? W dodatku blended.

– Do jedzenia nie można pić whisky malt.

– A Dewar's niby można?

– Nie do wszystkiego. Ale Joe Dogs Iannuzzi poleca ją do



niektórych potraw. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był kucharzem mafii, napisał nawet The Mafia Cookbook. Mam ją gdzieś. Dobre przepisy.

– To akurat rozumiem – powiedział Ringmar. – Faceci chcieli dobrze jadać, bo każdy posiłek mógł się okazać ostatnim.

– Ossobuco według przepisu Iannuzziego to najlepsza gicz, jaką kiedykolwiek przyrządziłem – odparł Winter.

– Do tego też miała być whisky?

– Nie. Ale do pieczenia wieprzowej w musztardzie dżońskiej już tak. Dewar's White Label on the rocks.

– W Azji piją whisky do jedzenia – ciągnął Ringmar.

– Johnny Walker Black Label.

– Whisky niezbyt pasuje do orientalnej kuchni – stwierdził Winter, odkrawając następne kotlety. Mięso miało w środku idealnie różowy kolor. – Zabija smak przypraw.

– Ale whisky stała się symbolem statusu społecznego – odparł Ringmar. – Nowobogaccy nie dbają o smaki.

– Gdzieś ty to słyszał?

– Wiesz gdzie, Eriku. Przestań.

– Co mam przestać?

– Po to mnie zaprosiłeś na tę kolację? Z whisky?

– Musisz mi to wytłumaczyć, stary.

– Nie ma co tłumaczyć.

– Okej, w takim razie opowiadaj.

Ringmar podniósł szklankę. Była pusta. Wziął butelkę i nalał sobie na jeden palec. Włożył dwie kostki lodu, napił się, odstawił szklankę i spojrzął na Wintera.

– Martin opowiadał ci o zwyczajach kulinarnych Azjatów – powiedział Winter, patrząc na Ringmara. – Zna się na tym, bo jest kucharzem w hotelu Shangri-La w Kuala Lumpur.

– Szefem kuchni – podkreślił Ringmar.

– Szefem kuchni. Bardzo doświadczonym.

Ringmar milczał. Przyglądał się swojej whisky. Miała jasną barwę, wydawała się swawolna i rzadka jak jego siki w ciągu dnia.

– Bertilu, musisz mi kiedyś powiedzieć, co się stało, że już

nie masz z nim kontaktu.

– Dlaczego muszę?

– Bo musisz.

– A jeśli sam nie wiem?

Winter się napił. Do tej pory wypił tylko dwie szklaneczki, to znaczy na dwa palce, nie więcej, tyle samo co podczas kąpieli przed kolacją.

– Jeśli ja sam nie wiem? – powtórzył Ringmar. – Do cholery, jak mam ci powiedzieć? Co? Rozumiesz?

Winter nie odpowiedział. Trzymał w ręku kotlet. Na desce do krojenia zostało jeszcze trochę. Mięso miało piękny kolor, piękniejszy niż whisky, ciemniejszy.

Ringmar poprawił się na siedzeniu, niezgrabnie, kilka kropel chlupnęło z jego szklanki. Nie był pijany. I nie było mu za wesoło.

– Eriku, nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Jest w tym coś więcej?

– Coś więcej? Czy to jest przesłuchanie?

– Nie.

– Za bardzo przypomina przesłuchanie.

– Ale nie jest.

– Tak czy inaczej, jestem niewinny – oznajmił Ringmar.

Winter milczał. Nie wiedział, co powiedzieć.

– I co na to prowadzący przesłuchanie?

– Bertilu...

– To ty zacząłeś – przypomniał Bertil. – Szefie, o co ci chodzi, do cholery?

– Nie jestem twoim szefem.

– No pewnie. Ale tak się zachowujesz. Formalnie jesteś szefem, zresztą nie tylko formalnie, ty snobie cholerny.

– Zostało trochę jedzenia.

– Co?

– Jedz, zanim mięso zrobi się do niczego.

– W dodatku chcesz decydować, kiedy mam jeść?

– W mojej kuchni ja decyduję.

– Jestem niewinny – powiedział Ringmar. – Martin nie chce mnie znać, ale ja nie wiem dlaczego.

- Nie mógłbyś spróbować z nim porozmawiać?
- Myślisz, że nie próbowałem?
- Wiem, Bertilu, przepraszam.
- Nie odpowiada na maile i nie odbiera telefonów.
- To dlaczego tam nie pojedziesz?
- Nie mam odwagi.
- A co masz do stracenia?

Ringmar nie odpowiedział. Wbił widelec w kawałek mięsa, ale nie podniósł do ust. Mięso było już zimne.

- Nie masz nic do stracenia – powiedział Winter.
- Masz rację. Nie mam.
- Jedź do niego.
- To jedź ze mną, Eriku.

Ojciec pochylił się nad nim. Czegoś chciał, ale nie potrafił powiedzieć czego. Był cieniem.

Dotknął go. Potrząsnął nim, tak jak on czasem potrząsał swoim misiem.

Spał.

Tata wszedł do jego pokoju.

Z kuchni dobiegł śmiech matki, śmiała się bez przerwy.

Był z nią ktoś jeszcze i też się śmiał.

Ich śmiech był nieprzyjemny. Nie chciał, żeby się tak śmiali.

I nie chciał, żeby to się powtórzyło. Potrząsanie bolało. Bolała go głowa, ramiona.

Miał dwa lata, nie więcej.

Wiedział, że ma dwa lata i że nie będzie tego pamiętał.

Nie będę tego pamiętał, pomyślał, mając dwa lata, siedząc sam w łóżku, w samotnym pokoju w mieście Göteborg.

Cień wrócił.

A tamci wciąż się śmiali. Śmiech wypełnił jego łóżeczko i cały ciemny pokój.

Cień dotknął go, pociągnął za ramię. W pokoju zapachniało czymś dziwnym, nieznanym.

Winter obudził się z krzykiem.

Siedział w łóżku.

Może cały czas tak siedział.

Próbował sobie przypomnieć, kim jest.

Już nigdy nie pograży się we śnie, nie da się zwabić do krainy, w której nie trafia się do wyjścia.

Wyskoczył z łóżka. Nagle zrobiło mu się niedobrze, jakby dostał pięścią w przeponę. Przebiegł przez przedpokój, uderzył głową o drzwi łazienki i zaczął gwałtownie wymiotować. Wymiotował i wymiotował, nie mógł przestać.

Łzy lały mu się z oczu.

Łapał oddech, jakby się topił.

Kim ja jestem? – pomyślał.

Kim się stałem?

Czy sny mówią prawdę?

Przypomniał sobie kolację z Bertilem. Czy on tu jeszcze jest? Nie pamiętam, żeby wychodził. Pamiętam za to, że poszedł po więcej whisky.

Budzik na nocnym stoliku wskazywał kwadrans przed szóstą. Świtało nad Vasastan<sup>5</sup>. Winter spojrzął przez okno na błyszczące w słońcu miedziane dachy.

Wstał z łóżka. Fiut sterczał mu na wprost, miał fenomenalny poranny wzwód.

Ringmar był w dużym pokoju. Siedział w fotelu Lamino i już był ubrany. Na kolanach trzymał chwiejącego się laptopa. Błękitne światło ekranu groteskowo rozświetlało jego twarz.

– Zaraz wracam – powiedział Winter. Szybko przeszedł przez przedpokój, do toalety. Próbował sobie przypomnieć, kiedy, jak i dlaczego poszedł się położyć. Czy ciągnęli tę rozmowę o ojcach i synach? Pewnie tak. Potem przyśnił mu się tamten dziwny, obrzydliwy sen.

Wrócił i Ringmar podniósł wzrok znad laptopa.

– Załadowałem pocztę mailową Halla i Berséra z całego roku, tak na początek.

– Okej.

– Z pocztą Halla już się uporałem.

---

<sup>5</sup>Nazwa dzielnicy Göteborga, ale również Sztokholmu.

- Znalazłeś coś?
  - Boże, ten facet nie miał do kogo pisać. Dostawał sam spam.
  - A dzieci?
  - Nie mailowali do siebie.
  - Trzeba będzie odkurzyć jego twardy dysk.
  - Oczywiście, ale nie wydaje mi się, żebym w koszu znalazł dużo prywatnej korespondencji. Chociaż to tylko przeczucie.
  - A Bersér?
  - Dopiero się zabrałem. Tu jest więcej. Wiesz, nauczyciel gimnastyki.
  - Magister. Magister wychowania fizycznego.
  - Kurde, no oczywiście. Dlaczego u nas tak nie ma? Magister policji? Magister dyrektor Winter – powiedział Ringmar, przewijając to, co się wyświetlało na migoczącym błękitnym światłem ekranie. – Wicedyrektor magister Ringmar.
  - Napije się pan kawy?
  - Możesz mi mówić ty.
  - Chcesz kawy?
- Ringmar zamknął laptopa. Jego twarz zniknęła w ciemnościach.
- Eriku, mam nadzieję, że zapomniałeś, o czym rozmawialiśmy w nocy.
  - A o czym rozmawialiśmy?
  - Chętnie się napiję kawy.

Ringmar siedział przy kuchennym stole i drapał się w zarost na podbródku. Wyglądał, jakby przespał noc w ubraniu, ale chyba nie spał. Miał przekrwione jedno oko. Winter zjechał windą do piekarni na Vasaplatsen i kupił croissantsy. Były jeszcze ciepłe. Wyjął z lodówki masło i szkocki dżem. Kawa była wietnamska, ziarna z Buon Ma Tuot, cholernie dobra.

- Tam też możemy pojechać – powiedział Ringmar.
- Słucham?
- Jak pojedziemy do Malezji. Możemy przy okazji pojechać do Wietnamu. Zawsze chciałem zobaczyć ten kraj, od czasu bitwy o Dien Bien Phu.

– Ja nawet nie zauważyłem amerykańskiej wojny w Wietnamie – powiedział Winter. – Byłem nastolatkiem, kiedy się skończyła.

– To się ciesz. Nie musiałeś pałować demonstrantów.

– Pałowałeś?

– Pierwszą służbę miałem w sztokholmskim wariatkowie. Ale nie pałowałem. Dałem nogę. Myślałem nawet, żeby zrzucić mundur i przyłączyć się do ruchu poparcia Wietkongu.

– Bertilu, ty już wtedy byłeś wyjątkowy.

– Mam nadzieję, że zostanie to zauważone przy odpowiedniej okazji – odparł Ringmar, zabierając się do smarowania kolejnego croissanta.

– Właśnie zostało.

– Już wytrzeźwiałem – powiedział Ringmar, podnosząc wzrok. – Może powinienem skorzystać z szansy i pojechać. Martin tu raczej nie przyjedzie.

– Pojedziemy, jak skończymy to dochodzenie – powiedział Winter.

– Może potrwać całe lata.

– A ja liczę, że do nocy świętojańskiej zamkniemy sprawę.

– Tak szybko? Bo przyjeżdża twoja rodzina? Nie musisz omijać tego tematu. Zniosę to.

– Nie, bo nie podoba mi się to dochodzenie.

– Cha, cha.

– Nie chodzi tylko o te ofiary leżące na ziemi.

– Eriku, co się dzieje?

– Jest niedobrze.

Poranek jeszcze się nie skończył. Ringmar już o nic nie pytał, jeszcze nie pytał. Śniadanie zjedli w milczeniu. Słońce wpychało się do mieszkania, oświetliło nawet przedpokój.

Komórka Wintera zaczęła wędrować po stole, mrugać okiem, jęczeć, popiskiwać.

– Słucham?

Dzwonił Halders.

– Zaczynamy wszystko od nowa – powiedział.

RYNEK BYŁ NA SWOIM MIEJSCU, i tak już zostanie. Będzie się coraz bardziej rozrastał, aż obejmie całą Frölundę i wszystkich mieszkańców dzielnicy, sto tysięcy ludzi. Stał przy oknie i patrzył na rozpościerający się w dole rynek. Najpierw ze starego mieszkania przy Mandolingatan, potem z nowego. Nie lubił go i nawet to powiedział, ale oczywiście się wprowadził, bo to była część planu.

Przejrzał go jeszcze raz. To był dobry plan. Zabawne, to samo słowo: tu plan i tu plan. Spojrzał na stolik stojący przed kanapą. Najpierw na telefony komórkowe, potem na leżący obok papier.

Przez nasycone śniegiem powietrze przebijały się promienie słońca. Niebo było spięte tęczą, jak mostem. Nikt nim nie szedł, i bardzo mądrze, bo o tej porze roku tęcze nie występują.

Przypomniał sobie tamtą tęczę, kiedy pojechali nad morze. Było po deszczu, tęcza szła przez całe niebo i całe morze. Wszyscy byli rozradowani, to był ich pierwszy obóz sportowy.

Wskakujemy!

Mecz rozegramy potem!

Pływanie w ubraniu!

Pora się napić!

Wziął ze stołu papier. Odczytał nazwisko. Pod nim było jeszcze kilka, ale to było najbliżej, jeśli spojrzeć na to w ten sposób. Numer trzy na liście, jeśli potraktować to jak listę.

Znów odczytał jej nazwisko.

W PARKU TRÄDGÅRDSFÖRENINGEN pachniało trawą i wilgocią. Winter był tam kilka razy, ale za mało. Myślał o tym za każdym razem, gdy tam przychodził. Palmiarnia. Róże. Cienie pod dębami w upalny dzień. Powoli płynąca woda Vallgraven<sup>6</sup>. Spokój. Dookoła miasto, a pośród jego szumu cisza. Był tu tylko raz, odkąd dostał tinnitusa. Cisza go jeszcze wzmogła.

Teraz znów tam był.

Kobieta leżała pod klonem, w pobliżu kanału. Z drugiego brzegu nie było jej widać. Pracownik parku znalazł ją o siódmej trzydziści. Była martwa od przynajmniej pięciu, sześciu godzin. Tak powiedziała Pia E:son Fröberg.

Technicy pracowali w milczeniu. Pozwolili Winterowi podejść.

Martwa kobieta miała na głowie błękitną foliową torbę.

Ręce związane z tyłu.

Zachowała podbrzusze, jeśli można się tak wyrazić, pomyślał Winter. Nie było odkryte.

Matilda Cors. Sztuczny uśmiech na zdjęciu w prawie jazdy. Długo patrzył na jej twarz, jakby ją znał. Mógł ją znać.

Do jej kurtki ktoś przypiął agrafką kawałek kartonu. Na nim widniała litera I, jak czarny wykrzyknik wymalowany czarną farbą, zapewne Bestå, do malowania drewnianych powierzchni zewnętrznych.

Bardzo trwała.

Matilda Cors już nie trwała.

Winterowi przyszedł na myśl napis, który widział kiedyś w Rzymie, z czasów dawnych bogów: Non fui, fui, non sum, non curo<sup>7</sup>.

---

<sup>6</sup> Vallgraven – fosa zbudowana w latach dwudziestych XVII wieku wokół powstającego wtedy Göteborga.

<sup>7</sup> Łac. Nie byłem, byłem, nie ma mnie, więc nie dbam o to.



W dawnym Rzymie nie było życia wiecznego.

Czy Matilda Cors marzyła o życiu wiecznym?

Ziemia wokół ciała wyglądała, jakby stoczono na niej walkę.

– Nie dostała w głowę – powiedziała Pia chwilę wcześniej.

Winter oczyma wyobraźni zobaczył tę straszną scenę. Zmagania leżącej na ziemi kobiety, wymachującej nogami. Jej ciało wije się, buty ryją w martwej trawie. Morderca stoi obok i przygląda się w milczeniu.

To było jeszcze gorsze od ciosu w potylicę, który powoduje zbawienną utratę przytomności. Tym razem miało być gorzej. Jej kara miała być jeszcze gorsza. Nieważne, w majtkach czy bez nich, przesłanie dotarło i wciąż dociera.

Winter spojrział. Jest R, jest O, teraz również I. Nadal żadnego słowa, chyba że to skrót.

Zastanawiał się, czy to długie słowo.

– Jej kara miała być jeszcze surowsza – powiedział do Haldersa, który przykucnął, żeby spojrzeć na ciało pod innym kątem. – Nie wolno jej było zrobić tego, co zrobiła. Kobieta ma jeszcze gorzej. Wtedy tak się to kończy. Co ona tu robiła? Jak weszła do parku? Przecież musiał być zamknięty. Ktoś ją przywiózł, zaprosił tu w środku nocy.

– Znała mordercę, podobnie jak tamci.

– I jest w tym samym wieku – zauważył Halders. – Wydaje mi się, że musiała być ładna za życia.

– Cors. Czy to nie jest przypadkiem marka piwa?

– Chyba pisane przez dwa o.

– Potrzebujemy więcej samogłosek.

– Ale to oznacza więcej trupów.

– Na razie mamy jedną spółgłoskę i dwie samogłoski.

– Przydałaby się jeszcze jedna samogłoska. Na przykład A.

– Zakładamy, że już ją mamy, bo występuje w prawie wszystkich słowach.

– Okej.

Winter i Ringmar byli w mieszkaniu Matildy Cors. Mieli widok na Trädgårdsföreningen, tak jak z nędznego mieszkania

Roberta Halla widzieli dzielnicowy dom kultury we Frölundzie.

Tego mieszkania nie można było nazwać nędznym. Trzy pokoje w stosunkowo niedawno wyremontowanej kamienicy przy Stora Nygatan, po przeciwnej stronie Vallgraven, jeśli patrzeć od strony parku.

– Mieszkała tak, jak powinna mieszkać prawniczka – zauważył Ringmar.

– Tak.

– W dodatku doradca podatkowy.

– Tak.

– I singielka.

– Z jakimś byłem.

– Z facetem od seksu.

– Można tak mówić o czterdziestolatkach?

– Tak.

– Tych byłych musiało być więcej.

– Zacznijmy od ostatniego.

Rupert Montgomery też mieszkał w obrębie Vallgraven, przy Lilla Kyrkogatan. Zadzwonili do niego i zastali go w domu. Poprosili, żeby nie wychodził, żeby na nich czekał.

– Co to za nazwisko dla Szweda? – wydziwiał Ringmar, gdy Winter z naruszeniem przepisów parkował przed domem.

– Historyczne więzy mieszkańców Göteborga z Brytyjczykami – odparł Winter. – I Irlandczykami.

– Twoje nazwisko też nie jest szwedzkie.

– Można tak powiedzieć.

– Montgomery... to brzmi jak wyższe sfery.

– Zobaczymy.

– Eriku, ty będziesz gadał.

– Dlaczego?

– Bo jesteś z wyższych sfer.

– Nie spotykaliśmy się od kilku miesięcy – powiedział Montgomery.

Ringmar miał rację. Montgomery wyglądał na człowieka z wyższych sfer. W mieszkaniu było brudnawo, panował nieład, na jaki mogą sobie pozwolić tylko wyższe sfery, ewentualnie same doły społeczne. Te dwie klasy są do siebie najbardziej podobne. W Wielkiej Brytanii system klasowy nigdy się nie rozpadł, a w Szwecji tworzy się na nowo. Winter jest przedstawicielem wyższej klasy średniej, Ringmar niższej wyższej klasy średniej.

Rupert Montgomery należał to the chatting classes i the drinking classes. Jego twarz wydała się Winterowi znajoma, podobnie jak jego była dziewczyna przypominała mu kogoś lub coś.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Montgomery.

– Mam na myśli towarzysko.

– Ja też.

– Chyba powinniśmy kontynuować przesłuchanie w areszcie – stwierdził Ringmar.

– Nie możecie tego zrobić – zaprotestował Montgomery.

– Możemy robić, co nam się podoba. I co nam przyjdzie do głowy.

– Jak to, żeby tutaj przyjść.

To nie był dobry początek przesłuchania. Za dużo czarnego humoru, jak to w życiu, pomyślał Winter.

Monty nałożył maskę, ale pod nią był strach.

– Proszę opowiedzieć o Matildzie – powiedział Winter.

– Pierwsze, co panu przyjdzie do głowy.

– Jestem z oczywistych względów bardzo przybity tym, co się stało. – Zrobił zmartwioną minę. – Wręcz zrozpaczony.

– Proszę nam o niej opowiedzieć.

– Była dobrą prawniczką.

Winter zachęcająco kiwnął głową.

– Miała wielu przyjaciół.

– Facetów? – spytał Ringmar.

– Podzieliliście się rolami: dobry glina i zły glina, tak? – spytał Montgomery.

– Obaj jesteśmy dobrzy – odparł Ringmar. – Miała więcej

facetów?

- O ile wiem, to nie.
  - Dlaczego przestaliście się spotykać?
  - Tak... tak się jakoś stało.
  - Czyli co?
  - Czasem ludziom nie wyjdzie.
  - Chce pan powiedzieć, że wam się nie udało?
  - Tak.
  - Dlaczego?
  - Już powiedziałem.
  - A dokładniej?
  - Ona... nie miała czasu.
  - Na co?
  - Na nasz związek. Nie miała czasu dla mnie.
  - Jak długo byliście razem?
  - Około pół roku.
  - Czowała się zagrożona?
  - Czym?
  - Czymkolwiek – powiedział Ringmar.
  - O ile zauważyłem, nie.
  - Dużo pracowała?
  - Powiedziałbym, że bez przerwy.
  - A pan gdzie pracuje?
  - Nigdzie.
  - Dlaczego?
  - Bo nie muszę.
  - Czy to nie jest nudne?
  - Owszem.
  - Nie czuje się pan samotny?
  - Owszem. – Montgomery zrobił minę, jakby miał się zaraz rozpląkać. Nie potrafił ukryć tych skądinąd drobnomieszczańskich emocji. – Żyję bardzo samotnie. Zwłaszcza teraz. Od rozstania z Matildą nie miałem nikogo.
- Masz nas, pomyślał Winter.
- Jest pan spokrewniony z generałem? – spytał Ringmar.
  - Z Montym?
  - Wszyscy mnie o to pytają.

- I co pan odpowiada?
- Że tak. Ale to nieprawda.

Winter i Ringmar poszli do cukierni Ahlströms. Z mieszkania Montgomery’ego było całkiem blisko. Ich stolik był wolny, nie musieli przeganiać żadnych emerytek. Obaj zamówili napoleonkę. Taki dzień.

– To dodatkowo komplikuje sprawę – stwierdził Ringmar, gdy już dostali kawę i ciastka. – Kobieta wśród ofiar.

– Albo wprost przeciwnie – stwierdził Winter.

– Nie widzę tu żadnego otwarcia.

– Mamy jeszcze jedną literę.

– To może być zmyłka.

– Nie.

– Traktujesz poważnie te bazgroły na pudełkach?

– Absolutnie.

– Po co on sobie tym zawraca głowę?

– Czym?

– Malowaniem liter.

– To jest równie ważne jak zabijanie. Jedno łączy się z drugim.

– Chodzi mu o to, żeby opowiedzieć tę historię? – spytał Ringmar.

– Żeby opowiedzieć całą tę historię. Ale nie od razu.

Przyglądało im się kilka starszych pań. Winter uprzejmie kiwnął głową. One też kiwnęły. Nie przestawały im się przyglądać.

– Jesteśmy sławni – powiedział Ringmar.

– Z czego?

– Z układania puzzli.

– Jeśli to puzzle.

– Dwaj mężczyźni i kobieta – powiedział Ringmar.

– Co najmniej.

– Może odbyli coś w rodzaju spotkania? Jakiegoś zebrania?

– zastanawiał się Ringmar. – Dawno temu. Byli dorośli i dzieci.

– Tak.

- Obóz.
- Tak, coś w rodzaju obozu.
- Skautowskiego?
- Nie licz na to, Bertilu.
- Nienawidzę skautów.
- Nadal?
- Powinni tego zakazać.
- Jak wszystkich obozów – zauważył Winter.
- Świat ma dosyć obozów – powiedział Ringmar. – Nie może z nich wyniknąć nic dobrego. Wystarczy zebrać pewną liczbę ludzi i wszystko idzie w diabły.
- Troje ludzi to już zgromadzenie – powiedział Winter.
- Kto to powiedział?
- Może Mussolini?
- A nie Hitler?
- Jemu się podobały obozy.
- No popatrz.
- Szukamy wspólnego mianownika dla tych trojga zamordowanych, może właśnie o to chodzi – powiedział Winter. – Byli na jakimś obozie.
- Albo byli pedofilami – odparł Ringmar. – I działali w internecie. Trzeba jeszcze znaleźć potwierdzenie.
- Winter nie powiedział.
- Może Matilda Cors знаła któregoś z tych mężczyzn – ciągnął Ringmar. – Jeszcze nie zdążyliśmy tego sprawdzić.
- Znała, tylko nie ma na to żadnych dowodów – powiedział Winter. – Zostały starannie ukryte. Na tym rzecz polega. Nie znajdziemy żadnych maili ani listów, rozmów przez komórkę ani SMS-ów, które by świadczyły o jakichś związkach między nimi. Musieliby popełnić jakiś błąd, ale oni przez wszystkie te lata nie popełnili żadnego błędu.
- Przez wszystkie te lata?
- Skoro nie ma między nimi żadnego oczywistego związku, to domyślamy się, że coś się między nimi stało wiele lat temu, prawda?
- To jak on to zrobił?
- Jak się tego dowiemy, będziemy wiedzieli wszystko.

– Zdaje się, że nie bardzo liczysz na to, że zdobędziemy dowody materialne.

Winter nie odpowiedział. Za oknem wychodzącym na Korsgatan przeszła jakaś rodzina. Chyba Niemcy. Kilka godzin wcześniej przyplłynął z Kilonii prom Stena Line. Kiedyś płynął nim z Anglą. Byli jeszcze narzeczeństwem i postanowili przejechać mercedesem Europę. Świat wydawał się jeszcze zupełnie nowy. Zjechali wybrzeże, od Marsylii do Nicei. W Nicei były socca i pissaladière, nie mówiąc o estoficada, która sama w sobie była warta takiej wyprawy. Cudowna potrawa z duszonego sztokfiszka i sardeli. Jedli ją po raz pierwszy w knajpie L'Estoficada przy Rue Hotel de Ville. Szefem tej wciąż istniejącej knajpy jest kobieta. Wracał tam wiele razy. Wino pochodziło z niewielkiej winnicy znajdującej się w górach, ale jeszcze w granicach miasta. Było jasne jak ceglany mur, na który słońce pada od czasów przed narodzeniem Chrystusa. Nicea należała wtedy do Rzymu. Nizza. Zeszłej jesieni całą rodziną przejechali pociągiem od Costa del Sol wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego. Temu powinien się poświęcać człowiek cywilizowany, nie jakiejś drobnomieszczańskiej pracy. Ci przechodzący Niemcy na pewno nie byli w Nicei. Widział to w ich chodzie. Wybrali się na północ, do Göteborga. To zły kierunek. Tu się zabija ludzi. Zemsta to potrawa, którą należy podawać na zimno. Chyba żeby podać na gorąco, a spożywać na zimno. Ale to się może zmieniać w zależności od osoby, postępuku albo wspomnienia.

– Przeciwnie, bardzo na to liczę – powiedział Winter w odpowiedzi na pytanie Ringmara.

– Jak my wszyscy. Nie tego dotyczyło pytanie.

– A czego?

– Jeszcze na to nie wpadłem.

– Pytanie brzmi: jak długo będziemy to ciągnąć, zanim ogarnie nas dojmująca frustracja.

– To dopiero początek, sam tak mówiłeś.

– Obóz – powiedział Winter. – Od tego powinniśmy wyjść?

– Gdzie ten obóz?

– W granicach wielkiego Göteborga.

- Obóz skautowski?
- Bertilu, ty znowu swoje?
- Obóz sportowy?
- Może.
- Klub sportowy?
- Coś w tym rodzaju.
- Hall, Bersér i Matilda Cors należeli do tego samego klubu?
- To całkiem możliwe, prawda?
- Na razie wiemy, że Bersér jako jedyny z nich nadal uprawiał sport.
- Na razie to my nic nie wiemy.
- Kluby mają listy swoich członków. Przynajmniej niektóre.
- Zawsze to jakiś początek.
- Początek bez końca, Eriku. Zajęcie dla kretynów.
- W takim razie trzeba do tej roboty wyznaczyć kretynów.
- Czyli całą policję.
- Bertilu, nie podejrzewałem cię o taki cynizm.
- Przepraszam.

Starsze panie sobie poszły. Przyszła za to niemiecka rodzina. Usiedli przy stoliku. Winterowi wydało się, że mówią z akcentem bawarskim, ale pomyślał, że to raczej niemożliwe. Do Göteborga przyplływają na krótki urlop Niemcy z północy, zwyczajni ludzie, chcący sobie sprawić przyjemność za niewielkie pieniądze. Czują się tutaj szczęśliwsi, niż on będzie kiedykolwiek. Miał wiele sympatii dla tej prostoty i w duchu próbował być taki jak oni, bo wiedział, że oni nigdy nie poczują się tak jak on.

Ringmar miał minę, jakby wciąż rozmyślał o własnym cynizmie. To najgorsze, co może się przytrafić policjantowi. Gdy popadnie w cynizm, pozostaje już tylko rzucić ręcznik.

- Dlaczego do pierwszego morderstwa doszło we Frölundzie?
- spytał Winter.
- Bo tak pasowało mordercy.
- Ale dlaczego?
- Bo działa według ustalonego planu i kolejności.
- Wszyscy zostali zamordowani w pobliżu miejsca zamieszkania.



– Według mnie to bez znaczenia. Po prostu tak mu było wygodnie.

– Tak uważasz?

– Miejsce zbrodni wynika z miejsca zamieszkania. Ale Frölunda... to co innego.

– Czy teraz przemawia przez ciebie intuicja?

– Oczywiście. Staram się ją wcisnąć do logicznego rozumowania.

– Może rzeczywiście powinienes. Mam na myśli, że powinienes wcisnąć.

Winter nie odpowiedział. Niemcy rozmawiali w swoim dialekcie. Teraz usłyszał: byli z dawnej NRD, może z Lipska, jak Angela. Jej ucieczka do wolności była długą i niebezpieczną przygodą z ojcem lekarzem za kierownicą. Ta rodzina mogła zwyczajnie wsiąść na prom płynący do rajy, nie musiała pokazywać fałszywych paszportów, w ogóle żadnych paszportów. Nie było uzbrojonych strażników na granicy, żadnego muru, żadnych postrzelonych nastolatków w strefie granicznej ani w cieśninie Kattegatt.

– Frölunda to miejsce kluczowe – oznajmił Winter, wstając.

WINTER WSZEDŁ W BRAMĘ przy Bellmansgatan. Musiał chodzić tą krótką uliczką ze dwa tysiące razy, bo naprzeciwko było liceum imienia Sigrid Rudebeck. Jako jego uczeń założył tam klub jazzowy, w późnych latach siedemdziesiątych. To był zupełnie inny świat. Bruce'a Spring-steena prawie nie znał. Angela próbowała go nauczyć słuchać rocka, ale nie trafiała do niego ta muzyka. Czy urodził się już jako stary człowiek? Nie, był tylko inny. Ktoś przecież musi być inny.

Rodzice Matildy Cors otworzyli drzwi, jakby na niego czekali w przedpokoju.

Zaprosili go do pokoju z widokiem na szkołę. Okna były wprawdzie nieduże, ale pokój i tak był bardzo jasny.

Oboje mieli około sześćdziesiątki, ale wyglądali na więcej. Winter domyślał się, że w ciągu ostatnich dni postarzeliz się o dziesięć lat. Mieli na imię Bengt i Siv, zupełnie jak jego ojciec i matka. Bardzo dziwne.

Słyszał muzykę, ale nie widział, skąd dobiega. Zobaczył jedynie jadalnię w stylu elżbietańskim, sześć krzeseł i stół z wiszącym nad nim kryształowym żyrandolem. Całe wnętrze w bieli, jakby już się przygotowali do żałoby.

Zauważyli, że Winter nasłuchuje.

– To Bach – odezwał się pan Cors.

Winter kiwnął głową.

– Tylko tego da się słuchać.

– Bardzo mi przykro – powiedział Winter.

– Matilda była dobrą dziewczyną.

Aneta i Halders stali na środku Parku Marconiego. Nie było żywego ducha, ale też nie było parku.

– Dlaczego nazwali osiedle parkiem? – dziwił się Halders.  
– Parkiem Marconiego?

– Bo to ładnie brzmi – odparła Aneta.  
– Kurde, przecież musi być park, skoro jest w nazwie.  
– Fredriku, czy to powód, żeby się denerwować?  
– Facet zajmował się łącznością radiową na większych odległościach. Zdaje się, że jego sprzęt został zainstalowany na „Titanicu”. Gównu im to pomogło.  
– Dlaczego ty bez przerwy przeklinasz?  
– Bo jestem wściekły na tego skurwiela od bazgrołów.  
– Przeklinanie nic nie pomoże.  
– Skurwiel bawi się z nami w ciuciubabkę.  
– Sprawa jest chyba poważniejsza.  
– Chodzenie od drzwi do drzwi nie ma sensu. Tu nikt nic nie widzi ani nie słyszy. Zupełnie jak w gettach w Angered<sup>8</sup>.  
– Dobrze wiesz, że to wcale nie jest bez sensu.  
Przechodzili obok nowej hali ze sztucznym lodowiskiem.  
– W młodości grałem tu w piłkę nożną. Na boisku, które jest pod tym gównem.  
– Grałem to chyba niewłaściwe słowo.  
– Co chcesz przez to powiedzieć?  
– O ile dobrze zrozumiałam, ciągle cię wyrzucali z boiska.  
Halders nie odpowiedział.  
– Wchodzimy – zdecydowała.  
Od razu przy wejściu zobaczyli napis „GO BÄCKEN!”.  
– Obszczymury pierdolone! – wybuchnął Halders. – Jezu, jeszcze ich nie wyeliminowali. Uffe Sterner, cha, cha, cha.  
Byli w środku hali. Na lodowisku nikogo nie było.  
– Widzisz tę cholerną reklamę na lodzie?! Przez takie gówno przestałem oglądać hokej w telewizji.  
– Ale jeszcze wczoraj wieczorem oglądałeś.  
– Od dziś nie będę. To bez sensu.  
– Fredriku, a co nie jest bez sensu?  
– Kawa z ciastkiem.  
Po drugiej stronie lodowiska stał mężczyzna. Dość młody, najwyżej trzydzieści lat. Nie wyglądał na pracownika hali. Stał spokojnie, ale kiedy weszli, ruszył przed siebie.  
– Kurde, a ten to kto? – odezwał się Halders. – Zobaczył nas

---

<sup>8</sup> Angered – dzielnica zamieszкана w znacznej części przez imigrantów.

i od razu spieprza, widziałaś?

– Jeszcze jest. Uspokój się.

– Idzie do wyjścia.

Halders też ruszył.

– Co chcesz zrobić?

– Przyszliśmy tutaj, żeby zadawać pytania, prawda?

– Już wychodzi.

Halders ruszył do wyjścia. Nie biegł, ale nagle poczuł, że powinien.

Przy wyjściu już nikogo nie było.

– Halo?! Halo?!

Facet zwiął.

Widział nas. Nie chciał z nami rozmawiać. Przestraszył się. Nie, on wcale nie był przestraszony.

Halders rzucił się do drzwi.

To on. On! On tu jest!

Halders poczuł, jak mu się jeży meszek na łysinie.

Za drzwiami nie było nikogo.

Pobiegł w prawo, w stronę Parku Marconiego. Nie było żywego ducha. Obszedł halę, ale tam też nikogo nie było. Wrócił do wejścia – nic, żadnego ruchu na parkingu. Spojrzał na przystanek tramwajowy po drugiej stronie Musikvägen. Nikogo. Przyjechała ósemka, aż z Angered, z jednego getta do drugiego. Zatrzymała się. Ktoś wszedł, ktoś wszedł, do diabła, przecież nikogo nie było na przystanku. Musiał się schować za reklamą. Zobaczył jakąś sylwetkę w wagonie. To on. Tramwaj ruszył. Halders pobiegł za nim. Aneta wyszła z hali i zawołała, ale nie słyszał jej. Przebiegł z dziesięć kroków i zrozumiał, że musi wziąć samochód. Pobiegł z powrotem na parking, wskoczył za kierownicę. Aneta wpadła za nim – cholera, gaz do dechy. Wyjechał na Marconigatan i skręcił w stronę przystanku przy Frölunda torg. Ósemka już tam stała, całkiem niedaleko Musikvägen. Co za idiotyzm. Ludzie wysiadali, już wysiedli. Prawie wjechał w tyłek tramwaju. Wyskoczył, pobiegł wzdłuż wagonu. Na ławce siedziały jakieś dziewczyny. Widział plecy kilku osób idących do galerii Frölunda torg, cholernej świątyni zakupów za jednym razem

łykającej milion oszalałych klientów.

Słyszał, że Aneta biegnie za nim.

– Jest w środku! – krzyknął, biegnąc po schodach prowadzących w górę od wejścia CI. Minał Subway i dziesiątki gapiących się durniów stojących mu na drodze, sto tysięcy mężczyzn w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Puste twarze odwracały się do niego jedna za drugą. Nie te twarze. Odwracał się, kręcił wokół własnej osi. Nie było drania, wszystko bez sensu.

– Dobra dziewczyna – powiedział Bengt Cors.

– To takie bez sensu – zauważyła jego żona.

– O nie – odparł mąż.

– Jak to? – zdziwiła się.

– To nie był wypadek, więc był w tym jakiś sens.

– Boże – powiedziała.

– Jaki sens? – odezwał się Winter. – Co pan chce przez to powiedzieć?

– Przecież to morderstwo. Czyń bezsensowny, ale coś znaczy.

– Czasem tak jest – przyznał Winter.

Halders zdał sobie sprawę, że szukanie mordercy w takim miejscu jest bez sensu. Oczywiście, że to on. Kto inny uciekałby przed Fredrikiem Haldersem? Bydlak zniknął w tłumie. Ludzie gapili się na niego, na jego podniecenie, na spoconą wygoloną głowę, na jego tiki. Na twarzach widział przestraszonych, jakby to on był niebezpieczny, jakby to on zrobił komuś krzywdę. Rozwścieczyło go to jeszcze bardziej.

– Tylko nie mów nic głupiego. W rodzaju żeby zablokować wyjścia z galerii – powiedział do Anety, kiedy go dogoniła.

Nie odezwała się.

– Kurwa, to był on. Na pewno!

Aneta nadal milczała.

– Nic nie mówisz?

– A co mam powiedzieć? Miałam nie mówić nic głupiego.

– No to powiedz coś mądrego. Inteligentnego. Przyznaj mi rację albo nie zgadzaj się ze mną.

– Nigdy cię nie widziałam w takim stanie – powiedziała.

– Fakt. Robię się taki sam jak Winter. Górę bierze intuicja i zagarnia całą pieprzoną Frölundę! Czy tak się zachowuje człowiek awansowany na komisarza?

– Nie wiem, mnie to raczej nie grozi – odparła.

– Będiesz pierwszą czarnoskórą kobietą, która zostanie w tym kraju komisarzem! – Halders rozejrzał się, jakby to żalosne kręcenie głową miało coś zmienić. Widział przed sobą jedynie ludzką masę, szarą jak cały ten świat.

– On już wie.

– Co takiego?

– Że go widzieliśmy – odparł Halders.

– A poznałbyś go?

– Nie. Wyglądał jak każdy inny gnojek.

Winter wstał. Spojrzał na szkołę po drugiej stronie ulicy. Mógł nawet zajrzeć przez okna do środka. Klasy wyglądały tak samo jak wtedy, kiedy w nich siedział. Jedyna różnica to młode twarze uczniów. Przecież to było całkiem niedawno. Pamiętał nawet, jak było.

Bengt Cors stanął obok. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Siv Cors również była wysoka. Wiedział, że Matilda była wysoka, ale nie widział jej stojącej. Rodzice z kolei nie widzieli jej martwej, leżącej na ziemi w parku Trädgårdsföreningen.

– Co ona tam robiła? – spytał Bengt Cors. – W tym parku?

Umarła, pomyślał Winter, umarła.

– Nie wiadomo – odparł.

– Jak ona mogła tam wejść o tej porze?

– Tego również nie wiemy.

– Rozmawialiście z Rupertem Montgomerym?

– Tak.

– I co mówi?

– Niewiele.

- Nigdy nie miałem do niego zaufania – powiedział Cors.
- Dlaczego?
- Nie potrafię tego wyjaśnić.
- Aha – powiedział Winter.
- Widzę, że pan rozumie.
- Na razie to ja nic nie rozumiem.
- A chce pan?
- Co pan ma na myśli? – spytał Winter.
- Ogląda pan tyle okropieństw i chce pan zrozumieć?
- Zawsze chcę – odparł Winter. – To mój problem.
- Jestem psychiatrą – powiedział Cors.
- A ja komisarzem policji.
- Wiem, mówił pan. Ale widzę, że nie jest pan w najlepszej formie.
- Doceniam pańską spostrzegawczość, zwłaszcza że jest pan w żałobie.
- Szok jeszcze nie puścił – odparł Cors. – Próbuję zająć się pracą.
- I mną?
- Macie w pracy pomoc psychologiczną? Jeśli nie, mógłbym panu załatwić wizytę u psychologa – powiedział Cors.
- U kogo?
- U siebie. Albo u kolegi. Oczywiście u kolegi.
- I to by mi pomogło zrozumieć?
- Jedyne samego siebie. Mogłoby trochę uśmierzyć.
- Co uśmierzyć?
- Sam pan wie najlepiej.
- Nic nie wiem.
- Pan chce rozmawiać tylko o pracy.
- Pańska córka została zamordowana – przypomniał Winter.
- Wiem, ale nie rozumiem.
- Chętnie wezmę od pana jakiś numer telefonu – powiedział Winter.

Halders zadzwonił, żeby opowiedzieć, co się stało. Winter właśnie wrócił do domu.

- Wystraszyłem gościa. Może jednak to był ktoś nieważny.
- W takim razie wróci do hali.
- Pojedziesz tam?
- Jutro przed południem.

Angela zadzwoniła, gdy napełnił wannę i już miał wejść do piekielnie gorącej wody. Na brzegu wanny postawił niedużą porcyjkę whisky, na dwa palce. Na dworze było ciemno i zimno, kwietniowy wiatr przygniatał wszystko do ziemi, jego też. Kwiecień to niełaskawy miesiąc. Prawda, czuł się przygnębiony. Ale żeby zaraz gadać z doktorem od deprechy?

– Coś mi się zdaje, że się zlewasz wrzątkiem – powiedziała Angela.

- Same jaja – odparł.
- Dobrze.
- Wielkie dzięki.
- Jak wam idzie?
- Nie mam pojęcia. Na razie facet wie więcej od nas.
- Niepokoisz się?
- Jeszcze nie.
- A ja tak.
- Wiem.



ŚNIŁO MU SIĘ, ŻE KTOŚ opowiada bajkę. Nie widział tego kogoś, nie słyszał słów, więc skąd mógł wiedzieć, że ktoś opowiada bajkę?

Takie właśnie są sny.

Wiedział, o czym jest ta bajka. Słyszał ją wiele razy. Zaczynała się od małego domku w ogrodzie, jego domku do zabawy. Sam też był mały, może dopiero co poszedł do szkoły. Nie, jeszcze nie poszedł, ale niedługo pójdzie.

Bajka skończyła się, kiedy się obudził. To znaczy kiedy się obudził we śnie. Już się nie dowiedział, jak to się skończyło. Wiedział, że nigdy się nie dowie, bo gdyby wiedział, nie mógłby dalej żyć. To była okrutna bajka, najokrutniejsza na świecie.

To nie była bajka. To się przydarzyło jemu, Erikowi. Bajka była o tym, co mu się przydarzyło. Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze ku pomocy.

Ktoś go dotknął. Nie brnął dalej w sen, nie chciał! Było tak jak wtedy, kiedy miał dwa lata. Stało się wtedy coś, czego nie mógł pamiętać, a jednak towarzyszyło mu przez całe życie. I teraz przydarzyło mu się w tym śnie, kiedy był o kilka lat starszy. Ktoś się do niego zbliżał. Czy to tata? Nie chciał śnić o tym, że ktoś się zbliża, nie chciał, żeby mu się to śniło! Nie chciał spać! Bał się spać.

Obudził się, bo szarpnął szyją. Rzuciło nim w przód, potem w tył i znów w przód, jak przy zderzeniu w samochodzie, gdy nie zadziała poduszka powietrzna.

Dotknął ręką karku. Już wiedział, że dostanie kręczu szyi, zresztą nie pierwszy raz. Był rozbudzony, zmarznięty i przestraszony.

W głowie kołatała mu się myśl: to się stało tak dawno temu.

To było o nim, ale również o kimś innym. Halders też widział mężczyznę w hali z lodowiskiem. To było o nim. Był

przekonany, tak samo jak Halders, że widzieli właściwego człowieka. Już tam nie wróci. Do czego miałyby wracać? Do bezludnej, zimnej i szarej hali? To był przypadek. To nie mógł być ten sam mężczyzna. Każdy by uciekał przed Haldersem, każdy człowiek mający instynkt samozachowawczy. To kwestia życia i śmierci. Nie, to nie przypadek. To było jego miejsce. Jego miejsce.

Wstał z łóżka i poszedł do ubikacji. Mocz popłynął cienkim ciemnym strumieniem. Może jestem chory, odwodniony? Pił za mało wody i innych pożytecznych płynów. Ograniczył whisky, w każdym razie wczoraj. Kiedy nie pił, w uszach szumiało mu mniej. Każdy głupi by zrozumiał.

Spuścił wodę i wrócił do sypialni. Budzik wskazywał piątą. Spojrzał na kartkę leżącą na nocnym stoliku, obok poduszki z odcisniętym śladem jego cennej głowy, kartkę z numerem telefonu dobrego psychiatry, zanotowanym wyrazistym pismem Bengta Corsa. Trwający przez całe życie Erika Wintera ból istnienia mógłby się skończyć. Bardzo się tego obawiał.

O siódmej rano był już na Vasagatan. Kierował się w stronę Sprängkullen, w dresie do biegania i dobrych butach, ale w kiepskiej kondycji. Policjanci powinni mieć kondycję, również szefowie. W grafiku przewidzieli nawet czas na ćwiczenia, ale jakoś nigdy nie mógł zdążyć. Przecież pracował, nie?

Teraz też pracował. Głupio byłoby nie pobiegać. I to nawet nie dlatego, że powinien zadbać o kondycję, ale dlatego, że trening zapewnia lepsze natlenienie, a może ukrwienie mózgu. Tak czy inaczej, sprawniej mu się myślało, gdy przebiegł pięć kilometrów, a najlepiej dziesięć. Myśli biegły razem z nim i również nabierały kondycji. W przeszłości często mu się zdarzało, że wyruszał z domu z jakimś problemem, a wracał z rozwiązaniem albo chociaż z kawałkiem rozwiązania. Siadał w kuchni spocony jak Torgny Mogren<sup>9</sup> i zapisywał myśl, która przyszła mu do głowy podczas biegania. Nie chciał nagrywać na dyktafon, kiedy biegł, bo odbierałoby mu to siły, których potrzebował, żeby biec i myśleć. Na wszelki wypadek zostawiał

---

9 Torgny Mogren – szwedzki biegacz narciarski, mistrz olimpijski.

na stole długopis i kartkę. Kiedy pisał, pojawiały się na niej wilgotne plamy, jak od łez. W końcu to ta sama sól.

Właśnie dotarł do Sprängkullsgatan. Skręcił w górę, w stronę Övre Husar, i biegł dalej, do Slotsskogen. Znalazł się na świętych terenach biegaczy. Ostatni kilometr przez göteborgską stocznnię. Niektórych opuszczają tam siły. Jemu również się to przydarzyło. Na wysokości ogrodu botanicznego mijali go trędowniaci, gnijące ciała wlokące się po asfalcie, albo stuletni sztokholmczyzy, którzy ledwo się czołgali, ale mijali go z czystej złości, podczas gdy on przebierał nogami ze śmiercią w płucach i pustką w głowie. Kiedyś przelatował obok gazeli z Kenii, które przyjechały, żeby tu wygrywać. W marzeniach wciąż zdarzało mu się wygrywać. Wbiegł do parku. Minął tory do minigolfa. Biegł dalej trasą spacerową, obok trawników czekających na nowe życie, drzew, które powstaną z martwych, młodych kobiet z wózkami, pogrążonych w rozmowie i wyglądających na szczęśliwe, rowerzystów, którzy z jakiegoś powodu się zatrzymali. Jeden miał kask w kształcie nazistowskiego hełmu. Czy to jest dozwolone? Pomknął dalej, w stronę Villa Belparc, również stęsknionej za prawdziwą wiosną. Przy dobrej pogodzie mogliby się tam wybrać całą rodziną, zjeść kawałek mięsa z rusztu i wypić coś dobrego.

Jeszcze oddychał. Kondycję miał lepszą, niż przypuszczał. Nie było zimno, nie zmarł. Słońce już ruszyło w górę, zapowiadał się piękny dzień. Świetny początek dnia. Poczł w sobie moc. Pomyślał o zamordowanych. Teraz się zaczęło. O miejscach, gdzie zostali zabici. Miał je kolejno przed oczami. Idealnie. Wszystkie oświetlone słońcem, chociaż tak nie było, gdy widział je po raz pierwszy, a przede wszystkim nie wtedy, gdy byli mordowani. Wtedy była noc, zostali zwabieni w noc. Przekonani, że muszą, że nie mogą odmówić. Odmowa była wręcz niemożliwa. Bali się, ale nie odważyli się zostać w domu. Pozostanie w domu byłoby jeszcze gorsze, ale właściwie dlaczego w domu? Pomyślał o domu i o odległości od miejsca zabójstwa. Wbiegł na pagórek przy basenie dla fok, ale nie zobaczył ich. One jego też nie. Teraz już czuł napięcie w udach. Pompa działała, płuca też. Zaraz dotrze na górę. Kiedy

w kieszeni nad sercem zaterkotał telefon, słuchawki już miał na uszach.

- Słucham.
- Cześć, szefie, chyba cię nie obudziłem?
- Jestem na dworze, biegam, Fredriku.
- Uprawiasz jogging?
- Nie biorę tego słowa do ust – odparł Winter.
- A jednak. Aż się przeżegnam.
- Dlaczego dzwoniisz?
- Chłopak, Gustav Lefvander, nie wrócił na noc do domu.
- Do którego domu?
- Do matki. Zdaje się, że teraz mieszka u niej.
- A nie ma go u ojca?
- Odpowiedź: nie.
- Może być u sprawcy.
- To samo pomyślałem.

Winter się namyślał. Nie chciał się zatrzymywać, żeby nic nie zmarnować. Zawrócił i zbiegł w dół.

- Kiedy się dowiedziałeś?
- Jego matka zadzwoniła pół godziny temu. Amanda Bersér.
- Kurwa, przecież chłopaka nie było całą noc!
- Myślała, że jest u ojca. Zdaje się, że tak jej powiedział.
- Boże kochany.
- Właśnie.
- Jak się dowiedziała, że go tam nie ma?
- Ojciec zadzwonił. Był z nim umówiony.

Winter już był na dole, ruszył w stronę Linnéplatsen.

– Wesóło jest, jak zwykle zresztą – ciągnął Halders. – Fajnie mieć w pracy do czynienia z ludźmi. Zwłaszcza z takimi.

- Zarządziłeś poszukiwania?
- Szefie, najpierw chciałem się ciebie poradzić.
- Będę za pół godziny – odparł Winter.
- Tylko najpierw weź prysznic.

– Poszukaj w mieszkaniach ofiar nagrań wideo – powiedział Winter. – Zabierz wszystko. Stare kasety VHS, filmy przebrane na CD, cały kram.

- Okej.

- I u ich rodzin. U byłej żony w Borås, u Amandy w Mölndal, u Lefvandra, u wszystkich.
- Wpadłeś na coś?
- Zawsze na coś wpadam, kiedy biegam.
- Zabrzmiało to cholernie pretensjonalnie. A jak często biegasz?
- Fredriku, nie mogę dłużej rozmawiać, muszę myśleć.
- Skoro mowa o bieganiu, znów dostaliśmy zaproszenie z Korpen<sup>10</sup> – powiedział Halders. – Nasza dyskwalifikacja się przedawniła.
- T w o j a dyskwalifikacja.
- Wszystko jedno.
- Po moim trupie.

Postanowił tam pojechać, zanim pojedzie dalej, do komendy. Potem im wyjaśni, nie ma co tego robić za wcześnie.

Tutaj leżało ciało Jonatana Berséra, w cieniu kotłowni, obecnie zimnej. Jego ciało przeniknął lodowaty wiatr.

Zaciągnął mocniej szalik i poszedł tam, gdzie znaleźli ciało, do domu z opuszczonymi służbowymi mieszkaniami. Budynek UI, jak element układanki, nad którą pracowali. Na razie nie mieli litery U. Czy był ciekaw następnej litery? Czy ona coś zmieni? Może układanka stanie się wyraźniejsza, bardziej czytelna, ale czy to coś wniesie? Może już znają odpowiedź, bo już tu byli, byli t a m. Jeszcze raz się rozejrzył. Nie zobaczył nikogo, choć było przedpołudnie. Poszedł Håradsgatan, na północ, całkiem niedaleko. Wkrótce dotarł do niedużego, śmiesznego centrum. Dziesięć, może dwanaście lat wcześniej często tam bywał w związku ze sprawą, w której było wielu ciężko poszkodowanych, w jednym z tych punktowców na lewo – mieszkanie... kiedy tam weszli... głowy ofiar... przerażenie, potworne, czuć było odór strachu, nie do usunięcia. Czuł go jeszcze, kiedy mijał cukiernię Brogyllens. Wtedy też tam była, właściwie tylko ona została. Cukiernia i zakład fryzjerski EVA w głębi. Przypomniał sobie jeszcze Manhattan Livs, sklep

---

10 Korpen – związek zrzeszający kluby sportowe w miejscach pracy.

spożywczy, który też został na rogu Hagåkersgatan.

Należały jednocześnie do przeszłości i teraźniejszości. Wrócił tu, bo wróciła gwałtowna śmierć. Ona zawsze wraca.

Gustav Lefvander nie wrócił. Mårten Lefvander był w mieszkaniu przy Jungfruplatsen. Byli małżonkowie trzymali się za ręce, jakby poza katastrofą łączyło ich coś jeszcze. Katastrofy często łączą ludzi, Winter obserwował to wiele razy. Katastrofy są potrzebne ludzkości jako spoiwo.

– Na miłość boską, co się dzieje? – odezwał się Lefvander.

Winter i Aneta nie odpowiedzieli, bo to nie było pytanie. Winter zadzwonił do Anety z Jungfruplatsen. Zabrała kasety wideo z mieszkania Halla we Frölundzie. I kilka płyt CD. Nie było tego dużo.

– Dlaczego on nie dzwoni? – odezwała się Amanda Bersér.

Właśnie, dlaczego? Winter spojrzał na Anetę.

Gdzie on może być?

Kto mu każe nie dzwonić?

– Nie domyśla się pan, gdzie może być? – spytała Aneta. Po raz drugi.

Ojciec chłopca zrobił gest, który oznaczał: gdziekolwiek, na dworze, na słońcu.

– Może on po prostu chce... pobyć sam – powiedziała matka.

Winter kiwnął głową, a Aneta spytała:

– Dlaczego? – Good cop, bad cop.

– A co w tym dziwnego? – odparła Amanda Bersér.

– Boże drogi – powiedział Lefvander.

– Dzwonili państwo do jego przyjaciół?

– A policja nie dzwoniła?

– Teraz to ja pytam – powiedział Winter. Starał się, żeby to brzmiało jak najuprzejmiej.

– Wszystkiego próbowaliśmy.

– Jeszcze nie minęło tak dużo czasu – zauważyła jego była żona.

– Cholera jasna, co chcesz przez to powiedzieć?

– Spokojnie.

- Jakie spokojnie? Czy ja się zachowuję niespokojnie?
- Lefvander patrzył na Wintera, jakby szukał u niego wsparcia.
- Boże drogi.

Winter spojrział na Amandę Bersér. Czy ona wie coś, czego my nie wiemy? Niewidzącym wzrokiem patrzyła na to cudne słońce za oknem, jakby wypatrując kogoś, kto może wciąż żyje.

Czy ona wie coś, czego inni nie powinni wiedzieć? – pytał w myślach. Czego nie chce wiedzieć?

– Czy syn i pani zmarły mąż dogadywali się ze sobą? – spytał.

Spojrzała na niego przytomniej.

– Dlaczego mieliby się nie dogadywać?

– Co to za pytanie? – zdziwił się Lefvander.

To pytanie, którego się cholernie boicie, pomyślał Winter. Oboje. Rozmawialiście o tym?

– Czy to były trudne relacje?

– Nie – odparła ona. – Zgadzała się ze sobą.

– Syn u pani nie mieszkał.

– Od początku przyjęliśmy takie rozwiązanie.

– Od jakiego początku?

– Po rozwodzie oczywiście.

Winter spojrział na Lefvandera. Lefvander odwrócił wzrok.

– Czy Gustav bał się pani męża? – spytał Winter.

– Dlaczego miałby się bać? – odpowiedziała Amanda Bersér.

– Nie wiem – odparł.

– To po co pan pyta?

Strasznie to zagmatwane. Delikatne.

– Stało się coś?

– A co się miało stać? – spytała.

– Na każde pytanie odpowiada pani pytaniem – powiedział Winter.

– A co mam powiedzieć?

– Jaka wyglądały relacje pani syna z pani mężem.

– Były dobre – odparła. – Może wolałby pan usłyszeć inną odpowiedź, ale innej nie mam. – Spojrzała na byłego męża. Kiwnął głową, ale nie było to przytaknięcie. Winter był przekonany, że nie było to przytaknięcie.

- Podejrzewasz, że Bersér mógł zgwałcić swojego pasierba?
- zapytała Aneta, kiedy już siedzieli w mercedesie Wintera.
- Aż tak to było widać?
- Podejrzewasz, że tak było? – spytała raz jeszcze.
- To nie jest wykluczone – odparł Winter.
- Dziecko jako premia – powiedziała.
- Nigdy mi się nie podobało to określenie.
- Może rzeczywiście coś się stało.
- I obydwójce wiedzą co.
- To może mieć związek ze śmiercią Berséra.
- Fakt.
- Może to oni? Albo tylko Lefvander?
- Ale dlaczego?
- Z zemsty za to, co zrobił chłopcu.
- A tamte morderstwa?
- Mhm... To trochę komplikuje sprawę, prawda?
- zauważyła.
- Zdecydowanie fałszywy trop – odparł Winter.
- Czyli nie wierzymy w to – powiedziała.
- Ale coś w tym jest – stwierdził Winter. – Coś mrocznego. Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzi. Spróbuj wyciągnąć coś od kolegów Gustava, dobrze?
- Oczywiście.
- Cholera jasna, gdzie on się podział? – powiedział Winter, zapalając silnik.

Pisał na komputerze, skreślał, dopisywał. W tle rozbrzmiewały Ballads Coltrane'a. Potem może nastawi jeszcze poważniejszego Coltrane'a, jeśli zdoła się zebrać i starczy mu sił.

Z Vasaplatsen dochodził szum sunących powoli tramwajów, a może to był szum w jego głowie. Tego wieczoru nie pił whisky. Nie dlatego, że nie potrzebował, tylko dlatego, że nie chciał. Gdyby jednak poczuł potrzebę, żeby się napić, choćby na jeden palec, to oczywiście by to zrobił. To było jasne.

Napisał: Robert Hall. Jonatan Bersér. Matilda Cors. Potem:



Tres Amigos. Napisał: Łączy ich stowarzyszenie. Stowarzyszenie? Bäckén HC. Marconiplan. RNI, INR, NIR, NRI. Napisał też: Riksföreningen Nykterhetens Irrelevans<sup>11</sup>. Zorientował się, że literę O przypisaną do zwłok Berséra zamienił na N, na pewno pod wpływem gadaniny Bertila o Napoleonie. Napisał: ROI, IOR, OIR, ORI. Pisał: Riksföreningen Onykterhetens Irrelevans<sup>12</sup>.

A potem nalał sobie strasznie małą porcyjkę dallas dhu, na jeden dziecięcy paluszek, do okropnie wielkiej szklanki.

---

<sup>11</sup> Riksföreningen Nykterhetens Irrelevans – Krajowy Związek Nedorzecznej Trzeźwości.

<sup>12</sup> Riksföreningen Onykterhetens Irrelevans – Krajowy Związek Nedorzecznej Nietrzeźwości.

DOMEK DO ZABAWY WYGLĄDAŁ zupełnie tak samo jak we wspomnieniach. W odróżnieniu od innych rzeczy z dzieciństwa, które we wspomnieniach zawsze są większe niż w rzeczywistości, gdy konfrontuje się z nimi człowiek dorosły. Wspomnienie wszystko powiększa, ale z domkiem jego dzieciństwa jest inaczej.

– Eriku?

Usłyszał głos siostry i odwrócił się.

– Zobaczyłam cię przez okno – powiedziała. – Wysiadłeś z samochodu, minąłeś dom i poszedłeś prosto tutaj. Co się dzieje?

– O co ci chodzi?

– Wyglądasz... – Urwała.

– Nie mam kaca – powiedział.

– Ja nie o tym... dlaczego tu stoisz? Koło domku do zabawy?

– Nie wiem – odparł.

Lotta Winter usiadła naprzeciwko brata przy kuchennym stole. Jakiś ptak uderzył w okno i zniknął, zanim zdążył zobaczyć, co to za gatunek. I tak by nie wiedział. Tylko gile rozpoznawał po czerwonych brzuskach.

– Może za wcześnie wróciłeś do pracy – powiedziała.

– Dwa lata urlopu to długo – odparł.

– Ale czasem to tyle co nic. Do dupy.

– Nie bądź ordynarna – powiedział.

Zaśmiała się.

– Miałem dosyć tego urlopu – dodał.

– A jak ci jest teraz? Dobrze ci w pracy?

– Jeszcze się tak dobrze nie bawiłem, odkąd dostałem tinnitusa – odparł.

– I nie pozbędziesz się go, dopóki będziesz robił to, co robisz.

- Mogę z tym żyć.
  - A inni mogą?
  - Co?
  - Jak długo potrafią żyć z tobą? Zmieniłeś się.
- Nie odpowiedział. Spojrzał przez okno na domek w ogrodzie.
- Przyjechałem tu z powodu domku – odezwał się po chwili.
  - Tak, widziałam.
  - Próbuję sobie coś przypomnieć.
  - I to ma coś wspólnego z domkiem?
  - Wydaje mi się, że tak. Śni mi się.
  - Wiesz, o co chodzi?
  - Nie. – Spojrzał na nią. – Chociaż tak. Mam nadzieję, że nie.
- Coś mi się kiedyś przytrafiło. Tata coś zrobił.
- Kiedy?
  - Oczywiście kiedy byłem mały. Ty też byłaś mała.
  - Ale nie taka mała jak ty.
  - Rzeczywiście, zawsze byłem młodszy – odparł.
  - Nigdy o tym nie mówiłeś.
  - To może mieć związek z nową sprawą, którą prowadzę
- dodał.
- Mówiłam ci, że za wcześnie wróciłeś do pracy.
  - Może dobrze, że wróciłem – odparł. – Może powinienem się w końcu dowiedzieć. Czy chodzi o... tatę. Wydaje mi się, że to on mi się śni.
  - Dowiedzieć się, co się stało? – dopytywała.
  - Tak. Co mi się stało.
  - Jeśli rzeczywiście się stało.
- Nie odpowiedział. Ptak wrócił, tym razem z jeszcze jednym.
- Niedobrze jest być samotnym. Człowiek samotny nie jest silny.
- Chodzi o molestowanie – powiedział, patrząc na nią.
- W tej nowej sprawie może chodzić o molestowanie.
- Nie chcę wiedzieć – odparła.
  - W domku do zabawy – powiedział. – I w moim pokoju.
- Siostra przyglądała mu się. Jakby mnie zobaczyła pierwszy raz, pomyślał. Jakbym nagle stał się jakimś potworem.
- Nie, nie, nie, nie – powiedziała.
  - Teraz mnie wyprosisz?

– Eriku, nie, nie, nie, nie.

Wstała od stołu.

– Nigdy niczego nie podejrzewałaś? – spytał.

– Zamknij się!

– Wydaje mi się, że coś się stało, ale nie pamiętam co – powiedział. – Była jakaś przemoc. Ale nie mam pewności.

– To przyjdź, jak będziesz miał!

– Na pewno?

– To zależy! – krzyknęła.

Winter też wstał.

– Kurde, ty jesteś chory – ciągnęła. – Jak w ogóle mogłeś pomyśleć coś takiego?

– Ja nie pomyślałem, mnie się to śniło.

– Zobaczyłeś we śnie czyjąś twarz?

– Wydaje mi się, że to tata. We śnie to był raczej pokój, może domek. I to, że ktoś idzie.

– To powinieneś uważać na to, co myślisz – powiedziała.

– Równie dobrze mogłabyś mi kazać uważać na to, co mi się śni.

– Albo na to, co wyprawiasz ze swoim życiem – dodała.

– Ze snu do życia – powiedział. – To wers z jakiejś piosenki.

– Piosenki? Przecież ty nie słuchasz piosenek. Słuchasz tylko półgodzinnych solówek jazzowych.

– W zeszłym tygodniu kupiłem sobie płytę – powiedział. – Składankę.

Oboje usiedli. Za oknem były już trzy ptaszki, widocznie wieść się rozeszła. Były różnego koloru i różnych gatunków, o różnym upierzeniu. Trochę go to uspokoiło.

– Michael Bolton, chyba tak się nazywa. Słyszałaś o nim?

– Michael Bolton?!

– Tak. W drodze na działkę nad morzem słyszałem kilka jego piosenek w radiu. Niezły pop, chociaż raz.

– Coś ty, Michael Bolton?

– Facet ma dobry głos, dobre piosenki, dobrze wygląda. Sympatyczne teksty, wydaje się sympatyczny. Co tu nie gra? Że niemodny? Wiesz, że się nie orientuję. Zresztą w ogóle mnie to nie obchodzi.

Nie odpowiedziała. Ptaszki za oknem z przerażenia odleciały. Znów spojrzała na niego.

- Angela o tym wie? – spytała.
- Mówisz tak, jakbym popełnił zbrodnię.
- Eriku, Michael Bolton nigdy nie był modny.
- To dobrze.
- Eriku, ty naprawdę jesteś jedyny w swoim rodzaju.
- To jego tekst. Ze snu do życia.

Już miał wsiąść do samochodu, gdy po drugiej stronie ulicy zobaczył kobietę z wózkiem. Nie umiał ocenić, czy go widziała, czy udała, że nie widzi. Odprowadził ją wzrokiem. Weszła na posesję nieopodal. Wiedział, jak ma na imię dziecko. Nigdy się nie pozbędzie tych wspomnień. Dopóki będzie wracał do domu siostry, domu swojego dzieciństwa, jak długo ona pozwoli mu wracać.

Przejeżdżając koło szkoły w Hagen, włożył do odtwarzacza płytę Michaela Boltona, Soul Provider. Zaopatrzeniowiec duszy. Co w tym złego? Przecież to sympatyczne. Zrobił głośniej. Jeśli to jest pop, można pogratulować wszystkim słuchającym tej muzyki. Idealna do samochodu na cały odcinek przez Oskarsleden i tunel koło Dworca Centralnego aż do gmachu policji. Próbował zresetować myśli muzyką. Siostra uważa go za idiotę, niech jej będzie.

Powiedziałem ci, że cię kocham, ale kłamałem, śpiewał Michael Bolton, to, co czuję, jest czymś więcej niż miłością, powiedziałem, że cię kocham, ale kłamałem, said I loved you but I was wrong, love can never ever feel so strong, co w tym złego?

WINTER POPROSIŁ MÅRTENA LEFVANDERA, żeby przed południem czekał na niego w domu. Kiedy parkował, Lefvander już czekał w drzwiach, jakby stał tam cały ranek.

– To straszne – powiedział.

Nie było nawet specjalnie zimno. W powietrzu czuło się wiosnę, a może coś więcej, obietnicę. Winter zastanawiał się, jak by to było spędzić noc na dworze, bo noc była zimna. Chłopak nie dałby rady, chyba że znalazłby jakieś schronienie. Ale dlaczego miałby spędzać noc na dworze?

– Straszne – powtórzył Lefvander.

– Możemy wejść?

W środku okazało się, że Lefvander nie podciągnął żaluzji ani nie ustawił ich pod kątem. Ale słońce wciskało się przez szpary, świeciło coraz mocniej, krzepko, zdecydowanie.

Winter usiadł na skórzanym fotelu. W tym pokoju czuło się pieniądze. Siedzącemu naprzeciwko niego mężczyźnie nic to nie pomogło. Pieniądze nigdy nie pomagają. Gdyby ludzie to wiedzieli, totalizator i państwowe loterie musiałyby zamknąć działalność. Kryminaliści staliby się dobrymi ludźmi.

– Gdzie on może być? – zastanawiał się Lefvander.

– Pan chyba wie lepiej od nas – powiedział Winter.

– Przepytałście jego kolegów?

– Tych, których udało nam się namierzyć.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem – upierał się Lefvander.

– A o Bersérze?

– Nie rozumiem.

– Jakim człowiekiem był Bersér?

Lefvander nie odpowiedział od razu. Byłoby to niemożliwe, nawet podejrzane. Jak można podsumować czyjeś życie?

– Nie sposób było go rozgryźć – odezwał się po chwili.

Winter kiwnął głową. Zachęcał go do mówienia, jak

dziennikarz prowadzący wywiad. Tylko że to nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Tu chodzi o prawdę.

– Co ona w nim widziała... zupełnie tego nie rozumiem.

– Tak rozumuje każdy mężczyzna wysadzony z siodła – odparł Winter.

– Wysadzony z siodła? Co to za określenie?

– Stare – zauważył Winter. – Jestem dziesięć lat starszy od pana.

– Wysadzony z siodła – powtórzył Lefvander pod nosem i spojrzał na Wintera. – Ale pan się myli. Amanda poznała go już po naszym rozwodzie. – Zaczął się kręcić, jakby coś go uwierało.

– Więc był pan zaskoczony?

– Czym?

– Tym, że się związała z Bersérem. Takim typem.

– Tak. To rzeczywiście typ.

– W jakim sensie?

– Trudno określić.

– Proszę mi podać jakiś przykład.

– W gruncie rzeczy chyba nie był szczególnie zainteresowany Amandą.

– I pan to wie?

– Chce mnie pan sprowokować?

– A trzeba?

– Nie wydawała się szczęśliwa, że tak to ujmę. Spotykamy się, przecież mamy syna.

– Nie była szczęśliwa? – powtórzył Winter. – Powiedziała tak?

– Na pewno nie mnie.

– A komu mogła powiedzieć? – spytał Winter.

– Może któreś z przyjaciółek. Przesłuchaliście je?

– Jesteśmy w trakcie.

– Ile wy się musicie nagadać – powiedział Lefvander. – Ile pytań zadać.

– Pewnie tak jak adwokaci.

– Pytania i odpowiedzi.

– Niewiele odpowiedzi – zauważył Winter.

- Rzeczywiście.
- Tym razem też.

Lefvander spojrział na Wintera. W stłumionym świetle jego oczy miały zielony kolor, jak u węża.

– Myślałem o czymś – powiedział w końcu. – A raczej nie myślałem. Albo nie chciałem myśleć.

– Gustav coś mówił? – spytał Winter.

– Pan wie?

– Tak.

– Skąd pan wie?

– Podpowiedziała mi to wyobraźnia, intuicja – odparł Winter.

Lefvander wpatrywał się w niego oczami prawnika-węża.

– Nie – powiedział. – To nie wytwór wyobraźni. Za tym się kryje coś innego.



GRALI NA TRAWNICZKACH i przejściach między domami. Starsi mieszkańcy krzyczeli na nich, ale kto by się przejmował. Fajnie było, nawet bez prawdziwego boiska. Duże boisko zawsze było zajęte. Zresztą nie wolno im było korzystać z niego również wtedy, gdy nie grała żadna drużyna.

Potem ktoś się zjawił i powiedział, że mogą tam chodzić. Zatroszczył się, żeby mogli trenować. Kierowało tym kilku starszych, czasem również stryjek. Fajnie było grać na prawdziwym boisku z prawdziwymi bramkami.

Był dobry, może nawet najlepszy. Treningi jak w prawdziwym klubie. Nigdy nie grał w prawdziwym klubie, inni zresztą też. Ci, co nimi kierowali, wiedzieli o tym, i rozumieli, że właśnie dlatego trzeba im czegoś innego.

*Podaj piłkę!*

*Strzelaj!*

*Dobra jest!*

*Dobra!*

Była wiosna, piękna pogoda, ciepło. Koniec kwietnia. Grał w krótkich spodenkach. Podrapał sobie kolana przy zwarciach, ale trener opatrzył, wytarł krew. Pomagała mu jakaś pani. Nie widział, żeby grała w piłkę.

Czasem trzymała za rękę stryjka.

– CHŁOPAK BAŁ SIĘ BERSÉRA – powiedział Winter, siadając za stołem konferencyjnym. Zebrał się najściślejszy krąg, chociaż nie siedzieli w kręgu. Powinniśmy tu mieć okrągły stół, pomyślał Winter. Zamówię taki. Będzie przytulniej, jak w chińskiej restauracji. Będziemy mogli ustawić na nim obrotową płytę na zdjęcia ofiar.

– A co na to matka? – spytał Halders.

– Nic.

– Całkowite wyparcie – skomentował Halders.

– Ciągłe nie mogę się nadziwić – powiedział Ringmar.

– Dajcie spokój – odezwała się Aneta.

– Jesteśmy spokojni – powiedział Halders.

– Lefvander coś podejrzewał, ale nie miał pewności – ciągnął Winter.

– Najczęściej wystarczą podejrzenia – zauważył Halders.

– To może być śmiertelnie groźne – stwierdziła Aneta.

– Czyje podejrzenia mogą być groźne? – spytał Winter.

– Dobrze pytanie – powiedział Halders.

– Czy chłopak zna mordercę?

– Czy chłopak j e s t mordercą? – spytał Halders.

– To przerażony dzieciak na ucieczce – powiedział Winter.

– Pod warunkiem że żyje – odparł Halders. – Może jest kolejną, czwartą ofiarą.

– Nie pasuje do wzorca – stwierdził Ringmar.

– Zawsze jest tak, że w pewnym momencie ktoś nie pasuje do wzorca – powiedział Halders.

– Czy to metafora? – spytała Aneta.

– Nie.

– W tym przypadku wzorzec jest wyraźny – powiedział Winter. – Może morderca nie uwzględnił chłopaka w swoich planach. Mógłby stać się dla niego problemem.

Halders miał wątpliwości:

- Dlaczego sprawca miałby się nim przejmować? Pewnie nawet nie wie, że zwiął z domu.
- Bersérowie nie są mu nieznani – zauważył Winter.
- Jonatan Bersér, dodatkowy tatuś – ciągnął Halders.
- Witaj w nowym piekle rodzinnym, synu.
- A ty już osądziłeś – odezwała się Aneta.
- Czy to coś nowego? – odparł Halders.
- Właśnie, a gdzie Gerda? – spytał Ringmar.
- Zbiera informacje o pudełkach na torty – powiedział Winter.

Winter podszedł do sprawy poważnie. Wydział techniczny porównał pudełka różnych producentów i okazało się, że pudełka, na których sprawca malował litery, należały do rzadziej używanych. Produkował je zakład Paul Hall AB w Jönköpingu. Były trochę sztywniejsze, trochę grubsze i trochę droższe. Dla starych cukierni w centrum miasta, których klienci byli gotowi zapłacić trochę więcej. Jak Winter.

Tylko jak jakiś sprzedawca miałby cokolwiek zapamiętać? Dzień w dzień setki klientów. Zapamiętaliby i c h klienta jedynie wówczas, gdyby był nago albo ubrany tak, jakby przyjechał z Marsa albo z Jönköpingu, choć i to mogłoby być za mało, żeby zwrócić na siebie uwagę w tak światowym mieście jak Göteborg.

Gerda Hoffner stała w części sklepowej cukierni Ahlströms, Anno 1901, przy Korsgatan. Próbowwała wyjaśnić, o co chodzi, kobiecie, która pewnie była jej rówieśnicą. Koniec trzydziestki, początek czterdziestki, czyli w najlepszych latach. Przekona się o tym ten, kto ma dość rozumu, żeby spróbować.

– Kiedy to było? – spytała kobieta. Na małej plakietce na jej lewej piersi widniało imię: Maja.

– Trudno powiedzieć – odparła Gerda. – Do pierwszej zbrodni doszło dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie temu – powtórzyła Maja, przeciągając głoski.

– Ale mógł kupić te pudełka kiedykolwiek, to znaczy ciastka

w pudełkach.

– Ciastka w pudełkach...

Wyglądała, jakby się namyślała, a może wcale nie myślała.

– Pudełka – powiedziała. – Kupił pudełka.

– Kto kupił pudełka?

– Kupił mały tort i kilka dużych pudełek – odparła Maja. Wyglądała na przestraszoną, jakby podała rękę diabłu albo przyjęła od niego pieniądze. Spojrzała na swoją rękę, jakby sprawdzała, czy nie poczerniała.

Była to jedna z tych chwil, które zdarzają się tylko w prawdziwym życiu.

– Chyba miesiąc temu – powiedziała Maja.

– Jak wyglądał? – spytała Gerda.

– Dlaczego to takie ważne? – zapytała Amanda Bersér.

Tyle lat służby, a człowiek wciąż nie może uwierzyć własnym uszom, pomyślał Ringmar.

– Chodzi o pani męża – cierpliwie tłumaczył Winter.

– Gustav nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała.

Wygląda na przestraszoną, pomyślał Ringmar. Nachylił się, może chciał się wydać groźniejszy.

– Czy Gustav bał się ojczyma?

– Nie, nie, nie.

Za dużo tych zaprzeczeń, co najmniej o dwa. Ringmar spojrzął na Wintera. Winter przyglądał się Amandzie Bersér. Wpatrywała się w stół. Nie było tam nic do oglądania, nawet jej własnego odbicia. Dawniej można się było przegłądać w blacie, pomyślał Ringmar. Za mojego dzieciństwa.

– Co on zrobił? – spytał Ringmar głośniejsz, niż zamierzał. Serce też biło mu głośniejsz, niż myślał, puls przyspieszył.

Amanda Bersér była wyraźnie przerażona.

– Bertilu – odezwał się Winter.

– Przecież pani wie, co on zrobił – ciągnął Ringmar. – Do diabła, dlaczego pani nie chce tego powiedzieć?

– Bertilu! – krzyknął Winter.

Amanda Bersér wstała. Była blada jak ściana. Chodziło o Ringmara, nie o nią ani o jej syna, ani o mordercę jej męża. Koszmary Bertila mogłyby ją złamać. Wystarczy jej to, co już

przeżywa. Spojrzała na Wintera.

– Proszę wybaczyć – powiedział Winter, wyciągając Ringmara do przedpokoju, do drzwi, do samochodu.

– Czy to było zaplanowane? – spytał Ringmar. Był jak naćpany albo w szoku, jego ciało było wiotkie, bezwolne.

– Wsiadaj i bądź cicho – odparł Winter, otwierając drzwi samochodu lewą ręką.

Morze było gładkie jak lustro. W najgłębszych zatoczkach nadal utrzymywał się lód. Niesamowite. Niedługo Wielkanoc, a na morzu jeszcze lód.

Winter puścił kaczkę. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć. Kamyk pomknął w otwarte morze jak ptak.

Piasek chrząścił im pod nogami. Rosnąca na brzegu trawa wyglądała jak lodowa przędza o dziwnej zielonej barwie, właściwej tylko dla tego jednego dnia. Kamyki ziębiły dłonie. Ringmar zamachnął się, ale jakoś niezdarnie, jak zawsze przy pierwszym rzucie.

Pomyślał, że Winter chciałby, żeby jego działka nad morzem pozostała dokładnie taka jak teraz, nawet o tej porze roku, gdy wszystko wokół jest obietnicą lepszego życia, cieplejszego.

Winter znów puścił. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem-dziewięć!

– Bertilu, widziałeś?!

– Coś fantastycznego.

Winter schylił się po następnego kamyk. Prostując się, spytał:

– Jak się teraz czujesz?

– Odwał się.

– To również moja sprawa – powiedział Winter.

– Wiem.

– Nie możemy odpuścić.

– Nie możemy.

Winter puścił kolejną kaczkę, ale rzut był nieudany, kamyk od razu utonął.

– Wiesz, że ten kamyk potrzebował dziesięciu milionów lat, żeby się wydostać z wody na brzeg? A ty go wrzuciłeś

z powrotem w dziesięć sekund – powiedział Ringmar.

– To moja kwestia – odparł Winter.

– Płakać mi się chce na samą myśl.

Winter odwrócił się do Ringmara, mentora, ojca, kolegi i towarzysza.

– Bertilu, jesteś niewinny.

– Ale Jonatan Bersér nie był niewinny.

– Wszyscy to wiedzą – odparł Winter.

– To po co tyle kłamstw? Dlaczego ludzie w takiej sprawie zawsze kłamią?

– W przeciwnym razie zostalibyśmy bez pracy, Bertilu.

Ringmar parsknął śmiechem. Jego śmiech poleciał nad wodą jak puszczone kaczką i już nie wrócił.

– A na końcu pogrążają nas te kłamstwa – powiedział. – Jak te kamyki.

– Ludzie – odparł Winter. – Zawsze ludzie.

– Są jak kamienie?

Winter milczał. Nie miał gotowej odpowiedzi. W ciągu wielu lat służby spotykał ludzi, którzy nie mieli pod powiekami nic innego jak tylko kamienie albo węgle. Ale spotykał też ludzi z oczami jak diamenty, węgle zamienione w diamenty. I to było jak cud, i ten cud był wart wszystkiego.

– Mam wrażenie, że czekamy na jego następny krok – powiedział Ringmar.

– Więc jesteśmy o krok za nim – odparł Winter.

– Nie, nie.

– Pogrąży go jego własna nienawiść – powiedział Winter.

– Może Roberta Halla, Matildę Cors i Jonatana Berséra coś łączyło, kiedy byli młodzi.

– Może nie wszyscy byli w to zamieszani.

– Jakoś byli, tak sądzę. W każdym razie wszyscy milczeli.

– Czy człowiek powinien zostać ukarany tylko za to, że milczał?

– Czasem milczenie jest taką samą zbrodnią jak sama zbrodnia.

– I kara jest równie surowa.

– Tak jest.

– Gdzieś są odpowiedzi na te wszystkie pytania – powiedział Winter.

– Myślisz, że litery odnoszą się właśnie do tego miejsca?

– Nie mam pewności, Bertilu.

– W takim razie jaki to ma sens?

Winter ważył w dłoni kamyk. Miał idealny kształt.

– Zaprowadzi nas dalej – powiedział.

– We właściwe miejsce?

– Tak.

– I co się tam stanie?

Winter puścił kaczkę. Kamyk tańczył po zimnej powierzchni wody jak motyl zmierzający do ciepłych krajów, gdzie miałyby szansę przeżyć. Tańczył po zatoce, ku słońcu.

– Super! Nikt nie jest w stanie powtórzyć takiego rzutu. Nikt z ludzi, których urodziła kobieta.

– Trzeba by cesarskiego cięcia.

– Makbet – powiedział Ringmar.

– Makduf urodził się przez cesarskie cięcie – dodał Winter.

– Kurde, wiem!

– Ludzie nie wierzą, że gliniarze mogą być tak wykształceni jak my – powiedział Winter.

– Eriku, co się stanie w tym najważniejszym ze wszystkim miejsc?

– Wiem tylko, że ja tam będę – powiedział Winter i ruszył brzegiem.

Nie był pewien, czy tam wróci. Jego życiu znów zagrozi niebezpieczeństwo.

GERDA HOFFNER I WINTER przesłuchiwali sprzedawczynię z cukierni. Maję Åkesdotter. Nie była Islandką. Winter spytał ją, ale jej nazwisko nie brzmiało Åkesdottir. Pamiętał, że Åke to jedno z najstarszych staronordyckich imion, może nawet najstarsze. Syn Odyna, Thor, miał w rzeczywistości na imię Åke-Thor. Åke znaczy podróżnik, który wyrusza w podróż, by ścinać głowy klechom we Francji i Irlandii.

Siedzieli w pokoju Wintera. Winter miał zapiaszczone buty. Wniósł do pokoju zapach morza, ale panie chyba go nie poczuły. W kieszeni spodni został mu kamyk. Rzuci go następnym razem, gdy przyjdzie na plażę, kiedy już będzie bezpieczny.

– Sama nie wiem, dlaczego zwróciłam na niego uwagę – powiedziała Maja Åkesdotter. – Pewnie przez te pudełka.

– Ludzie nie kupują pustych pudełek? – spytała Gerda.

– Bardzo rzadko... Potem muszą je sami składać.

– Rzeczywiście – powiedział Winter.

– Co on zrobił? – spytała.

– Jeszcze nie wiemy, kto to jest – odparł Winter. – Ale może nam pani pomóc.

– Nie pamiętam, jaki kupił tort, ale pamiętam pudełka.

– Bardzo dobrze.

– Pana też pamiętam – dodała. – Przychodzi pan na kawę z jednym starszym panem.

Ze starszym panem. Puści Bertilowi nagranie z przesłuchania, chociaż może to za duża złośliwość. Dam spokój, niedługo też taki będę.

– Rzeczywiście, przychodzimy. Czy tamten człowiek też bywał wcześniej w cukierni?

– O ile wiem, to nie.

– Poznałaby go pani, gdyby go zobaczyła?

– Może...



- A po czym by go pani poznała?
- Po włosach. Miał włosy w kolorze piasku – odparła.

Tego samego popołudnia Winter i Ringmar usiedli przy stoliku w cukierni Ahlströms. Nie widzieli mężczyzny o włosach jak piasek. Maja tego dnia nie pracowała. Po przesłuchaniu była wyraźnie wyczerpana. Ze wszystkimi tak jest, z uczciwymi też. Ringmar miał piach na butach. Na podłodze wokół stolika był piach, pod krzesłem Wintera również. Prywatny piach. Niewiele osób mogłoby się poszczycić czymś takim. Ten piasek potrzebował mniej niż godziny, żeby znad morza dostać się na Korsgatan. W naturalnych warunkach trwałoby to pięćdziesiąt milionów lat.

- To on? – spytał Ringmar.
- Tak.
- Dlaczego cukiernia Ahlströms? Przypadek?
- Nie.
- Obserwował nas?
- Tak.
- Chciał, żebyśmy wiedzieli.
- Absolutamente.
- Bezczelny skurwiel.
- I tak, i nie.
- Chce się pokazać – powiedział Ringmar.
- Ma potrzebę afirmacji.
- Od nas? Byle chłystek popełniający ciężką zbrodnię oczekuje od nas afirmacji!

Winter spojrzął na swoją napoleonkę. Jeszcze jej nie tknął i pewnie nie tknie. Zamówił ją, żeby podtrzymać tradycję. Bertil też nie ruszył swojej rolady orzechowej, ale ją zje. Pod tym względem byli różni, mieli odmienne temperamenty.

- Chce nam pokazać, że nie jest byle kim. Jest ofiarą.
- To się często łączy – zauważył Ringmar.
- Facet może podejść za blisko – powiedział Winter.
- To samo sobie pomyślałem – odparł Ringmar. – Po ostateczną afirmację.

– Troje zamordowanych. To świadczy o nieumiarkowaniu. W podręczniku nazywają to morderstwem seryjnym.

Aneta i Halders przesłuchali Lassego Butlera, kolegę Jonatana Berséra ze szkoły podstawowej w dzielnicy Johannesberg. Teraz mieli już dwóch zamordowanych nauczycieli z tej szkoły. Spotkali się z nim w pobliskiej kawiarni, w której podawano wyłącznie produkty Delicato, żadnych domowych wypieków. Halders zamówił ciastko zwane odkurzaczem. Miało smak rumu wysikanego przez martwego niewolnika z Dominikany.

– Miał wielu przyjaciół? – zapytała Aneta.

– Nie, trzymał się raczej na uboczu.

– Raczej?

– Nie wiem – odparł Butler.

Butler był typem sportowca, podobnie jak Bersér. Haldersowi wcale się to nie podobało. Sam był taki, ale ludzie o dziesięć, piętnaście lat młodszy wyglądali na bardziej wysportowanych od niego. To niesprawiedliwe. Przecież dobrze się trzyma, nie jest jakimś marcepanem, jak ten wysikany odkurzacz na talerzyku, zmiętoszony, jakby go przeżuło kilku biedaków. Powinien przypomnieć Winterowi o turnieju korporacyjnym. Za kilka dni minie termin zgłaszania drużyn. Do cholery, zgłosi drużynę bez pytania i nazwie ją „Przemoczeni” albo tylko „Rubaszni”. To drugie to chyba nawet lepszy pomysł. Butler wygląda na środkowego obrońcę, może nawet grał w jakiejś niższej lidze. Może Bersér też grał w piłkę nożną.

– Czy Bersér grał w piłkę nożną? – spytał Halders.

– Zdaje się, że tak.

– W jakim klubie?

– Nie wiem.

– Opowiadał o tym?

– Nie.

– To skąd pan wie?

– Wydaje mi się, że ktoś kiedyś mówił.

- Ktoś? Kto?
- Nie mogę sobie teraz przypomnieć.
- Co powiedział?

Butler nie odpowiedział od razu. Spojrzał na odkurzacza na swoim talerzyku. Nawet go nie tknął, był mądrzejszy od Haldersa. Kawy też nie tknął, siebie samego pewnie też.

- Trenował jakąś drużynę? – dopytywał Halders.
- Coś w tym rodzaju.
- Niech pan sobie przypomni. To ważne. – Halders czuł to samym fiutem. Zawsze czuł w tym miejscu, gdy coś było w a ż n e. To było jak lodowy kolec przebijający szyszkę. Nigdy nie próbował tego opisać Anecie ani nawet żadnemu mężczyźnie.
- Niech pan sobie przypomni – powtórzył.
- To ważne? – spytał Butler.

Nie twoja sprawa, ty lokaju<sup>13</sup>, pomyślał Halders, wpatrując się w niego. Pochylił się. Widzisz moje oczy, moje ręce?

- Nie wiemy, co jest ważne – powiedziała pouczającym tonem Aneta. – Wszystko może się okazać ważne.

Bełkot, ale pożyteczny bełkot. Dla pana magistra może to być coś nowego, lekcja życia.

- A może to tajemnica? – spytał Halders takim samym tonem. Wiem, zaliczyłem wtedy nieobecność, zawsze chorowałem, kiedy w grafiku w szkole policyjnej nie było sportów walki.

- Nie... dlaczego tajemni...
- Coś się pan ociąga z odpowiedzią.
- Po prostu nie pamiętam.
- Czego pan nie pamięta?

Butler spojrzał na niego jak na człowieka niespełna rozumu. Halders spróbował jeszcze raz.

- Kto powiedział, że Bersér trenował jakąś drużynę?
- Nie mam nawet pewności, że tak było.
- Kto tak powiedział?
- Nie pamiętam. Może jak pomyślę...
- Okej, niech pan myśli – powiedział Halders, wstając. – My się tymczasem przejdziemy.

---

<sup>13</sup> Butler – ang.: lokaj.

Kupka nagrań na jego biurku nie była duża. Złapał kasetę VHS. Oprócz niej miał jeszcze cztery czy pięć płyt CD. Facet z wydziału technicznego podłączył mu odtwarzacz. Wolał oglądać u siebie.

W kieszeni na piersi zawibrowała komórka.

- Cześć, Angelo.
- Stęskniłyśmy się za tobą – powiedziała.
- Powiedziałaś to od razu na dzień dobry.
- Czujesz się zakłopotany?
- Trochę.
- U nas już wiosna – powiedziała.
- To będzie moja trzecia hiszpańska wiosna – odparł.
- Nie mów nic na wyrost.
- Wszystko jest pod kontrolą.
- Nie zabrzmiało to zbyt poważnie.
- A co mnie może powstrzymać przed wyjazdem?
- Co robisz?
- Urządziłem sobie kino domowe.
- Kino domowe?
- Zebraliśmy rodzinne nagrania z domów ofiar.
- Aha.
- Jeszcze nie zacząłem oglądać.
- Elsa chce z tobą porozmawiać.

Czekał. W powietrzu nad Europą rozlegały się jakieś trzaski i szumy. Nagle przypomniał sobie o swoich uszach. Nie pamiętał o nich przez cały dzień. Bardzo dobrze.

- Cześć, tatusiu!
- Cześć, córeńko.
- Kiedy do nas przyjedziesz?
- Niedługo, przecież wiesz.
- Obiecuj, że przyjedziesz!
- Obiecuję. Co dzisiaj robisz?
- Zwolnili nas z lekcji!
- Dlaczego?
- Nie wiem. Idziemy na plażę.

- Będziecie się kąpać?
- No coś ty!
- Puścisz dla mnie kaczkę?
- Z queso czy z jambón<sup>14</sup>?

Pomyślał, że jego córka jest już bardziej Hiszpanką niż Szwedką. Angela mówiła mu, że zarówno Elsa, jak i Lilly wolą rozmawiać po hiszpańsku.

- Piedra – odparł.
  - Okej. Jakiego koloru?
  - Biały.
  - Tato, nie ma białych kamieni.
  - Jest kilka plaż. Poszukajcie.
  - Jak ty – odparła. – Znalazłeś już tego złego pana?
  - Na pewno jest ich jeszcze wielu, kochanie – odparł.
- Nie chciał o tym rozmawiać, absolutnie nie, nigdy.

---

<sup>14</sup> Puszcząć kaczkę to po szwedzku kasta smörgås, czyli „rzucić kanapkami”. Elsa pyta, czy kanapka ma być z serem, czy z szynką

HALDERS I ANETA dali Lassemu Butlerowi czas do namysłu, a sami przeszli się po Johannesbergu, dzielnicy, która miejscami była jak oaza w centrum miasta.

– Fajnie byłoby tu mieszkać – odezwała się Aneta.

– A co jest złego w Lunden?

– Nic – odparła. – Tylko pomyślałam, że...

– Pomyślałaś, że chciałabyś mieć dom, który od początku byłby nasz wspólny – przerwał jej. – Nowy dom. Nowe życie.

– Ale z ciebie psycholog. Po prostu światowy poziom – zauważyła.

– Nie jestem głupi – odparł. – Nie to co Butler.

– On nie jest głupi.

– Okej, tylko struga głupiego.

– Sprawa jest delikatna. Nie chodzi tylko o to, żeby sobie przypomnieć.

– Kurde, przecież jego kolega Bersér nie żyje – odparł Halders.

Lasse Butler namyślił się, ale nie przypomnieć sobie żadnego nazwiska ani żadnej twarzy. Za to przypomnieć sobie co innego.

– Zdaje się, że chodziło o drużynę młodzików – powiedział.

– Albo dziecięcą.

– To duża różnica – zauważył Halders.

– Jakie to ma znaczenie? W tym przypadku? – spytał Butler.

– Jakie znaczenie ma to, że Ziemia kręci się wokół Słońca?

– spytał Halders.

– Co?

– Który to był klub?

– Nie wiem.

– A co pan wie, do cholery?

– Fredriku – upomniała go Aneta.

- Gdzie Bersér trenował te dzieciaki? W którym miejscu?
- Nie wiem.
- Może to wszystko się panu przyśniło?
- Ktoś... to kiedyś powiedział.
- Cholerne dzięki – odparł Halders.

Butler rzucił mu złe spojrzenie. Ale nie wstał, nie dał mu w mordę. Ja bym dał, pomyślał Halders. Nie zgodziłbym się na coś takiego. Spojrzał na Anetę. Zrobiła nieznaczny ruch głową, jakby mówiła: masz się zaraz uspokoić. W innych kulturach taki ruch oznacza aprobatę, chyba w południowych Indiach. Nie był tam, ale Aneta mówiła mu kiedyś, kiedy próbowała go oświecić, i wykonała ten ruch jak prawdziwa Hinduska z południa, chociaż pochodziła z Burkina Faso.

- Kto jeszcze mógłby nam coś powiedzieć? – spytała Aneta.
- Nie wiem – odparł Butler.

– Swoim uczniom też pan tak odpowiada? – spytał Halders.

- Wyjdź, Fredriku – powiedziała Aneta.

– Avec plaisir, mon amour – odpowiedział Halders i wyszedł na ulicę odetchnąć powietrzem Johannesburgu, przesyconym zapachem śmieciarki, która stała przed cukiernią z włączonym silnikiem.

Spojrzał na zegarek. Musiała stać od wielu minut. Mógł podejść, zrobić awanturę. I miał na to ochotę, i nie miał. Czuł się dobrze i niedobrze zarazem. Już mu brakowało Anety u boku, ha! Może potrzebuje jakiegoś lekarstwa. Na pewno potrzebuje wysiłku fizycznego. Dużo wysiłku. Wysiłek działa uspokajająco. Kurde, dlaczego Winter nie chce grać w Korpen? To dobrze robi każdemu, Erikowi też, wszystkim ludziom na tym cholernym świecie kręcącym się wokół tego cholernego słońca. Każdy szuka sobie jakiejś oazy. Dla niego to boisko piłkarskie, cudny odgłos tarcia chrząstki o kość, fantastyczna koleżeńskość, poczucie wspólnoty, euforia, gdy po wysiłku włożonym przez wszystkich drużyna strzela gola.

Aneta wyszła z cukierni. Butler pewnie jeszcze tam siedzi i płacze.

- No i?

– Wiesz co, Fredriku, myślę, że powinieneś z kimś

porozmawiać.

- Właśnie sobie porozmawiałem z panem lokajem.
- I właśnie to jest problem.
- To taka taktyka przesłuchiwania.
- Nie udawaj.
- Czy po tym, jak go sprowokowałem, powiedział ci coś sensownego?
- Ktoś przy jakiejś okazji powiedział, że Bersér trenował dzieci, jakąś drużynę, jeśli to w ogóle była drużyna.
- Jeśli to w ogóle była drużyna?
- Na tym polega ten problem, jak to ujął. Może po prostu była to grupka dzieciaków.
- Aha.
- Sam się dziwi, że to pamięta.
- Wszyscy się dziwimy. Cała ludzkość.
- Fredriku, to ważne.
- Myślisz, że tego nie rozumiem? Nie obrażaj mnie. Właśnie dlatego tak się przejmuję. Czuję to aż po same jaja.

Na monitorze Winter oglądał zupełnie inne życie, szczęśliwe. Dom, którego jeszcze nie odwiedził. Robert i Linnea Hall w domu i przed nim, z dziećmi, Tyrą i Tobiasem. Najpierw mali, potem więksi, znów mali, obrazki zmieniały się razem z postaciami. Tu skok, tam skok, rodzaj niemego filmu, na swój sposób komiczny, chociaż nie było w tym nic śmiesznego. Same stracone lata, bez sensu. Nie, to nieprawda. Nikt z tej rodziny nie wiedział, co ich czeka. Nieświadomość przyszłości to istna łaska boska. Inaczej większość z nas już by się powiesiła. Winter nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Szybko uciekł od jedynej wróżki, która pewnego razu próbowała czytać mu z dłoni.

Obejrzał filmy jeszcze raz. Nie było tego dużo. Są rodziny, które dokumentują całe swoje życie na jawie, godziny snu również. W ciągu wielu lat służby widział niejednego durny film pokazujący śpiące dzieci. Zawsze uważał to za nadużycie. Widział na filmach martwe dzieci i pewnie jeszcze zobaczy, jak



długo będzie ściagał złych mężczyzn i złe kobiety. Potem musiał się napić whisky, żeby uciec od tych obrazów. Może to niedobrze, ale musiał.

Hallowie zadowolili się zaledwie kilkoma ruchomymi obrazkami ze wspólnego życia, jakby wiedzieli, że to się wkrótce skończy. Na filmach nie było wielu znajomych i przyjaciół. Kilka starszych osób. Winter domyślał się, że to dziadkowie i tak dalej. Ich nazwiska zostały zapisane w aktach z dochodzenia, ale on szukał innych twarzy. Dziecka, kolegi. Było ich wiele. Będzie je pamiętał, kiedy będzie szukał innych twarzy na filmach z życia pozostałych ofiar. Piekielna robota.

Rodzina Winter-Hoffman nie miała kamery wideo. Angela chyba się domyślała dlaczego, a Elsa i Lilly nie pytały. Mieli zdjęcia. To lepsze. Nic się nie rusza, czas zostaje uchwycony lepiej, nie tak okrutnie. To lepsze dla wspomnień, a może i na przyszłość.

Sam miał filmy z dzieciństwa. Leżały gdzieś w domu Lotty, w Hagen. Nie oglądał ich od trzydziestu lat, może dłużej. Coś go powstrzymywało, ale to coś zaczęło teraz wychodzić, ścisnąć go za gardło, przenikać do umysłu, rządzić jego życiem, niszczyć to, co było.

Włożył następny film. Obrazki migaly, latały, jakby operator był pijany. Po chwili obraz zrobił się ostrzejszy, chociaż kolory były wyblakłe, jak to w latach osiemdziesiątych, może dziewięćdziesiątych. To był film Bersérów, s t a r e j rodziny. Jonatan był ich synem. O, jest, trochę po dwudziestce, przystojny chłopak. Wyglupia się na trawniku przed domem w Pávelund razem z kilkoma chłopakami w tym samym wieku. Nie było wśród nich Roberta Halla, nie ma tak łatwo. Ani żadnych kobiet, żadnej Matildy Cors. Kopali razem piłkę. Zza domu wypadło kilku młodszych chłopców z jeszcze jedną piłką. Wyglupiali się, przebiegli koło grupki starszych, zwędzili im piłkę. Tamci pogonili za nimi. Wszyscy śmiali się jak szaleni i w końcu zniknęli za domem. Winter przewinął z powrotem. Wpatrywał się w twarze chłopców. Mieli po dziesięć, dwanaście lat. Było ich pięciu. Co oni tam robili?

Ringmar i Winter pojechali do Pávelund. Stali przed domkiem jednorodzinny obłożonym cegłą licówką, typowym domem z lat czterdziestych, składającym się z czterech pokoi, garażu i pokoju do rozrywek w piwnicy.

– Popatrz, że też niektórzy ludzie nie bali się postępować na przekór socjaldemokratom – powiedział Ringmar. – Budować dom. To było postępowanie cholernie kontrrewolucyjne. Wciąż jest.

– A ty nie jesteś socjaldemokratą, Bertilu?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Pozwalasz sobie na odstępstwo od marksizmu-leninizmu?

– Nie bardziej niż ty, Eriku.

– Ja zawsze byłem za młody – zauważył Winter. – Za młody na Le Duc Tho.

– A ja za stary.

– W życiu!

– Nosilem nawet na kurtce znaczek Frontu Wyzwolenia Wietnamu – powiedział Ringmar. – Oczywiście kiedy nie byłem na służbie.

– Gdybyś go przypiął do munduru, dostałbyś strzał w plecy od swoich.

– I tak dostałem.

– I za to między innymi cię podziwiam, Bertilu.

– Za to, że dostałem w plecy?

Winter nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły.

Stał w nich mężczyzna, siwy siedemdziesięciokilkulatek. Dobrze się trzymał. Głos też miał mocny. Winter dzwonił do niego z gmachu policji.

– Panowie detektywi? – spytał.

– Komisarz kryminalny Erik Winter. – Winter pokazał legitymację. – A to mój kolega Bertil Ringmar.

– Proszę bardzo – odparł mężczyzna, zapraszając ich gestem do przedpokoju. – Niestety, żony nie ma.

Winter kiwnął głową.

– Nie miała siły na to spotkanie – dodał Gunnar Bersér.

– Rozumiemy – odparł Winter.

- Jak to może być, że dzieją się takie straszne rzeczy?
- powiedział Bersér. – Dlaczego?
- Ciągłe sobie zadajemy to pytanie – odparł Ringmar.
- Staramy się znaleźć odpowiedź.
- I udaje się wam?
- Nie na wszystkie pytania, ale prawie zawsze udaje nam się złapać sprawcę.
- Bersér podniósł do góry gazetę, którą trzymał w ręku.
- Widzieliście gazety? O niczym innym nie piszą, tylko o tym.
- Unikamy czytania gazet – odparł Winter.
- Jak można tego uniknąć?
- Możemy wejść dalej? – spytał Winter.

Gunnar Bersér patrzył na ruchome obrazki w takim napięciu, jakby oglądał film z przeszłości, którą na zawsze i bezpowrotnie zostawił za sobą. Dziś jest całkiem inaczej. Nie jest już szczęśliwy, niewinny i uwieczniony jako najlepszy. Młody człowiek wygłupiający się z kolegami nadal był jego synem, ale on też należał już do przeszłości i nawet do tego nie dało się wrócić. Winter widział to wiele razy: rodziny ofiar nie mają się do czego odwołać, bo teraźniejszość jest do niczego, przeszłość zdruzgotana, a przyszłość w rozpacz. Czas nigdy niczego nie leczy.

Gunnar Bersér podniósł wzrok.

- Niewiele z tego pamiętam – powiedział.
- Kto to filmował? – spytał Winter.
- Pewnie ja, bo żona nigdy nie filmowała. – Znów spojrzął na ekran, teraz już czarny, przecięty złotą smugą padającą z okna.
- Nie chciała się nauczyć.
- A tych chłopaków pan rozpoznaje? Rówieśników Jonatana?
- Chyba tak. Jednego. To Peter Mark... nie widziałem go, odkąd Jonatan wyprowadził się z domu.
- Wie pan, gdzie mieszka?
- Nie, wiem tylko, gdzie mieszkali jego rodzice. Wydaje mi

się, że wciąż mieszkają. Spotkaliśmy się kiedyś w Konsumie przy Kåringberget.

- Skąd syn go znalazł? – spytał Ringmar.
- Skąd... czy ja wiem, przyjaźnili się.
- Co robili, gdy byli razem?

Gunnar Bersér wyciągnął rękę w stronę martwego ekranu. Już nie było złotej smugi. Zostało tylko jego lustrzane odbicie. Wyglądał jak duch. Spojrzał na Wintera i na Ringmara, jego oczy patrzyły martwo. W tym jest coś więcej niż rozpacz, coś większego i gorszego.

- Pewnie grali w piłkę nożną – odparł Bersér.
- W którym klubie?
- Jonatan nie należał do żadnego klubu.
- Nie należał?
- Nie.
- Dlaczego?
- A jakie to ma znaczenie?
- Czy jako chłopiec należał do jakiegoś ogniska sportowego?
- Nie – powiedział Bersér.
- Ale lubił piłkę.
- Owszem.
- Nie pozwolił mu się pan zapisać?
- Co? Dlaczego?
- Zabronił mu pan?
- Nie, nie. Dlaczego miałbym mu zabronić?
- Kiedy ostatni raz spotkał się pan z synem? – spytał Winter.

Gunnar Bersér w milczeniu patrzył na telewizor, jakby obrazy z przeszłości miały wrócić i przynieść odpowiedź. Ale Winter wiedział, że to tylko cienie, strasznie długie cienie z bardzo odległej przeszłości.

- Cóż... jakiś czas temu – odparł Bersér.
- Co się między wami stało?
- Nic.
- Kim byli ci chłopcy? – spytał Ringmar.
- Co proszę?
- Pytam o chłopców, którzy są na tym filmie. Co to za chłopcy?
- Naprawdę nie wiem. Skądś przyszli. W okolicy było wtedy

mnóstwo dzieciaków. Biegały, jak chciały, od domu do domu.

– Skąd oni byli?

– Nie wiem.

– Pytał pan Jonatana?

– Pewnie tak.

– I co panu powiedział?

– Nie pamiętam, to było tak dawno.

– Mógłby pan sobie przypomnieć? – spytał Ringmar.

Bersér nie odpowiadał.

– Kiedy widział ich pan po raz pierwszy?

– Słucham?

– Ci chłopcy, pewnie nie pierwszy raz tu byli?

– Chyba tak.

– Należeli do jakiegoś ogniska sportowego?

– Nie wiem.

– Tego samego co Jonatan i jego koledzy?

– To... możliwe – odparł Bersér.

– Mógł należeć do ogniska sportowego bez pańskiej wiedzy?

– Miał przeszło dwadzieścia lat. Był dorosły – powiedział Bersér. Jego spojrzenie znów powędrowało do telewizora. Poruszał wargami, jakby mówił coś do siebie.

– Gdzie jest pańska żona? – spytał Winter.

– Co?

Winter powtórzył pytanie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odparł Bersér.

– Na długo wyszła?

– Wydaje mi się, że tak.

Nad Vasaplatsen wciąż jeszcze był dzień, długi ponad wszelką przyzwoitość. Winter zdążył znów przywyknąć do ciemności i długi dzień wydawał mu się wręcz wyzywający, zwłaszcza odkąd wrócił czas letni. Niby było lato, ale temperatura zeszła poniżej zera. Na placu wciąż leżał śnieg, tworzył ozdobny wieniec wokół obelisku.

Siedział w domu i oglądał film z ogrodu Berséra. Przewijał go w przód, w tył, znał już wszystkie twarze, i mniejszych

chłopców, i tych dorosłych.

Kiedy oglądał go po raz trzeci, dokonał pewnego odkrycia.

Obiektyw był wycelowany w róg domu, zza którego wybiegły dziesięciolatki. Operator czekał na ten moment. Za kamerą stał Gunnar Bersér. A zaledwie kilka godzin wcześniej powiedział: „po prostu skądś przyszli”. Wiedział, że tam są.

Winter podniósł szklanę. Miał w niej bruichladdich. Poczul zapach Islay i odrodzonej destylarni. Kiedyś, dawno temu, był na tej wyspie, odurzony morzem, torfem, wiatrem, wrzosem, jęczmieniem i wodą z lodem. Człowiek powinien się stale utrzymywać w tym stanie. Wystarczy podnieść szklanę do ust albo zabukować bilet, albo pojechać na własną plażę, gdzie jest prawie wszystko co trzeba.

Wyjął z odtwarzacza płytę i włożył następną, z filmami Hallów z zabitego deskami miasta Borås.

Czyjeś urodziny. Młody Robert Hall, lekko po dwudziestce. Potem sprawdzi dokładnie. Młoda kobieta, może Linnea. Jacyś starsi państwo, pewnie jej rodzice. To ten sam dom, w którym ona mieszka teraz z dziećmi. Pewnie jego albo jej dom rodzinny. Pewnie jej, bo są ci starzy rodzice. Boże, pewnie są w tym wieku co on teraz, po pięćdziesiątce, ale wyglądają starzej. Może takie były czasy albo on jest w lepszej formie, albo dzięki tej wodzie życia, którą podnosi do ust i pije po łyżku, jakby robił wdech, potem odstawia szklanę i stara się skupić wzrok na tym, co widać w tle, na łące na lewo od domu, za niskim żywopłotem: jakiś ruch tam i z powrotem, piłka, jakieś sylwetki.

Trudno dojrzeć. Coś się dzieje na tej łące. Może ktoś gra w piłkę nożną. Znów przewinął tę sekwencję, ale wszystko działa się tak daleko. Na wszelki wypadek powinni to przejrzeć w wydziale technicznym. Kolejna sekwencja, kiedy indziej. Dwoje dzieci na rowerach, dzieci Roberta Halla. Śmieją się do kamery, śmieją się ze szczęścia. Ich mama pochyla się i też się śmieje do kamery. Linnea była szczęśliwa. Było lato, świeciło słońce, cały świat był szczęśliwy.

A potem ekran zrobił się czarny. W pokoju zrobiło się już ciemno, nadszedł prawdziwy wieczór. Fałszywy został wessany

przez niebo. Winter postawił laptopa na podłodze, podszedł do wieży i znów nastawił kompakt Michaela Boltona. How am I supposed to live without you. Dobrze pytanie, kluczowe. Dobrze mu się pracowało przy Michaelu, ale już rozumiał, że kto słucha Boltona, sam wystawia się na strzał, jest pariasem, jak człowiek przyłapany i nagrany podczas masturbowania się przed stroną MILF, a następnie publicznie skompromitowany filmikiem wrzuconym na YouTube'a.

Zatrzyma Michaela dla siebie. How can we be lovers if we can't be friends. Bardzo dobre: jak mamy się kochać, jeśli nie umiemy być przyjaciółmi?

Komórka zaczęła powarkiwac. Wędrowała wokół stojącej na stoliku obok kanapy szklanki. Winter spojrzął na zegarek. Kilka minut do północy czasu letniego. Potem na numer na wyświetlaczu, ale nie zrobił się od tego mądrzejszy.

– Słucham.

– Erik Winter?

– Tak.

– Cześć, mówi Dick Benson, sekcja zabójstw wydziału dochodzeniowego w Sztokholmie.

– Witaj, Dick, znam cię ze słyszenia.

– A ja ciebie. Słuchaj, policja z Vasastan poinformowała nas o morderstwie, które powinno cię zainteresować. Czytaliśmy o twoim obecnym dochodzeniu.

– Tak, słucham cię.

– Ofiara to mężczyzna. Zwłoki leżały w Vasaparken. Na głowie miał foliową torbę, spodnie ściągnięte. Znaleźliśmy również literę, literę A.

– O kurwa.

– Wydaje się znajome, co? – powiedział Benson.

– Wiecie, kto to?

– Tak.

– Mieszkał w pobliżu?

– Tak, przy Hälsingegatan 3, ze sto metrów dalej.

– I domyślałem się, że miejsce znalezienia zwłok można zobaczyć z jego domu – powiedział Winter. – Przylecę rano, pierwszym samolotem.

RINGMAR ODEBRAŁ PO DRUGIM SYGNALE. Głos wskazywał na to, że nie spał. Był czujny, jakby czekał na telefon.

– Znów się stało. W Sztokholmie – powiedział Winter.

– W Sztokholmie. Hm... Gdzie?

– W tamtejszym Vasaparken. Koło czegoś, co się nazywa Astrid Lindgrens terrass. Byłeś tam kiedyś?

– Nie. Podejrzewam, że nigdy nie byłem bliżej Vasaparken niż w restauracji Tennstopet. Kim był denat?

– Mężczyzna. Ustalili jego tożsamość, ale to w zasadzie wszystko.

– Był z Göteborga?

– Jeszcze nie wiem. Morderca zostawił na miejscu jeszcze jedną literę.

– Boję się zgadywać.

– Numero uno – powiedział Winter.

– A? Litera A?

– Tak.

– Czyli mamy... O... R... I i A. Kiedy się dowiedziałeś?

– Przed chwilą. Lecę tam wcześniej rano.

– Dobrze.

– Nie zdążyłem jeszcze pogłównkować nad tymi literami.

– Zaraz się do tego zabiorę – odparł Ringmar. – Później może wyjdę w noc.

Ringmar wyszedł w noc, niezbyt jeszcze głęboką. Było zimno, na ziemi leżał śnieg. Miał poczucie, jakby zima miała się nigdy nie skończyć. Było mu zimno w nogi. Miał za cienkie buty, a stał na kawałku oblodzonej ziemi pod bezlistnym klonem przed domem starego Berséra. W kilku oknach paliło się światło. Zobaczył jakiś cień. Cień mógł zobaczyć jego, więc przeszedł przez ulicę, wszedł na posesję i zadzwonił do drzwi. Otworzyły się po kilku sekundach. Oczekiwano go.



- Szpieguje mnie pan? – spytał Bersér.
- Nie, po prostu najpierw chciałem sprawdzić, czy się państwo nie położyli.
- Jestem sam.
- A gdzie żona?
- Nie wiem, mówiłem już. Pytaliście mnie o to.
- Mogę wejść? – spytał Ringmar.
- Dlaczego? Stało się coś?
- Tak. Mogę wejść? Zimno jest.

– Rozmawiał pan z rodzicami Petera Marka już po śmierci Jonatana? – spytał Ringmar.

- Nie, dlaczego miałbym z nimi rozmawiać?
- Spotkał się pan z ich synem?
- Nie, skądże. Dlaczego pan pyta?
- Dziwi pana moje pytanie?
- Wolimy zostać sami ze swoją żalobą – powiedział Bersér. Ringmar pokiwał głową.
- Rozumie pan?
- Tak, potrafię to zrozumieć.
- Przeżył pan coś podobnego?
- Nie – odparł Ringmar, wpatrując się w cienie wokół Berséra. Nikogo tam nie było, tylko cienie, które pozostaną w tym domu, nawet gdy zgasną wszystkie lampy. Właśnie tak pomyślał.
- Wygląda pan, jakby pan też nosił w sobie żalobę – powiedział Bersér.

– Nie da się jej porównać z pańską – powiedział Ringmar. Znów na niego spojrział. – Kto to jest Johan Schwartz?

Bersér nie odpowiedział od razu, ale nie wyglądał na zaskoczonego. Ringmar pomyślał, że wygląda to tak, jakby się wpatrywał w cienie za nim, jakby tam szukał odpowiedzi. W pewnym sensie tam była. Zresztą na tym polegała jego robota: wywabić to kurestwo z cienia.

– Czy Johan Schwartz jest kolejną ofiarą? – spytał w końcu Bersér.

- Tak.
- Mieszkał w Göteborgu?
- Nie wiemy dokładnie.
- To po co pan mnie pyta?
- Zna pan to nazwisko? – spytał Ringmar.
- Tak.

Odpowiedzi udzieliły cienie. Wpatrywał się w nie, jakby się spodziewał, że kryje się w nich jeszcze więcej mrocznej wiedzy. Prawie zawsze ta wiedza jest mroczna, czarna, nie jak sadza, raczej jak farba produkowana przez ludzi, farba na kawałkach kartonu. Litery składające się na czarne słowo, pomyślał Ringmar.

- Wydaje mi się, że jest rówieśnikiem Jonatana.
- Był stąd? Z Göteborga?
- Przecież ja ciągle nie wiem, czy rozmawiamy o tym samym Schwartzu – powiedział Bersér.
- A jeśli tak?
- W takim razie był na jednym z filmów, które razem oglądaliśmy.

Ringmar pojechał na Fältgatan, do rodziców Petera Marka. Kiedy parkował, poczuł wiatr wiejący od przystani Hinsholmskilen. Dzieliło go od niej tylko kilkaset metrów. Sylwetki statków odcinały się na tle nieba jak szkielety. Wiatr był jak tchnienie nieznanego, które zaczynało się zaraz za południowym archipelagiem. Pewnego dnia się tam zapuści, żeby to nieznanne zbadać.

Na przykład miejsce pobytu Petera Marka. Nieznane. Ringmar określał go w myślach jako kolegę z młodości, jakby to było bardzo dawno temu. Dwadzieścia lat to szmat czasu, ale nie wiedział ani czy, ani kiedy, ani gdzie. Same niewiadome. Jedyny konkret to czworo zamordowanych, niegdyś młodych ludzi. Czy byli kolegami? Erik oddelegował, kogo mógł, do śledzenia w sieci życiowych dróg Roberta Halla, Jonatana Berséra i Matildy Cors, w tym ich maili, ale nie znaleźli żadnych łączących ich nici. Potrzebowali więcej materiału do

porównania. Więcej nazwisk. Teraz mieli nowe: Johan Schwartz. To jedyna droga prowadząca naprzód i choć zakrawało to na ironię, było prawdą: żeby ta historia się wyklarowała, trzeba było ją jeszcze bardziej skomplikować.

Choćby to, że Peter Mark, który kiedyś, w młodości, wyglupiał się przed kamerą w czyimś ogrodzie w Pålvelund, kolegował się z przyszłą ofiarą morderstwa i tak jak on dorastał, oddychając morskim powietrzem, robił coś z dziećmi, robił coś pożytecznego, bo taka jest chyba wszelka działalność społeczna, teraz nie odbiera komórki i nie ma go w domu w dzielnicy Majorna. Ringmar był tam dopiero co. Chwilę się wahał z wytrychem w ręku, ale w końcu odwrócił się i wyszedł. Klatka schodowa domagała się remontu od przynajmniej piętnastu lat.

Stał przed jednorodzinnym domem przy Fältgatan. Znów spojrzął na zegarek i zadzwonił do drzwi. Kilka minut po dwunastej. Bez paniki. W środku pali się światło, może to nocna lampka, ale nie przejmował się tym. Po telefonie Erika ogarnęło go znajome uczucie gorączki, pustoszące, wyczekiwane, wyniszczające.

Zadzwonił jeszcze raz. Usłyszał jakiś ruch i łoskot, jakby coś się przewróciło, na przykład stojak na parasole.

Drzwi otworzyła starsza pani. Zawstydził się, że przychodzi tak późno. Potem przestał się wstydzić i wyjął legitymację. Zobaczył męża stojącego za żoną, również starego. Musieli późno zostać rodzicami. Nie byli w piżamach, i całe szczęście. Na podłodze leżał przewrócony stojak na parasole. Niektórzy nadal je mają. W Göteborgu powinno to być obowiązkowe. Trzecie najbardziej deszczowe miasto świata po Czerapunji i Bergen.

– O co chodzi? – spytała kobieta. Najwyraźniej to ona grała w tej rodzinie pierwsze skrzypce, bo przyjęła pozycję jak do ataku na intruza.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno – powiedział Ringmar. – Ale czasem to konieczne.

– O co chodzi?

Starzy ludzie chodzą wcześniej spać. Taki miał przesąd. Co

o tej porze robi dwoje siedemdziesięcioletków? Dlaczego nie śpią po północy? Czekają na kogoś? Na coś? Bertilu, uspokój się.

– Mogę wejść? – spytał.

Zrobił dwa kroki, przeszedł przez próg. Zmarzły mu palce u stóp. W przedpokoju nie było ogrzewania podłogowego, to późniejszy etap ewolucji. Dom był pewnie z lat trzydziestych. Zresztą dziś i tak dalej nie wejdzie.

– Próbuje się skontaktować z państwa synem – powiedział.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – spytała kobieta.

– Jezu, co takiego? – powiedział mężczyzna.

– On tu nie mieszka – wyjaśniła.

– Żeby przychodzić w środku nocy! – dodał mężczyzna.

– On nic nie zrobił – powiedziała.

– Co niby miałyby zrobić? – ciągnął jej mąż.

– Wystarczy do niego zadzwonić – dodała.

– Albo pojechać do niego – zasugerował mąż.

– O przyzwoitej porze.

– Nie mogę się z nim skontaktować – powiedział Ringmar.

– Mógłby pan przynajmniej powiedzieć, o co chodzi – stwierdziła.

– Chcę mu tylko zadać kilka pytań – odparł Ringmar.

– Dziwne – powiedział mężczyzna.

– Chodzi o Jonatana Berséra – wyjaśnił Ringmar.

Żadne z nich się nie odezwało. W słabym świetle lampy wiszącej w przedpokoju wydali mu się bardzo drobni. To było światło adekwatne do jego pracy, nie takie, jak zaleca urząd do spraw higieny pracy, ale w sam raz dla ludzi stroniących od światła.

– Czy państwo słyszeli, co się stało z Jonatanem? – spytał Ringmar.

Kobieta kiwnęła głową. Ringmarowi przyszło do głowy, że może jej mąż jest głuchy albo słyszy tylko to, co chce. A może cierpi na starczą demencję.

– Potworna sprawa – powiedziała.

– Kontaktujemy się ze wszystkimi, którzy go znali – wyjaśnił Ringmar.

Stali w małym przedpokoju, zasmuceni pośród cieni, jakby wspomnienia o ich dorosłym, podstarzałym już synu nie dawało się stamtąd wywietrzyć.

– Peter mógłby nam pomóc – dodał Ringmar. – Ale nie mogę się do niego dodzwonić. Nie odbiera komórki.

– I tak go nie ma w Göteborgu – odparła kobieta.

Jej mąż pokręcił głową. Ciekawe dlaczego.

– Jest w Sztokholmie – dodała.

KRAJOBRAZ ZA OKNEM PRZELATYWAŁ w szalonym tempie. Pociąg pędził tak szybko, że nie mógł nadażyć odczytywać nazw mijanych stacji. To nie ma znaczenia. Pierwszy raz jedzie szybkim pociągiem, pewnie jako ostatni człowiek w tym kraju.

Wreszcie wybrał się do stolicy. Też pierwszy raz, też jako ostatni. Wszyscy inni w stolicy już kiedyś byli. Wielu się tam wyprowadziło. Uciekło, pomyślał, uciekli ode mnie. Mam sprawę do załatwienia, pomyślał.

To nic takiego!

Żebyś tylko.

Żebyś tylko...

Tak mówili, żebyś tylko... bo wtedy... wtedy wiesz, co będzie.

No i było, ale nie to, co mieli albo mają na myśli.

Wiedział, że zawsze się przed nim ukrywali.

Jakaś grupka siedząca po drugiej stronie przejścia zaczęła popijać, chociaż była dopiero jedenasta przed południem. W wagonie zapachniało wodą, ale nikt się tym nie przejmował, konduktor nic nie powiedział. Ohyda. W wagonie były dzieci. Zobaczył, że mały chłopczyk przygląda się czterem pijącym w środku dnia. Dziecko, nie patrz, idź stąd. Mógłby wstać, zrobić dwa kroki i rąbnąć w łeb dziadygę, który trzymał plastikowy kubek z wódką i rechotał obrzydliwie. Ale wtedy nie dojechałbym do stolicy, pomyślał, a jeśli już, to w kajdankach. A przecież nie o to chodzi. Zamknął oczy i zaczął rozmyślać o tym, po co tam jedzie.

JOHAN SCHWARTZ, JOHAN SCHWARTZ. Mężczyzna, lat czterdzieści jeden, uśmiechał się do Wintera ze swojej strony na Facebooku. Miał trochę znajomych, ale nie setki. Pracował w firmie ubezpieczeniowej. Ktoś taki pewnie nie ma zbyt wielu przyjaciół. Winter nie miał strony na Facebooku, Ringmar też nie, za to Halders owszem. Winter, rzecz jasna, nigdy tam nie wchodził. W końcu oglądał gościa na co dzień, a często również w nocy. Poza pracą nie jestem zbyt kontaktowy, pomyślał, kiedy usłyszał o ekshibicjonizmie Haldersa. Zaproponował mu nawet, żeby nazwał swoją stronę Facebox 2.0.

Deszcz bębnił o szyby, nadeszła pora deszczowa. Wreszcie! Wcale go nie cieszyło świecące od miesiąca lodowate słońce ani suchy wiatr wiejący nad tundrą w parkach, roznoszący pył jak żółtą sadzę, ironiczne niebo, bezkresne, błękitne i szydercze, minusowa temperatura w nogach i nieszczęsnych ludzkich duszach. Czy tylko dlatego był przygnębiony? Mógłby fajnie żyć pod ciepłym słońcem. Pod zimnym nie potrafił. Już o tym wiedział. Potrzebował samotności, żeby się dowiedzieć. Rozejrzał się po ogromnym pokoju, za dużym jak na jedną osobę. A przecież lata całe mieszkał tutaj sam, zanim wprowadziła się Angela i przyszły na świat dzieci.

Przeczytał banały na stronie Schwartza. Boże kochany. Na co ci ludzie poświęcają swój cenny czas? Życie staje się przez to jakieś pomniejszone, miálkie. Jeśli chodzi o Schwartza, już jest po życiu. Nadal się wprowadzie uśmiecha ze swojej strony, jakby mu dała wieczność, a stała się jego epitafium, czyniąc wielkim.

Steel bars wrapped all around me, I've been your prisoner since the day you found me, śpiewał w tle Michael Bolton. Odkąd mnie znalazłaś, jestem twym więźniem zakutym w stal. To jest rzeczywistość, zupełnie co innego niż banalna samotność na Facebooku. Bolton urodził się w 1953 roku, zaledwie siedem lat przed nim. Wtedy nazywał się Bolotin.

Dobrze zrobił, że zmienił nazwisko. Jest jakaś jego biografia? Pewnie mnóstwo.

Zadzwoiła Angela. Sam ją poprosił. Było już po północy, ich pora.

- Pijesz? – Zaraz na wstępie padło to paskudne pytanie.
- O szóstej rano lecę na Arlandę, to za pięć i pół godziny.
- Nie o to pytałam.
- Daj spokój!
- To dla twojego dobra.
- Najgorsze mam już za sobą.

Słyszał te same co zwykle statyczne szумы na linii, jeśli rzeczywiście były statyczne. Tak czy inaczej szumiało od miliardów lat. Przy tym szumie każdy człowiek musi się wydawać mały.

- Co się stało w Sztokholmie? – spytała.
- Kolejne morderstwo. Ma związek z naszą sprawą.
- Jaki?
- Wygląda na to, że każdy możliwy.
- To nie pierwszy przypadek, że trafiasz na sprawę, która okazuje się rozwojowa.
- Rozszerza się i zbiega do środka. Tak to określam.
- Boże, jakie to pretensjonalne.
- Jestem z tego dumny – odparł.
- Czego słuchasz?
- Michaela Boltona.
- To ma jakiś związek z dochodzeniem?
- Co masz na myśli?
- Czy któraś z ofiar słuchała Michaela Boltona?
- Nie, sam sobie wybrałem tę muzykę.
- Michaela Boltona?
- Tak.
- Chyba ci odbiło.
- Lotta powiedziała coś podobnego.
- I miała rację.
- Ten artysta spotyka się z wręcz niebywałą wrogością. Zupełnie jak Strindberg. Angelo, zadzwonię do ciebie później, w ciągu dnia.



Przez chwilę siedział bez ruchu. Wpatrywał się w pusty wyświetlacz. Wyglądał jak złe oko.

Nagle ożył.

– Słucham.

– Przepraszam, że cię budzę – powiedział Halders.

– Nie spałem.

– Powodzenia w wariatkowie.

– Dzięki.

– Wczorsem pojechałem jeszcze raz do Lassego Butlera.

Powiedział, że nie zna żadnego gościa o nazwisku Schwartz.

– Aha.

– Ale wciąż opowiada o jakimś społecznym trenowaniu młodzieży albo dzieci. Może tym się zajmowali. Piłką nożną. Kilka razy w tygodniu czy coś w tym rodzaju.

– To częste?

– Nie wydaje mi się. Przecież u nas w Szwecji istnieje coś takiego jak ogniska sportowe. Nie to co w US fucking A.

– Fakt.

– Więc prowadzili jakąś działalność. Obejrzałeś kilka filmów.

– Jest ich więcej. W nocy obejrzę jeszcze kilka.

– Lepiej się prześpij.

– Okej, szefie.

– Długo ten Schwartz mieszkał w stolicy pychy? – spytał Halders.

– Od lat – odparł Winter. – Jutro dowiem się więcej. Spotkam się z Dickiem Bensonem.

– Zarozumiały skurwiel.

– Facet jest okej.

– Nie przekazuj mu pozdrowień. Kiepsko się spisał podczas göteborgskiej imprezy.

– A kto się wtedy spisał?

– Już miałem na końcu języka, że kolega, który zastrzelił tego idiotę, ale tego nie powiedziałem.

– Dobrze.

– Jeszcze jedna pilna sprawa. Jutro mija termin nadsyłania zgłoszeń do turnieju w Korpen.

– Fredriku...

- Eriku, tym razem wygramy. Przejdziemy do historii.
- Już to zrobiliśmy, to znaczy ty już przeszedłeś.
- Dziś jestem innym człowiekiem. Jestem komisarzem.
- Jak my wszyscy.
- Pomyślałem też, żeby wziąć do drużyny Anetę i Gerdę. I może jeszcze jakąś kobitkę z wydziału. Taki miękki akcent. Co ty na to?
- Zatkąło mnie.
- Dobrze. Dzięki, szefie – powiedział Halders i rozłączył się.

Po trzech sekundach telefon zadzwonił znów. Jaki ruch. Tym razem Bertil.

– Schwartz jest na filmie – powiedział. – Tym z domu starych Bersérów.

- Dobrze.
- To przełom. Mamy pierwsze potwierdzenie, że jest jakiś związek między dwiema ofiarami.
- Jak się tego dowiedziałeś?
- Od starego Berséra.
- To znaczy że sam tego nie zauważyłeś?
- Kto ma filmy, ty czy ja?
- Spokojnie.
- Zmęczony jestem.
- Twój głos wskazuje raczej na to, że jesteś ożywiony.
- Przez adrenalinę. To cholerna różnica. Wiem, że powinieneś się przespać przed jutrzejszym dniem, ale jest jeszcze jedna rzecz. Peter Mark, który też był na tym filmie, jest w tej chwili w Sztokholmie. Mówiła mi jego matka. Dopiero co u nich byłem.

- Bertilu, ty naprawdę chodziłeś po nocy.
- Taka moja natura.
- To ciekawe, co powiedziałaś o Marku.
- Tak. Ona nie wie, gdzie w Sztokholmie, ale według niej pojechał szukać pracy.
- Mamy do czynienia z dorosłymi ludźmi, w połowie drogi do grobu, ale ich starzy rodzice ciągle są na bieżąco – zauważył

Winter.

- Też o tym pomyślałem.
- Na co to wskazuje?
- Na to, że nie potrafią się uwolnić. Musi być jakiś powód.
- Kto nie potrafi się uwolnić? Rodzice czy dzieci?

Później, znacznie później, zadzwonił do Marbelli.

– Przepraszam cię za Boltona – powiedziała. – Każdy słucha tego, na co ma ochotę. Erich Honecker lubił zespół Abba. Wiedziałaś o tym?

– I dlatego nie dał słuchać innym?

– Dawał – odparła. – Jeśli o to chodzi, dyktatura była sprytna. Kiedy miałam dziesięć lat, nie było problemu ze słuchaniem Abby.

– W Lipsku – dodał.

– Tak, w Lipsku.

– Ciekawe, czy Björn i Benny o tym wiedzą – powiedział.

– Uważaj na siebie w Sztokholmie.

– Jasne. W tym mieście zawsze trzeba na siebie uważać.

– Kiedy tam byłeś ostatnio?

– Nie pamiętam. Razem byliśmy. Wybraliśmy się do Gröna Lund<sup>15</sup>.

– Tak. Mieszkaliśmy w hotelu Diplomat. Teraz też będziesz tam mieszkał?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Jutro się dowiem.

– Eriku, bądź ostrożny.

– Wiesz, że jestem ostrożny, kochanie.

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał.

– Co mówiłaś?

– Że do czerwca muszę się zdeklarować w pracy – odparła.

W pracy. Oczami wyobraźni zobaczył klinikę: jasne pomieszczenia, morze w odległości zaledwie dwustu metrów, w połowie drogi bar i cztery palmy między stolikami. Angela jest teraz szefem, przełożoną wielu lekarzy.

Wyobraził sobie, jak późnym popołudniem siedzi w Bar

---

<sup>15</sup> Gröna Lund – sztokholmski park rozrywki, najstarszy w Szwecji.

Ancha, w łaskawym cieniu. Ich mieszkanie jest po drugiej stronie wąskiej Calle Ancha. On macha ręką, a Elsa i Lilly machają do niego z balkonu. Tata nie pracuje. Angela daje znak, że pora na obiad. On zaraz wstanie, pójdzie do ich pięknej kuchni z oknem wychodzącym na wschód, stanie przy marmurowym blacie i utłucze sardele na anchoiadę. Przed głównym daniem zawsze jest anchoiada i tostada, przez cały tydzień. Cały tydzień jest sobota.

– Porozmawiamy o tym, jak przyjadę – powiedział.

– W klinice się nie ucieszą, jeśli odejdę.

– No nie.

– Nikt się nie ucieszy – dodała.

W jej głosie nie było radości, a on tak chciał słuchać wesołych głosów. Musiał je słyszeć, jeśli nie pracował. Wiedział, że to szalone życzenie, ale inaczej nie dawał rady.

– Jeśli nie masz miłości, nie masz nic – powiedział.

– Mądrze powiedziane.

– Michael Bolton.

– Aha.

– Może mógłbym pracować na Costa del Sol jako konsultant – powiedział. – W Marbelli raczej się nie skarżą na brak przestępczości.

– Zwariowałbyś.

– Już zwariowałem.

– Nie – powiedziała. – Jeszcze nie.

– Dzięki.

– Ale nie jesteś w nastroju.

– Chciałbym być – odparł. – Chciałbym widzieć wokół siebie ludzi pogodnych, radosnych, pijanych i grubych.

– W takim razie powinieneś zostać w Skandynawii.

– Mam na myśli pogodnych na sposób hiszpański. Melancholijnie pogodnych na sposób hiszpański.

– Hiszpanie to Skandynawowie Morza Śródziemnego, ociężali i gnuśni. Sam tak kiedyś mówiłeś.

– To było dawno, zanim zostałem reemigrantem.

Nie mógł wstać. Zagłębił się w fotelu. Ekran migotał mu przed oczami. Ludzie poruszający się po dziwnych torach, robiący sztuczki przed kamerą i tym, kto ją trzymał. To mógł być ktokolwiek, również pan malarz szyldów. IRAO, RIOA, ORIA, OAIR. To jeszcze nie koniec, nie ma tak łatwo. Więcej ciał, więcej liter. Cały alfabet? Nie. To byłby rekord świata. Takich rekordów nie bije się w Skandynawii. Cały alfabet. Mógłby się wtedy wyłączyć i pójść się opalać, poczekać, aż to wszystko się skończy.

Wyprostował się, zaczął pisać.

Napisał NOIR, potem A zamienił na N.

Policzył. Litera A to w alfabecie szwedzkim numer jeden, *selbstverständlich*<sup>16</sup> tę liczbę. Czterdzieści trzy.

Miał przed sobą całe życie Matildy Cors, od kołyski aż po grób w dole, w zamkniętym na noc parku. Była pięknym dzieckiem.

W tych filmach była elegancja, klasa, wyższa klasa i wyższa elegancja. Na dłuższą metę nie na wiele się to zdało. Tak samo jak filmy z jego dzieciństwa. Nikogo nie cieszyły. Postanowił, że się zmusi, żeby je obejrzeć. Coś je łączy z tym tutaj. Straszne. Jest nie tylko myśliwym. Dowie się, kiedy je zobaczy. Wtedy już będzie wiedział, co mu się przydarzyło.

Matilda uśmiechnęła się do kamery, szeroko, uśmiechem białym jak śnieżny krajobraz w lutym, gdy ziemia jest najpiękniejsza, zresztą niebo też.

Nie wiedział, gdzie nakręcili te zdjęcia. Miejsce wydawało się znajome, jakby kiedyś tam był, może dwadzieścia lat temu, może jeszcze dawniej. W ogrodzie, ale nie u Hallów w Borås ani u Berséra seniora i nie u... jego umysł nie potrafił przywołać innych nazwisk. Teraz pracowały jego oczy. Analizowały światło, bardzo szczególne, z zachodu. To musiało być blisko morza. O rzut kamieniem. Mogła to być jakaś wyspa. Corsowie oczywiście musieli mieć letni dom w południowej części archipelagu, może na Vrångö? Trzeba sprawdzić. To mogło być

---

16 *Selbstverständlich* – niem.: oczywiście.

na wyspie, ale światło powinno być chyba jeszcze silniejsze. Ale to zależy od pory dnia, jakości kamery, filmu, wszystkiego.

Na trawniku kręciło się kilka osób. Ich twarze przemknęły przed kamerą.

O, tam jest jakaś młodziutka.

Obiektyw odszukał chłopca. Stał przy drzewie, prawie za nim schowany.

Ten, kto trzymał kamerę, znał go.

Chłopiec się odwrócił.

Odległość była za duża, żeby odczytać rysy twarzy. Odtworzył film jeszcze raz. Tym razem poszło trochę lepiej.

Chłopiec, drzewo, twarz, odległość. Potem już go nie było. Kamera wróciła do twarzy panny Cors, aż za blisko. Peeping Tom, podglądacz, pomyślał, a Matilda nie przestawała się uśmiechać.

Kamera pokazała panoramę ogrodu. Było w nim pełno ludzi, ale chłopca już nie odnalazła. Gdzie ja widziałem tę twarz? – zastanawiał się Winter. Nie teraz, wcześniej. Poczł znajomy chłodek na potylicy, jak lód albo ciarki na głowie. Zawsze tak miał, kiedy był blisko zaskakującego odkrycia.

Już go gdzieś widziałem, gdzie indziej, na innym nagraniu. To on.

KIEDY JECHAŁ TAKSÓWKĄ NA LOTNISKO Landvetter, śniło mu się, że krążą nad nim płonące helikoptery. Podniósł wzrok. Jeden-dwa-trzy-cztery-pięć. Spadały na ziemię jak martwe świecące gwiazdy.

W hali odlotów siedzący naprzeciwko mężczyzna zjadł banana i trzymał skórkę tak, jakby chciał ją zachować na pamiątkę. Winter próbował napić się kawy z automatu, ale nie szło mu. Zamknął oczy i rozmyślał o twarzy chłopca. Potem o twarzy młodego mężczyzny, którego widział po drugiej stronie lodowiska. O molestowaniu, do którego może nigdy nie doszło. Nie chodziło tylko o niego. Musi porzucić to samolubne myślenie.

Stał w kolejce do boardingu i rozmawiał przez telefon.

– Pilnujemy wszystkich odjazdów do Bagna Pacanów – powiedział Halders. – Połączeń lotniczych i kolejowych. Szukamy igły w stogu siana, ale trudno.

– Mógł pojechać samochodem – zauważył Winter.

– Gdyby Bóg istniał, ten cały Mark miałby kartę Shella – stwierdził Halders. – I byłby na tyle głupi, żeby zapłacić nią w Ödeshög.

Komisarz Dick Benson czekał w cywilnym samochodzie przed halą przylotów. Był od Wintera o sześć lat młodszy i nadal wspinał się po szczeblach kariery. Wcześniej czy później się spotkają. Może nawet niedługo, jeśli Winter będzie wolał zejść w dół. Ale właściwie dlaczego miałby to robić? Rozmyślał o tym w samolocie. Wszystko, czego mu trzeba, to słońce i ciepło. Długo, naprawdę długo.

Benson miał garnitur od Vlacha. Winter był w garniturze od Oscara Jacobsona. Nie chciał w stolicy wyglądać jak oberwaniec, ale też nie jak lew salonowy. Tu na pewno nie jest

Iwem. Benson miał króciutko przystryżone złote włosy, jak trzydniowy odrost. Wyraźnie chciał pozostać młodzieńcem, ale coś takiego wkrótce straci cały urok. Winter zawsze był młodym gniewnym, ale kiedy się ma pięćdziesiąt trzy lata, gniew przechodzi w coś innego, przynajmniej w oczach innych.

Pojechali do miasta. W radiu leciały wiadomości, głównie o sytuacji na drogach. Ciągłe tylko ten ruch na drogach i śmierć. Często jedno wynika z drugiego, jak choćby w jego świecie. Na południe jechało mnóstwo samochodów. Mieszkańcy prowincji Uppland zmierzali do stolicy niczym do kopalni złota w Klondike. Biedni i intelektualiści wybierali pociąg. Z radia właśnie popłynął szalony śmiech. Benson wyłączył.

- Nie znoszę takiego gdakania – powiedział.
- W Radiu Göteborg nie gdaczą – odparł Winter.
- Jakoś trudno mi uwierzyć, że słuchasz tego gówna.
- Dostaję sprawozdania.
- U nas trzeba słuchać samemu – powiedział Benson.
- Dokąd jedziemy?
- Pomyślałem, że najpierw do Vasaparken. Chyba że wolisz najpierw zostawić rzeczy w hotelu.
- W którym?
- Nordic Light. W Diplomat był komplet.
- Skąd wiedziałeś, że chciałem się zatrzymać w Diplomat?
- Intuicja – odparł Benson.

Taras imienia Astrid Lindgren znajdował się naprzeciwko domu przy Dalagatan 46, w którym przez tyle lat mieszkała słynna pisarka. Właściwie przez całe życie Wintera. Czytał jej książki, oglądał filmy, potem czytały i oglądały jego dzieci. W tym sensie Astrid Lindgren była większa od samego życia.

Johan Schwartz, któremu dane było przeżyć tylko pół życia, nie miał tej szansy. Został powalony na ziemię koło wielkiego kasztanowca rosnącego za murem odgradzającym stanowiska do minigolfa. Przyspawane do podium cztery krzesła nadawały morderstwu dziwny, publiczny rys, chociaż stało się to



w ciemności, w ciemnej pustce.

– Możliwe, że zginął od uderzenia w głowę – powiedział Benson. – To się jeszcze okaże.

– Żadnych świadków?

– Nie, przynajmniej do tej pory. Ciało znalazł facet, który wracał do domu z Tennstopet. To on wszczął alarm. Od razu przyjechał patrol z najbliższego komisariatu.

– O której to było?

– Facet zauważył zwłoki około drugiej w nocy. Był zawiany, ale nie bardzo.

– Tennstopet jest otwarte o tej porze?

– Dobre pytanie, Winter. Podobno najpierw się przeszedł, żeby wytrzeźwieć. Tak powiedział.

– I zobaczył coś, co go otrzeźwiło.

– Zadzwoiłbym wcześniej, ale trochę trwało, zanim dostaliśmy raport. Wiesz, jak jest. Wczoraj późnym popołudniem przyszedłem do pracy i zacząłem sprawdzać. Sprawy łączy ta litera przypięta do zwłok, ale we wstępnym raporcie nawet o niej nie wspomniano.

– Nie?

– Na zwłokach nie było kartonu z literą. Ci z technicznego odkryli później, że musiał być przyczepiony do kurtki, ale kurtki nie było, kiedy na miejsce przyjechali ci z Surbrunnsgatan. Leżała spory kawałek dalej. – Benson wskazał palcem na Dalagatan. Po drugiej stronie była kwaciarnia, dalej pralnia chemiczna, szylt Wasahof i perska restauracja. Winter wiedział, że w Wasahof serwują ryby i skorupiaki. Dla niego brzmiało to jak żart. Skorupiaki na brzegu Bałtyku. Pewnie mrożone. – Tam, w tych krzakach – ciągnął Benson. – Jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Szczęście, że zwrócili uwagę na tę kartkę.

– Cholerne szczęście. Mówili, że leżała literą w dół, więc nie było jej widać. Wiesz, były na niej ślady zębów. Chyba lisa. Co ty na to?

– Czy świadek widział kartkę na zwłokach?

– Mówi, że nie. Pytaliśmy go.

– Osobiście go przesłuchałeś?

– Tak. Ty też możesz, ale nie sądzę, żeby to było konieczne.

Winter skinął głową. Spojrzał w stronę Odengatan. Po drugiej stronie był sklep z antykami Mormors spegel, dalej księgarnia Bokspindeln, dalej przecznicą Hälsingegatan. Przestudiował mapę. Benson podążył za jego wzrokiem.

– Tak, to Hälsingegatan. Od śmierci dzielił go krótki spacer.

– Tak było we wszystkich przypadkach – wyjaśnił Winter.

– Co to znaczy? Ofiarom nie chciało się iść dalej?

– Nie jesteś taki dowcipny, jak myślisz – zauważył Winter.

– Dobra, dobra. Nie wyjeżdżaj mi z jakąś göteborgską gadką – odparł Benson.

– On chciał w ten sposób zwrócić na coś uwagę.

– Co masz na myśli?

– Zwrócić uwagę albo coś nam przekazać. Jedno i drugie. Coś, czemu ofiary nie mogły się sprzeciwić. Czuły się bezpieczne, bo to się działo w pobliżu domu, było widać światła.

– Tak pracujesz, Winter?

– Czyżby dla ciebie to był szok kulturowy, Dick?

W kamienicy, w której mieszkał Schwartz, przy Hälsingegatan 3, miał siedzibę Aliastatern, a także Fiasco, chyba salon fryzjerski. Napis wołał: „We Fucking Love You”. Schwartz patrzył na to dzień w dzień. Zachęcające, jak „We Love You Fucking” albo „You Fucking Love Me”. Nie, nieczysto. Jego umysł wrócił do kombinacji liter AOIR... RIOA...

– Ostatnie piętro – powiedział Benson.

Winter pomyślał, że w tym przypadku oznacza to czwarte, jeśli dobrze policzył.

– Mieszkał tu od dwóch lat – dodał Benson.

– Wynajmował z pierwszej ręki?

– Tak. Mieszkanie lokatorskie.

Benson otworzył kluczem. Musieli się schylić, żeby przejść pod policyjną taśmą.

– Przed domem mamy człowieka w samochodzie

– powiedział.

Znaleźli się w środku. Dwa pokoje z kuchnią, balkon.

Winter otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Na górze wiatr czuło się znacznie wyraźniej, wiało mocniej. Wiadomo, że sztokholmskie powietrze jest zdecydowanie bardziej śmiercionośne niż göteborskie.

Na dole, po drugiej stronie ulicy, znajdowało się Muzeum Żydowskie. Na rogu Odengatan przychodziła, sklep z damskimi ciuchami, sklep z płytami. Wiosną i latem 1945 roku do Szwecji przyjechało trzydzieści tysięcy ludzi ocalonych z obozów. Dwie trzecie stanowili Żydzi.

Benson stanął koło niego na balkonie.

– Byłeś tu już? – spytał. – Mam na myśli ulicę.

– Masz na myśli to muzeum – odparł Winter. – Nie byłem.

– Kurde, sam jestem Żydem – powiedział Benson. – Ale z Zachodu. Pewnie można się domyślić, po nazwisku.

– Myślałem, że Benson to nazwisko z Värmland.

– Sądzisz, że Schwartz tam był? – spytał Benson.

– Oczywiście.

– Widać stąd park. W każdym razie dopóki na drzewach nie pojawiają się liście.

Winter widział drzewa, niewielki budynek z kawiarnią, pole do minigolfa i miejsce, gdzie leżała ofiara.

– Z okien mieli widok na miejsca, gdzie ich potem zamordowano – powiedział. – Nie wystarczyło mu, że mieli blisko.

– Chyba nie wybierał ofiar według adresów? – powiedział Benson.

– Nie, było dokładnie odwrotnie – odparł Winter.

– Co to niby ma znaczyć?

Winter nie odpowiedział. Odwrócił się, żeby wejść do mieszkania i spróbować coś zobaczyć, chociaż wiedział, że nie zobaczy. Nie było tam nic, co miałoby jakikolwiek związek z życiem. Komputer Schwartza trafił już do wydziału Bensona, razem z całą resztą, w tym z kilkoma nagraniami wideo z anno dazumal<sup>17</sup>.

---

17 Anno dazumal – niem.: z czasów króla Ćwieczka.

Na Hälsingegatan był klub fitness, sklepik z krasnalami i trollami, gabinet kosmetyczny o nazwie Salon Siódmej Fali, a bliżej Karlbergsvägen jeszcze Buddha House. Cicha ulica. Czteropiętrowe domy, na oko stu pięćdziesięcioletnie, miały fasady z cegły licówki albo tynkowane, wiele w kolorze ochry. Większą część południowej pierzei zajmowała szkoła Vasa läroverk, przypominająca zamczysko z czasów późnego średniowiecza. Kawalek dalej, przy Odenplan, stał kościół Gustawa Wazy. To Vasastaden. Jedna z dużych dzielnic Sztokholmu, nie tak paskudna jak inne. Mniej morderstw, a jeśli już, to w wyższych warstwach społecznych. Odenplan nie jest może piękny, ale też nie odpychający. Teraz zepsuty przez przebudowę, ale to nieodłączna część życia wielkiego miasta. Gdyby wielkie miasto stale nie żarło własnych bebechów, stałoby się martwą skorupą, upudrowanym trupem.

– Chodziłem tu do szkoły – powiedział Benson, gdy doszli do Karlbergsvägen i zawrócili w stronę parku.

– Coś ci to pomogło?

– Chyba widać, buraku jeden.

– Ja chodziłem do prywatnego gimnazjum – powiedział Winter. – Imienia Sigrid Rudebeck.

– Wszyscy o tym wiedzą. To w twoim stylu.

– Ale to ty jesteś snobem, Dick.

– Mam na myśli całość.

Winter dobrze się czuł w towarzystwie Bensona. Potrzebował kogoś, z kim mógłby się podroczyć, nie za dużo, w sam raz, żeby zachować czujność i pozostać w zasięgu strachu.

Doszli do Odengatan. Winter się odwrócił. Do bramy Schwartza było niedaleko. Dwa dni wcześniej późnym wieczorem wyszedł z niej po raz ostatni. Przeciął Odengatan i przeszedł kilka kroków, zmierzając na spotkanie śmierci. Co wiedział?

Skręcili w lewo. Minęli Konditori Ritorno, tradycyjną cukiernię o tradycyjnej nazwie, dalej pusty lokal handlowy. Przeszli przez Dalagatan do Tennstopet. Winter przeczytał

menu. Było wywieszane na ulicy: wątróbka cielęca Anglais, wołowina à la Rydberg, wallenbergare<sup>18</sup>, świeże smażone śledzie z galaretką z borówki brusznicy. Oto Szwecja, prawdziwe jedzenie, które daje poczucie bezpieczeństwa.

- Jeszcze za wcześnie na lunch – powiedział Benson.
- Otwierają dopiero za dwie godziny.
- Szkoda.
- Jesteś głodny?
- A co ty myślisz?
- Możemy zająć do kawiarni, którą przed chwilą minęliśmy
- zaproponował Benson. – I tak musimy obgadać tę cholerną sprawę.

Chłopak siedział na ziemi przy stacji benzynowej OK, przy zjeździe na Frölundę. Siedział tak od godziny, gdy Ana Martini wyszła zapytać go, czy dobrze się czuje. Obserwowała go od pewnego czasu, choć nie od chwili kiedy się zjawił. Wyglądał jak kłozard albo żebrak, choć nie żebrał. Na pewno etniczny Szwed czy jak to nazwać. Ana nie była rodowitą Szwedką, chociaż formalnie już nią była. Jesienią miała rozpocząć studia medyczne. Chyba żeby wcześniej umarła wskutek zatrucia oparami benzyny albo zastrzelona przez złodziei paliwa, albo z przejedzenia obrzydliwą kielbasą, którą piekła na grillu w barku na stacji.

Stała przed nim. Podniósł wzrok i spojrzał na nią, ale jakby jej nie widział. Oślepiało go słońce padające zza jej pleców. Wyglądał jak ślepiec.

– Hej – odezwała się.

Nie odpowiedział. Na rękawie kurtki miał ciemne plamy. Włosy rozwichrzone, ale nie tak, jakby to było zamierzone. Czyżby młody ćpun, którego przyniosło tu z pętli autobusowej na Frölunda targ? Nie, to musi być coś innego.

– Daj, pomogę ci wstać – powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Zachnął się jak wystraszone zwierzę.

---

<sup>18</sup> Wallenbergare – kotlety z mielonej cielęciny.

Złapała go za ramię, ale się wyślizgnął.

Arne Winkler, kierownik stacji, coś powiedział. Nie zauważyła, że podszedł.

– Jest w kiepskim stanie – powiedział. – Zadzwońm po karetkę. I po policję.

Gerda i Aneta siedziały przy łóżku Gustawa Lefvandera na izbie przyjęć. Wkrótce miał trafić na oddział. Był odwodniony, przemarznięty, wyczerpany i wygłodzony. Nie było go ponad dwie doby. Długa samotność w dżungli.

Oczy miał otwarte.

– Słyszysz mnie, Gustawie? – odezwała się Aneta.

Kiwnął głową.

– Gdzie byłeś?

Milczał i patrzył w sufit, tak jak patrzył w niebo, kiedy zjawiły się na stacji, w tym samym momencie co karetka.

Nie miał widocznych obrażeń w t y m sensie ani od pobicia. Nie razie nikt nie wiedział, co to za plamy na kurtce.

– Dokąd pojechałeś? – spytała Aneta.

Teraz już patrzył na nią, ale jak ktoś, kto szuka wzrokiem źródła głosu albo cienia.

– Już nie – powiedział.

– Rzeczywiście, już nie – odparła Aneta.

Opadł na łóżko, jakby tak było bezpieczniej.

– Jesteśmy przy tobie – powiedziała. – Nie bój się.

– Gdzie on jest? – spytał chłopak.

– Kto? – spytała Aneta.

– Gdzie on jest?!

Podniósł głos, uniósł się na łóżku, jakby chciał wyjść, wrócić w dzicz.

– Jak on się nazywa? – spytała Aneta.

– Nie ma go już?

– Tu go nie ma – odparła. – Gdzie on mieszka?

– W domu – odpowiedział Gustav.

– Gdzie jest ten dom?

Milczał.

– Gdzie jest jego dom? – spytała Gerda.  
Gustav spojrzał na nią, jakby nic nie rozumiała. On rozumiał,  
a ona nie.  
– Tam gdzie twój? – spytała.

CUKIERNIA RITORNO BYŁA swoistym fenomenem. Istniała, zanim się urodzili, i będzie istnieć, kiedy umrą. Cukiernie są może ostatnią prawdziwą rzeczą na tym świecie.

– Jestem tu stałym bywalcem – powiedział Benson, gdy już usiedli przy stoliku. Winter nad napoleonką, on nad roladą orzechową.

– Mam podobne miejsce w Göteborgu – odparł Winter. – To moje drugie biuro.

Benson ze zrozumieniem kiwnął głową.

– A więc mamy cztery ofiary morderstwa – zaczął Winter. – Jak dotąd odkryliśmy związek między dwoma. Johan Schwartz jest na prywatnym nagraniu wideo sprzed dwudziestu lat razem z Jonatanem Bersérem, który jest tym drugim. Widziałem ten film, ale wtedy jeszcze nic nie wiedziałem o Johanie Schwartzu.

– Więc byli kolegami – powiedział Benson.

– Możliwe. Ten film jest jakiś dziwny.

– W jakim sensie?

– Sam nie wiem. Nagle pojawia się grupka dzieci. Widziałem inne filmy. Ten się od nich różni. Coś jest w tle... albo na pierwszym planie... muszę się jeszcze temu przyjrzeć.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem.

– Schwartz i Beersér nie mogą uzupełnić szczegółów – powiedział Benson. – Muszą to zrobić ich krewni i znajomi. Tu i w Göteborgu.

– Czy Schwartz miał tu jakichś krewnych?

– Na razie nic nam o tym nie wiadomo. Musisz mi pomóc poszukać w Göteborgu.

Winter podniósł do ust widelczyk z kawałeczkiem ciastka. Kompozycja nagle została zepsuta. Odłożył go z powrotem na talerzyk. Usłyszał, że ktoś się śmieje. W kawiarni było niewielu



gości. Dwie nastolatki przy stoliku koło wejścia chichotały. Patrzyły na siedzących pod oknem dwóch smutasów w garniturach. Wyglądali, jakby planowali skok na bank albo inne przestępstwo. A może to byli portierzy usiłujący się dobudzić po nocnej zmianie. Dziewczyny dobudzały się przed lekcjami w pobliskiej szkole, pierwsze lekcje opuściły.

– Dlaczego te dziewczyniska nie są w szkole? – odezwał się Benson. Obejrzał się, kiedy usłyszał śmiech.

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę podejść i sprawdzić ich plan lekcji.

– Prawdę mówiąc, miałbym ochotę. Masz dzieci? – spytał Benson.

– Dwie córki. Starsza chodzi do trzeciej klasy. Młodsza idzie do szkoły za rok.

– Ja mam w domu nastolatkę – powiedział Benson z cierpkim uśmiechem. – Wcześniej zabraliśmy się z Jenny do zaludniania naszej planety. Agnes jest dobrym dzieckiem, ale jak powiedziałem, jest nastolatką, więc nagle okazało się, że mamy w domu kosmitę. Poczekaj trochę, sam zobaczysz. Nic nie wiesz o życiu, dopóki nie spróbujesz sobie poradzić z nastolatką. Nasza praca to nic w porównaniu z tym.

– Brzmi ciekawie – zauważył Winter.

– Nic nie wiesz. W dodatku będziesz wtedy starym dziadem. Ile ty masz lat? Pięćdziesiąt dwa? Pięćdziesiąt trzy? Będziesz miał sześćdziesiątkę, kiedy rozpęta się piekło. W twoim przypadku dwa razy. Musisz być silny. Radzę ci odtąd nie opuścić ani jednego treningu na siłowni.

– Przedwczoraj biegałem, a dokładnie dziś kolega zgłasza nas do turnieju piłki nożnej.

– Założę się, że Halders.

– Znasz Fredrika?

– Cholerny psychopata. Jest znany we wszystkich jednostkach policji od Ystad po Haparandę. Wszędzie są porozwieszane ostrzeżenia. Nie widziałeś? Kontakt z nim grozi śmiercią lub kalectwem.

– Nie wiedziałem, że jest taki sławny – powiedział Winter.

– Sławniejszy od ciebie – odparł Benson. – Widziałem, że

awansował na komisarza. Prawie chciałem spalić własne gwiazdki. Jezu Chryste.

– Dobrze jest mieć go w drużynie.

– A w której drużynie był podczas göteborgskiej imprezy? Bo nie w naszej.

– Wiesz co, Benson, myśmy wtedy nie mieli dobrej drużyny. Jak to mówią sprawozdawcy sportowi, nie zasłużyliśmy wtedy na zwycięstwo.

– Podczas tych demonstracji powstał jakiś nowy język – stwierdził Benson. – Nie sposób było się go nauczyć.

– Czy myśmy w ogóle spróbowali?

– Daliście dupy, Winter. To wy byliście gospodarzami.

– Widzę, że to wciąż otwarta rana.

– Zwłaszcza jeśli się w niej gmera.

– No to nie gmeraj. Nie mamy na to czasu.

– O mało się wtedy z nim nie pobiliśmy. Wiedziałeś o tym?

– Dick, daj spokój z Haldersem, okej?

Nastolatki wstały. Już nie chichotały. Może uznały, że atmosfera przy tamtym stoliku nieprzyjemnie się zagęściła. Winter chciał być miły. Skinął głową i uśmiechnął się. Zawsze staram się być miły, pomyślał. Postępować właściwie. Inni mogą robić, co chcą i kiedy chcą, a ja zawsze muszę trzymać fason za siebie i innych.

– Mają szczęście, że nie siedzi tu Halders – stwierdził Benson.

– Ty masz jakąś obsesję na jego punkcie – zauważył Winter.

– Może to na tle homoerotycznym?

– Wtedy nie byłoby problemu. – Benson się uśmiechnął.

– W naszym dochodzeniu również występuje nastolatek – powiedział Winter i w tym momencie z wewnętrznej kieszeni jego marynarki zamruczała komórka.

– Słucham.

– Mówi Aneta.

– Tak, widzę.

– Znaleziliśmy Gustava.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak, i dlatego dzwonię dopiero teraz. Chłopak jest

wychłodzony, ale nie ma obrażeń.

- Gdzie był?
- Jeszcze do tego nie doszliśmy.
- Dlaczego uciekł?
- Ze strachu.
- Przed kim?
- Przed kimś w domu, ale nie wiem jeszcze, co ma na myśli.
- W którym domu?
- Właśnie próbujemy to ustalić.
- Ściągnęłaś już Lefvandera? Ojca?
- Nie, jeszcze nie. Matki też nie.
- Ściągnij Lefvandera na przesłuchanie – polecił Winter.
- Najwyższy czas. Przekaż go Bertilowi.
- Okej.
- Gdzie go znaleźliście?
- We Frölundzie, na stacji benzynowej OK.
- Znów ta Frölunda – zauważył Winter.
- Centrum świata.
- Dobra robota, Aneto. Zadzwoń, jak będziesz miała coś więcej – powiedział Winter i rozłączył się. Położył komórkę na stoliku.
- Pasierb Berséra zniknął, ale wrócił do świata żywych
- wyjaśnił.
- Mhm...
- No tak, słyszałaś.
- Boi się.
- Tak.
- Ciekawe, ile jeszcze osób się teraz boi – powiedział Benson.
- Co masz na myśli?
- To przecież nie tajemnica, gazety ciągle się o tym rozpisują. Będzie więcej ofiar? Dlaczego na tym miałyby się skończyć? Kto jeszcze wie, że może mu się przydarzyć to samo? Że jego obawy o życie są uzasadnione?
- Też o tym myślę – powiedział Winter.
- O co chodzi z tymi literami?
- Może to coś znaczy, a może nic. Żart, na którym z jakiegoś powodu nigdy się nie poznamy. Wszystko jest możliwe.

– Z mojego doświadczenia wynika, że ten chory skurwiel chce nam coś powiedzieć. Testuje nas, sprawdza, czy jesteśmy dostatecznie sprytni, sprytniejsi od niego. Chociaż to on trzyma w ręku klucz.

Winter pokiwał głową.

– Na razie mamy cztery litery, ale może być osiem albo sześć, cholera wie.

– Może to miejsce? – zasugerował Benson. – Albo nazwisko?

– Rozmyślałem o tym w samolocie. Gdzie wylądowali i kto co dostał – powiedział Winter. – Robert Hall dostał R, Jonatan Bersér O, Matilda Cors I, a Johan Schwartz A.

– Myślisz, że tak to trzeba czytać? ROIA?

– Albo te litery coś znaczą. Może to nie przypadek, że Hall dostał R i tak dalej? To też część tej układanki.

– Albo zagadki – powiedział Benson. – Bo nie ma żadnej układanki. Nie ma ostatniej litery ani ostatniego kawałka.

Torsten Öberg zadzwonił do Anety w chwili, gdy parkowała przed gmachem policji. Wyłączyła silnik.

– Wstępnie zbadałem kurtkę – powiedział. – Plamy na rękawie to nie krew, jeśli ktoś tak myślał. To farba.

– Czarna farba – dopowiedziała Aneta.

– Porównuję z wcześniejszymi próbkami i wydaje mi się, że kolor jest ten sam co na kartonach – powiedział Öberg. – Ale musimy mieć pewność, prawda? Już wysłałem próbkę do Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego. Zrobią badanie, które daje stuprocentową pewność i w dodatku jest szybkie.

– Jak szybkie?

– Potrwa dzień, może dwa.

– Więc Gustav się z nim spotkał – powiedziała Aneta.

– Cóż, nie sądzę, żeby znalazł kurtkę na ulicy.

Lisa, dziewczyna Johana Schwartz, wynajmowała z drugiej ręki mieszkanie przy Ringvägen na Söder.

Benson minął Zinkensdamms IP, dalej Tantogatan i wypożyczalnię Hertza, cukiernię Bonanza, Dunlop, klub fitness S.A.T.S. i Jobbtorg Stockholm. Było tam wszystko. Ringvägen leniwie okrążała obrzeża Söder. Numer 42. Nowy, czteropiętrowy kompleks z czerwonej cegły. Ciągnął się wzdłuż krętej ulicy, jakby kroczył w stronę szpitala.

Benson zaparkował przed domem. Minął ich autobus linii 43. Jechał do Ruddammen. Winter nigdy tam nie był. To nie było Söder, które przychodzi na myśl, gdy ktoś wymieni tę nazwę, dzielnica knajpek i bohemy, ludzi znanych i sławnych, intelektualistów i tępych fanatyków piłki nożnej.

To było nowoczesne miasto, tkwiące w rzeczywistości, w której żyje i pracuje większość ludzi. Na parterze był sklep z telefonami i pralnia chemiczna Pierzemy Wszystko. Winterowi przypomniała się pralnia, którą mijał tysiące razy na Karl Johansgatan w dzielnicy Majorna: „Pierzemy wszystko – oprócz pieniędzy”.

W windzie spojrzął na swoją twarz w lustrze i twarz Bena obok. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i wyglądali tak samo tragicznie. Czarne cienie pod oczami, błękitnawa poświata nad głową. Dwaj mężczyźni na półmetku życia, nieświadomi, jak to się stało, jak się znaleźli w tej windzie, jaki to wszystko ma sens, prawdziwy sens.

Benson zadzwonił do drzwi. Otworzyły się natychmiast. Musiała za nimi stać od chwili, kiedy zadzwonił z cukierni.

Wyglądała na wystraszoną, ale nie chodziło o nich.

– Lisa Asklund? – upewnił się Benson.

– T... tak.

– Możemy wejść na chwilę?

Lisa Asklund miała na oko około czterdziestki, jak wszyscy, którzy się przewijają przez to dochodzenie, pomyślał Winter. Większość ludzi, z którymi pracował, była od niego młodsza. Kiedyś było odwrotnie, ale to nie problem. Bo problemem nie jest wiek, tylko upływ czasu.

Pod oczami miała rozmazany tusz. Zwykle przez to smutek i inne emocje stają się jeszcze wyraźniejsze.

– Nie mogę przestać płakać – powiedziała.

- Tylko na chwilę – powtórzył Benson.
- Słucham?
- Wejdziemy tylko na małą chwilę. Mamy kilka pytań, potem sobie pójdziemy.

Jakby nie słyszała, jakby nasłuchiwała jakiegoś odgłosu, czytelnego tylko dla niej. Winter nagle wyłowił szum we własnej głowie. Przez cały ranek i przedpołudnie udawało mu się go spychać do podświadomości, ale teraz znów był bardzo wyraźny, jak przypomnienie wcześniejszego życia: bezrefleksyjnego, instynktownego. Kierował się wtedy zwierzęcą inteligencją. Teraz słyszał w czaszce szum wszystkich mórz świata, wszystkich fal, tej siódmej też. Nie było przed nim schronienia, nigdy nie będzie.

Stał na środku salonu Lisy Asklund, rozjaśnionego mocnym południowym słońcem. Na dole, na podwórku, stały wielkie huštawki. Za nimi była spora skała i samotna drewniana ławka. W domu naprzeciwko ktoś wystawił na balkon torbę z Willys. Więc tutaj też mieszkają biedacy ciułający grosz do grosza. Balkon Lisy był pusty, sponiewierany przez bezlitosną zimę, zakurzony i brudny, jakby jego właścicielka nie została poinformowana o nadejściu wiosny. Termometr w samochodzie Bensa wskazywał piętnaście stopni. Wprawdzie w słońcu, ale zawsze. Był to jak dotąd najcieplejszy dzień w roku, dzień, w którym do Sztokholmu wróciło życie, choć nie tu, do tego jaśniejącego pokoju i na opuszczony balkon.

Zdał sobie sprawę, że Benson coś powiedział, i odwrócił się.

- Kiedy się widzieliście po raz ostatni? – spytał Benson.
- Chyba... przedwczoraj. Nie pamiętam.
- Gdzie się spotkaliście?
- Tutaj.
- Tu, w pani mieszkaniu?
- Tak...
- Nie ma pani pewności?
- Na pewno tutaj.

- Kiedy to było?
- Chyba... już mówiłam?
- Nie.
- Boże – powiedziała, chowając twarz w dłoniach.
- Spotkaliście się przedwczoraj wieczorem? – zapytał

Benson.

Spojrzała na niego.

- Tak.
- Tutaj?
- Tak.
- Czy Johan Schwartz często zostawał u pani na noc?

Drgnęła, gdy wymienił jego nazwisko, jakby siedzący obok niej przypominający chuligana policjant przekroczył granicę przyzwoitości. A to i tak było tylko kwestią czasu.

– Jakie... jakie to ma znaczenie? – spytała.

Winter usłyszał jakiś odgłos i wyjrzał na podwórko. Dwoje dziesięciolatków huštało się na huśtawce, zaśmiewając się głośno. Ich śmiech roznosił się jak w amfiteatrze, zapewne zgodnie z zamysłem architekta.

Winter pchnął drzwi balkonowe. Do pokoju wpłynęła wiosna, jej zapach, łagodny wiaterek. Znów rozległ się śmiech. To mieszkanie potrzebuje życia. Jest martwe. Oni wszyscy są martwi, nic nawet nie drgnie. Teraz, gdy już nie chował się za mieniącą się w słońcu szybą, dzieci zobaczyły go i pomachały do niego. Huštały się coraz wyżej. Znów pomachały, on do nich też. Machał, jakby machał do Elsy i Lilly. Pomyślał, że chciałby je trzymać w objęciach, mocno i długo, jakby to był ostatni raz, jakby w stronę plaży zmierzała największa fala. Przerazająca myśl, potworne przecucie. Zamknął drzwi. Poczul, że chciałby wyjść, znaleźć się wśród przyjaznych chmur, z prędkością światła lecieć na południe. Uciec.

– To ma bardzo duże znaczenie – doszedł go z tyłu głos Bensaona.

– Przedwczoraj wieczorem się nie spotkaliśmy – powiedziała Lisa Asklund.

Odwrócił się.

Benson milczał, czekał. Winter też.

– Miał się z kimś zobaczyć – powiedziała.

Benson kiwnął głową. Zachęcał ją do mówienia. Bądź otwarty, nic nie zepsuj.

– Był tu po południu... Miał późno wrócić...

– Miał późno wrócić?

– Mieliśmy się zdzwonić... wczoraj rano – powiedziała. Już nie chowała twarzy w dłoniach. Straszna prawda dotarła do niej, wgrzyła się w nią jak wściekły tumor. Miał już nigdy nie opuścić jej ciała.

Benson znów kiwnął głową.

– Ale wtedy... ale wtedy...

Jeszcze jedno skinienie.

– Kto? Kto to zrobił? – spytała.

– Z kim miał się spotkać? – drążył Benson.

– Ze starym znajomym – odparła.



GUSTAV LEFVANDER NIE BYŁ skory do rozmowy. Uznał, że powiedział co trzeba, i nie chciał mówić nic więcej. Że niby potrzebuje czasu, żeby wrócić do życia. Nie chciał powiedzieć, gdzie był. Może ktoś mu grozi śmiercią, pomyślała Aneta. Kiedy będzie bezpieczny? Trzeba go zapytać o kurtkę. Gdzie był. Ale nie przesłuchamy go tutaj. Teraz chodzi o to, żeby ściągnąć jego ojca.

Siedzieli w pokoju przesłuchań. Wszystko było tak neutralne, jak tylko się dało: ściany, oświetlenie i wyposażenie. Do tego zdechła technika, nieudzielająca żadnych odpowiedzi. Na tym właśnie polega ta metoda: pokazać, że nic nie wiemy, bardzo chcemy się dowiedzieć, proszę być tak miłym i nam pomóc.

Mårten Lefvander nie widział najmniejszego powodu, żeby siedzieć w tym napawającym lękiem pokoju, przy kiepskim stole, naprzeciwko Ringmara i Anety.

– Zawsze tak robicie? – spytał.

– Jeśli ma pan na myśli okoliczności przesłuchania, to odpowiedź brzmi: tak – odparł Ringmar.

– Nie o to mi chodziło. Dlaczego mnie?

– Dziwi się pan, że chcemy pana przesłuchać? – spytał Ringmar.

– Tak.

– Pański syn zaginął.

– A pan myśli, że się nie martwiłem?

Ani Ringmar, ani Aneta nie odpowiedzieli.

– Co wy? Nie wierzycie mi?

– Dlaczego Gustav zniknął?

– Pewnie się bał.

– Kogo?

– Boże drogi, ktoś sobie chodzi i morduje ludzi, między innymi jego ojczyma. Kto by się nie bał?

– A pan się bał? – spytała Aneta.

– Co?

Powtórzyła.

– Bałem się o niego.

– Szukał go pan?

– To chyba nie moje zadanie?

Nie odpowiedzieli.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział Lefvander.

– To znaczy? – spytał Ringmar.

– Robiłem to, co powinien robić każdy ojciec.

– A co powinien robić ojciec? – spytała Aneta.

– Ma pani dzieci? – odpowiedział Lefvander.

– Proszę odpowiedzieć – powiedział Ringmar.

– Jak brzmiało pytanie?

– Co robi ojciec, który robi wszystko?

– Opiekuje się synem, kiedy jest taka potrzeba.

– Kiedy była potrzeba?

– Gustav nie chciał mieszkać z Amandą i Jonatanem, tak?

Nie czuł się tam dobrze. Wolał mieszkać ze mną. To chyba mówi wszystko, prawda?

– Co mówi?

– Że chciał być ze mną.

– A co mówi o jego matce?

– Proszę jej do tego nie mieszać.

Ringmar szybko zerknął na Anetę.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Ona jest niewinna.

– Niewinna czemu?

– Temu wszystkiemu.

– Co to jest wszystko?

– To, co się stało.

– To znaczy?

– Że Gustav uciekł, rzecz jasna – odparł Lefvander.

– Nie to miał pan na myśli.

– Czyżby?

– Miał pan na myśli co innego.

– Co takiego miałem na myśli?

– To my pytamy.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.
- Nie mówił pan o Jonatanie Bersérze?
- Nie chcę o nim mówić.
- Czy pan ukrywa coś, co dotyczy Berséra?
- Dlaczego miałbym ukrywać?
- To ja pana pytam.
- Gustav nigdy nic nie mówił – odparł Lefvander.
- O czym? – spytała Aneta. – O czym nie mówił?

Lisa Asklund nie wiedziała, kim był dawny znajomy Johana ani gdzie mieli się spotkać. Nawet go spytała, ale nie odpowiedział, i odniosła wrażenie, że to nie ma znaczenia. Nie wydawał się zaniepokojony. Może trochę zestresowany.

- W jakim sensie? – spytał Winter.
  - Jakby... był trochę spięty.
  - Co powiedział o tym spotkaniu?
  - Tylko tyle, że idą na piwo i że potem wróci do domu. To miało być gdzieś w pobliżu jego domu. Sprawdziliście to? Gdzie to było i czy w ogóle się spotkali?
  - Na razie nie ustaliliśmy, gdzie to było – odparł Benson.
  - Może się nie spotkali – powiedziała.
  - Z kimś musiał się spotkać – zauważył Benson.
  - Co jeszcze mówił o tym znajomym? – spytał Winter.
  - Że przyjechał z Göteborga – odparła.
  - Teraz przyjechał?
  - Wydaje mi się, że przyjechał... żeby się spotkać. A może postanowili się spotkać, skoro i tak przyjechał.
  - I jak zareagował na to Johan?
  - Na co?
  - Na to, że ten człowiek przyjechał do Sztokholmu?
  - Nie wiem... nie przypominam sobie.
  - Spróbujmy jeszcze raz ustalić, o której co się działo – powiedział Benson.
- Winter znów usłyszał dochodzący z dworu śmiech. Jakby czas nic tam nie znaczył, jakby go w ogóle nie było.

Dick Benson odjechał swoim szpanerskim audi. Wyglądał w nim jak gangster. Do tego te krótko ostrzyżone jasne włosy, ciemne okulary i drogi garnitur. Minał Zinken, czy jak sztokholmczycy zwą to miejsce, po czym zniknął. Jechał na Hornsgatan. Chciałbym się przejść, powiedział Winter. Muszę uporządkować myśli. To był długi dzień.

Ruszył Ringvägen. Domy podążały za łukiem ulicy. Minał duży lokal rozrywkowy o nazwie Ringos. „W RINGOS ZABAWA IDZIE NA CAŁEGO” – głosił wielki napis na oknach. Wyobraził sobie, że miałyby tam wejść Lisa Asklund. To nie dla niej. Może dla Johana Schwartza, chociaż nic o nim nie wiedział. Jeszcze mniej niż o pozostałych ofiarach. On jest tu obcy. Schwartz też był? Uciekł tu, ale od czego? Kim jest Peter Mark i co tu robi właśnie teraz? Zabił starego przyjaciela, ścigał go na koniec świata. Dlaczego właśnie teraz?

Skręcił w lewo i przeszedł przez teren szpitala Rosenlund.

Zszedł po schodach na małą uliczkę Timmermansgränd. Na starym kablu telefonicznym wisiała para butów. Wyglądało to na jakąś sztuczkę. Niebo było błękitne, a buty czarne. Zresztą na tle nieba wszystko wydawało się czarne.

Dotarł do placu zabaw i boiska. Widział matki i dzieci. Ładny obrazek, chociaż wszystko wydawało się trochę dziurawe, zepsute, zaniedbane. Na jakiejś tablicy przeczytał, że to miejsce, Södermalmsallén, zostanie poddane rewitalizacji. Pachniało inaczej niż w Göteborgu. To był zapach znacznie większego i jeszcze gorszego miasta. To była woń zła. Znał ją i wyczuwał, rozrzedzoną i skoncentrowaną zarazem. Odbijała się echem, budziła przerażenie, jak dobiegający z oddali krzyk. Dzikie zwierzę schwyte w potrzask musi sobie odgryźć łapę, w końcu ruszy na człowieka, nikt mu nie ujdzie, nikt-nie-ujdzie.

Stał na Mariatorget. Nie był tam od wielu lat. Grupa pijaków snuła się po parku. Chwiali się na nogach od wiatru. Wzmógł się, kiedy spacerował. Zatrzymał się przed hotelem Rival. W kawiarnianym ogródku siedziały piękne kobiety w ciemnych okularach. Pomyślał, że to jeszcze większy absurd.

To było jak sen. Na stolikach stały kieliszki, choć jeszcze nie było dwunastej. Ale była wiosna, promienie słońca prześwietlały kurz unoszący się nad placem, jak na pustyni. Ludzie, których mijał, sprawiali wrażenie, jakby szli na własną egzekucję. Ale tak jest w całej Szwecji. To nie stołeczna specyfika. Po prostu w Szwecji o wiele więcej ludzi, zwykłych ludzi, pojęło bezsens życia lepiej niż wszyscy filozofowie świata razem wzięci. Jak dobrze, że ja jestem inny, pomyślał. Jestem człowiekiem przyszłości. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wejść do znajdującego się nieopodal Ming Palace, ale knajpa wyglądała tak podle, że się nie odważył. Nie chciał jeszcze umierać, nie tak. Nie chciał się więc z bólu na chodniku. Jutro Benson powie mu, że to miejsce jest ponadprzeciętnie dobre, ale na razie tego nie wie.

Przeszedł przez Hornsgatan i wszedł do Black&Brown Inn. Zamówił kanapkę z serem i duży kufel angielskiego ESB. Znalazł wolny stolik przy oknie. Usiadł i po drugiej stronie ulicy zobaczył mężczyznę wsuwającego bąbelkową kopertę do skrzynki pocztowej. Zadzwoniła komórka.

– Gdzie jesteś? – spytał Ringmar.

– Siedzę w pubie i gapię się w okno. Przed chwilą widziałem Ernsta Brunnera<sup>19</sup> wkładającego paczuszkę do skrzynki pocztowej.

– No, no. Pewnie książkę własnego autorstwa. Dostałeś od niego autograf?

– Zanim zdążyłem wyjść, już go nie było. Jakby go wchłonęło wielkie miasto.

– Jak wam idzie?

– Strach i poniewierka, jak zwykle. W wieczór swojej śmierci Schwartz był z kimś umówiony. Tak twierdzi jego narzeczona.

– Czy to mógł być Peter Mark?

– To mógł być ktokolwiek.

– W każdym razie nie ma żadnej rezerwacji biletu na jego nazwisko. Ani w jedną stronę, ani w dwie – powiedział Ringmar.

– To już jest podejrzenie.

---

<sup>19</sup> Ernst Brunner – szwedzki pisarz, poeta i literaturoznawca.

- W dodatku domyślałam się, że raczej go na to nie stać.
- Stare pieniądze – powiedział Winter.
- Eriku, nie rozmawiamy o tobie.
- Oczywiście, że nie, ja nadal mam pracę.
- Pijesz?
- Tylko piwo.
- Nigdzie się nie zameldował. Ani w hotelu, ani w hostelu, ani nigdzie indziej.
- Co on robi w Sztokholmie? – zastanawiał się Winter.
- Kogo tutaj zna?
- Schwartza.
- Jeśli już, to znał. Ale to za proste.
- Co jest za proste?
- Że to on. Zresztą dlaczego miałby to zrobić teraz?
- Będziemy musieli go o to spytać – odparł Ringmar.

Winter dostał kanapkę. Wyjął z niej dwa listki sałaty i dwa kawałki surowej papryki i odłożył je na talerzyk. Nie ma w kanapce nic gorszego niż surowa papryka, a mimo to dodają ją w barach i w kawiarniach, rok w rok, jedno dziesięciolecie za drugim.

– Wezmę taksówką do hotelu i jeśli mi się uda, pogłódkuję – powiedział Winter. – Jak wam idzie z Lefvanderem?

– Trudno powiedzieć. Wrócił już do domu. Arogancki typ. Bersér nie był jego przyjacielem. Nie wiem, co by to miało znaczyć. Możliwe, że sam wystraszył syna, że go sprowokował do ucieczki. Nie wiem. Kłamie, ale nie wiem, w jakiej sprawie. Wszyscy kłamią, kiedy ze mną rozmawiają, wszyscy bez wyjątku.

- Bertilu, ja cię nigdy nie okłamuję.
- Tylko siebie.
- Już nie, to minęło. Przed chwilą było mi nawet radośnie. Wiosna.

Halders i Aneta pojechali do Pålvelund. Prowadziła Aneta. Zaparkowała przed domem Gunnara Berséra.

Słońce zaszło za chmurę. Przed chwilą było jeszcze bardzo

jasne. W oknach było ciemno. Zadzwonili do drzwi, nikt nie otworzył. Halderś podszedł do okna na lewo od drzwi, potem do następnego, i zniknął Anecie z oczu. Po kilku minutach usłyszała, jak woła, wyłaniając się zza rogu:

– Dzwon na pogotowie! – Wyszarpnął z kieszeni pęk wytrychów i przez chwilę mocował się z zamkiem. – Cholera jasna!

Wreszcie znaleźli się w środku. Aneta zdążyła się dodzwonić. Podała adres i poszła za Haldersem do salonu. Wychodził na ogród, w którym kiedyś bywało tak wesoło i wszystko to uchwycił na filmie tata Bersér. Teraz wisiał na haku, na którym zwykle znajdował się kryształowy żyrandol. Żyrandol chwilowo leżał na podłodze obok przewróconego krzesła. Ciało Berséra kołysało się powoli, jak poruszane lekkim wiosennym wiatrem.

GDY SIĘ W KOŃCU DO NICH odezwał, zareagowali tak, jakby przybył z innej planety i nigdy nie był częścią ich życia. Jakby oni mu życia nie zniszczyli.

Zaczął się przygotowywać do realizacji planu i wtedy się zorientował, że p o t e m w ogóle się ze sobą nie kontaktowali. Jakby mieszkali na różnych planetach.

A jednak przyszli do niego. On mówił, dokąd mają przyjść. Przecież nie mogło się to odbyć u nich w domu, ale chciał, żeby to było w pobliżu.

Miało być prawie tyle samo kroków od ich domów, ile on wtedy przebiegł z domu na brzeg.

Tyle że oni już nie pobiegną z powrotem.

Niczego im nie wyjaśniał, bo to by znaczyło, że dałby im szansę, żeby się wytłumaczyli, a nie było co tłumaczyć. Zresztą było za późno. Nigdy by nie przyszli. Nie miałby szans.

Nie rozpoznali go. Był wyższy, i to dużo. Stał się kimś innym, był Wesoły.

To nie była zemsta, tylko wymierzenie sprawiedliwości.

To nie ja.

Ja nic nie wiedziałem.

Przecież ci pomogłem, może nie?

Czego chcesz?

Już nic, poza tym jednym. Takie to proste. Ktokolwiek mógł to zrobić komukolwiek. Jednak nie. To coś wydarzyło się między nim a nimi.

Policja musi się dowiedzieć, że to nie jest coś, co ktokolwiek zrobił komukolwiek.



BENSON ZOSTAWIŁ JEGO TORBĘ w recepcji. Winter zameldował się i poszedł do windy. W Nordic Light Hotel zabawa już się zaczęła. Ludzie pili wino w westybulu, jakby nie istniało żadne jutro ani żadne wczoraj. Dwie kobiety siedzące na kanapie zaraz po lewej podniosły kieliszki. Może nawet do niego, a może do światła północy wpadającego przez szklane ściany od Vasagatan. Primavera. Spring. Printemps. Wesoły pijak jest w stanie rozmawiać w każdym języku. Kobiety miały na piersi plakietki z nazwiskami. Więc to jeszcze nie zabawa, tylko nadal praca. Pewnie jakaś państwowa instytucja. Szwedzki Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny albo Urząd Migracyjny, cholera wie. Prawie się potknął o kule dwóch żebraków przed wejściem. Wchodzili do środka, może nawet mieli być częścią zabawy. W takim razie byłby to Urząd Migracyjny, studium przypadku, chyba że czysta rozrywka, powrót do średniowiecza, karły, beznodzy Mołdawianie, niedźwiedzie. W głębi była estrada, a może bufet.

Okno jego pokoju wychodziło na boczną uliczkę biegnącą równoległe do torów kolejowych. W dole kursowały taksówki. Sam środek miasta. Znajdował się we właściwym miejscu. Powiesił płaszcz na wieszaku przy drzwiach, zdjął marynarkę, położył się na łóżku. Przed oczami miał duże i małe twarze, w głowie szum. Pomyślał o morzu. Zasnął. Śniło mu się, że stoi na plaży i wrzuca kamienie do wody. Nie wiedział, gdzie jest. Morze rosło, a plaża się kurczyła. Zalała go woda i wtedy zrozumiał, że to jego wina, bo kamienie podniosły poziom wody. Wie o tym każdy uczeń liceum, ale on tego nie rozumiał, bo schylił się, żeby wziąć spod wody więcej kamieni i wypuścić z powrotem. Oby to był sen, pomyślał we śnie. Inaczej kiepsko ze mną. W głowie miał łoskot. Znów był pod wodą i usiłował złapać wielki blok kamienia. Z dołu też dochodził szum. Otworzył oczy. Wszędzie jasno. Oddychał gwałtownie. Spojrzał

w biały sufit. To nie niebo, to Nordic Light Hotel, a szum to pomrukiwanie jego komórki obok dzwoniącego telefonu hotelowego. Złapał za słuchawkę.

– Słucham.

– Eriku, dlaczego nie odbierasz?

– Przecież odebrałem.

– Komórki.

– Zaspąłem.

– Boże.

– Nie miałem zamiaru spać. To przez to sztokholmskie powietrze.

– Stary Bersér się powiesił.

– Słucham cię.

– Mówisz takim tonem, jakbyś to przeczuł.

– Kiedy to się stało?

– W nocy. Był sam w domu.

– Chyba cały czas był sam – powiedział Winter. – Od śmierci syna.

– Rozmawialiśmy z jego żoną, matką Jonatana. Zatrzymała się u jakiejś koleżanki w Kungsbacce.

– Dlaczego?

– Powiedziała, że to jej sposób przeżywania żałoby.

– Nie dzieliła jej z mężem?

– Spytałem, ale nie odpowiedziała.

– No to teraz ma podwójną żałobę – zauważył Winter.

– Odniosłem wrażenie, jakby to nie do końca do niej dotarło.

– Zostawił list pożegnalny?

– Nie.

– A co na to Pia i Torsten?

– Wstępnie, że to samobójstwo. Sprawdzamy dom. Linka wyglądała na nową.

– Tam może być więcej kaset wideo – powiedział Winter.

– A co u ciebie?

– Wybieram się znów do Vasastan.

– Dziś wieczorem?

– A coś ty myślał?

– Zabierz kogoś ze sobą.

Wyglądało na to, że dzień się nigdy nie skończy. Jest i już, pomyślała. Nagle jest, bez żadnego okresu przejściowego, od ciemności do długiego dnia. Nie ma się co dziwić, że niektórzy stają się nerwowi. To się dzieje za szybko, nie nadążamy. To tak jakby wyjść na światło dzienne po sześciu miesiącach zupełnej ciemności.

Fredrik słuchał grupy Tiamat. Włożył płytę do odtwarzacza. Co roku miał taki okres. Nic mu wtedy nie mówiła. W każdym razie nie słuchał Michaela Boltona. Tiamat grał kawałki z towarzyszeniem buzuki, hard rock z towarzyszeniem buzuki, mandoliny, ale przede wszystkim Gibsona Explorera. Jego sound wchodził w uszy jak nóż w masło.

Jechali do Parku Marconiego. Zachodzące słońce przeobraziło nowe domy stojące przy Marconigatan. Miały okropnie ostre kanty, jakby znajdujące się w nich pokoje zostały odcięte. Było w tym brutalne piękno: tylko beton, szkło i lśniący asfalt. Na Frölunda targ trwały niekończące się roboty, istne perpetuum mobile, marzenie przemarniętych.

– Tylko raz byłem w Wariatkowie i to była zupełna zgroza – powiedział, patrząc w okno. Muzyka ucichła. Zaparkował przed halą ze sztucznym lodowiskiem. – Więcej tam nie pojedę.

– Twoje dzieci chyba powinny kiedyś zobaczyć stolicę własnego kraju – powiedziała.

– Mój stary też tak mówił.

– À propos czego?

– Kurde! Wyjazdu do Wariatkowa!

– I co się stało?

Halders wyłączył silnik. Z góry dochodził krzyk mew. Na tle ciemnoniebieskiego nieba zobaczyła ciemne ptaki układające się w sieć. Powietrze było jak dym. Aż zadrżała.

– Miałem może dziesięć lat. To były czasy, kiedy tablice rejestracyjne miały jeszcze litery z oznaczeniem województw, żeby było widać, z której dziury człowiek przyjechał.

– A wyście byli z której?

– Wtedy z F, z województwa Jönköping. Mieszkaliśmy przez pół roku w Eksjö. Stary kupił używanego borgwarda. Miał rejestrację z F. Nie przeczuwając nic złego, pojechalśmy na dwa dni do stolicy.

– I co się stało?

– Stary się pobił z jakimś sztokholmskim skurwielem na Narvavägen.

– Chyba żartujesz.

– To wcale nie były żarty. Byliśmy na Narvavägen i jechaliśmy na północ. Starzy znaleźli tani hotelik przy Vanadisbadet<sup>20</sup>. Miały być dwie pieczenie przy jednym ogniu. Siedzieliśmy z bratem i siostrą na tylnym siedzeniu. Ojciec i matka kopcili jak wściekli, bo pierwszy raz w wielkim mieście. Stary myślał, że zabłądził. Brat się zrzygał przez ten dym. Stary zahamował. Z tyłu jakiś gość zaczął na nas trąbić jak cholera. Wtedy stary opuścił szybę i usłyszeliśmy: wracaj na wieś, kmiotku jeden. Facet wykrzyczał to po sztokholmsku, nosowym, koszmarnym dialektem, wiesz, jak po amerykańsku. I jeszcze ten klakson. Więc stary zaciągnął hamulec ręczny, wyskoczył z samochodu, podleciał, otworzył drzwi jego auta i wyszarpnął go na ulicę.

– Niemożliwe.

– A jak! Gość był w tym samym wieku i tych samych gabarytów co mój stary, więc walka była wyrównana. Obaj zaliczyli po kilka solidnych ciosów w korpus i właśnie nabierali powietrza, kiedy przyjechały gliny. Radiowozem volvo amazon! Właśnie wtedy postanowiłem, że zostanę policjantem.

– Nie zastanawiałeś się nad tym?

– Nad czym?

– Że postanowiłeś zostać policjantem, kiedy twojego ojca zatrzymała policja.

– Aneta, nie wyjeżdżaj mi z jakimiś freudowskimi bzdurami. Chodziło o brykę.

– A co z ojcem?

– Gliny zabrały ich obu na komisariat. Mnie tam nie było. Jeden z policjantów odwiózł nas do hotelu naszym

---

<sup>20</sup> Vanadisbadet – popularny teren rekreacyjny z kąpieliskiem.

borgwardem isabellą, bo matka nie miała prawa jazdy. Zapamiętałem, że był miły i młody. Dał mi potrzymać swoją pałkę. Jak myślisz, co Freud by na to powiedział? Ojciec wrócił kilka godzin później. Żaden z nich nie złożył skargi na drugiego. Zdaje mi się, że później nawet żartowali na ten temat przez telefon, chociaż właściwie nie było z czego. Siostra się posikała w samochodzie, kiedy się tłukli, a miała czternaście lat. Nigdy z bratem nie dokuczaliśmy jej z tego powodu.

– Już wtedy byłeś džentelmenem – zauważyła Aneta.

– W rodzinie określaliśmy to wydarzenie mianem bitwy pod Narwą.

– A ty postanowiłeś, że nigdy tam nie wrócisz.

– Właśnie, pani doktor, bo nie wiem, co by wtedy ze mnie wyrosło, kim mógłbym się stać.

– Może byłbyś bardziej pozbierany.

– Jestem pozbierany – stwierdził Halders, zakładając ciemne okulary. Otworzył drzwi i wysiadł.

Aneta poczuła lodowaty wiatr od morza. Powiał nad zwirowymi ścieżkami biegnącymi między domami w Parku Marconiego. Tu nigdy nie urośnie żadna trawa, same domy. Zmarzła. Teraz było jej zimno we wszystko. Fredrik chyba nie zmarł. Już ruszył na lodowisko. Szedł zdecydowanym krokiem, jak na umówione spotkanie.

Winter oglądał film na laptopie. A więc tak wyglądał Johan Schwartz za życia. Osiemnaście lat młodszy, ruchomy obrazek dla potomności. To on był tą potomnością. I przyszłością, której nie miał człowiek z nagrania. Na filmie było lato. Ludzie przechodzili z lewej na prawą, jak w układzie choreograficznym. Mogło to być gdziekolwiek. Nie rozpoznał nikogo poza Schwartzem. Jakiś chłopiec kopnął wysoko piłkę. Obiektów poszedł za piłką pod niebo i z powrotem w dół. Złapały ją jakieś małe rączki. Twarz pokazała się na trzy sekundy: chłopiec. Winter poczuł na karku lodowaty chłód. Wdrapywał mu się po potylicy jak zwierzę. Przewinął i obejrzał jeszcze raz. To on, chłopiec z nagrań, które dostali od rodziców Matildy Cors. Na pewno on. Jest tu i tam. On jest łącznikiem między martwymi literami. On jest odpowiedzią. Wybrał

numer Ringmara. Ringmar odebrał natychmiast, jakby też już wiedział.

– Bertilu, sprawdź wszystkie filmy. Na co najmniej dwóch jest ten sam chłopczyk. Jestem tego pewien.

– Właśnie mi dostarczyli kopię filmu Schwartza – odparł Ringmar.

– Chłopiec jest na tym filmie.

– Okej.

– Trzeba to pokazać rodzinom wszystkich ofiar. Ktoś musi go znać.

– Chyba uważasz, że jesteśmy blisko przełomu, tak?

– Cholera wie, ale w głowie mi szumi, rwie w karku, jednocześnie mi zimno i się pocę.

– Dobrze, mój synu.

Kiedy wyszedł z hotelu, wciąż było jasno. Ale nad Vasagatan powoli zapadał zmrok.

Na Drottninggatan było pełno ludzi. Ruszył na północ. Kawiarniane ogródki już działały, widocznie tego dnia rozpoczęły sezon. Minał jakiś sklep z szyldem: „Dumni dostawcy miejskiego stylu życia”.

Parterowe lokale w Blå tornet<sup>21</sup> zostały przejęte przez Sushidevil. Dawno nie czytał Strindberga. Słuchał Boltana. Nie przepadał za sushi. Jego smak jest na dalszą metę bez przyszłości, zabija go wasabi. W środku siedzieli głównie młodzi ludzie. Sushi odpowiadało ich gustom, mniej więcej tak jak pizza.

Poszedł w dół Västmannagatan, minął kościół Gustawa Wazy, potem Tennstopot. Benson proponował, żeby zjedli tam kolację. Odpowiedział, że się odezwie, ale tego nie zrobił.

Zatrzymał się przed Muzeum Żydowskim.

Stojąc w półcieniu, spojrzał na balkon na górze, po drugiej stronie ulicy.

Zmrok dotarł już do trzeciego piętra domów na Vasastan.

---

<sup>21</sup> Blå tornet – pol. błękitna wieża, kamienica w centrum Sztokholmu, w której mieszkał do śmierci August Strindberg.

Z daleka nie dało się już rozpoznać twarzy. Wpatrywał się w bramę domu przy Hälsingegatan 3. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Salon fryzjerski Fiasco już był zamknięty, zabrał gdzie indziej swoją fucking love. Winter zateśknął za cygarem. Co za absurd. Nie palił od kilku lat, ale chęć została i pewnie nigdy go nie opuści. To tak jak z alkoholem albo pragnieniem osiągnięcia spokoju duszy.

Na ulicy nie było żadnego ruchu. Dookoła odbywały się balangi, ale nie tu. Nieopodal ruszył jakiś samochód, wyjechał na Karlbergsvägen. W zapadającym zmroku jego światła wydawały się bardzo silne. Winter zastygł, jakby nie mógł się ruszyć. Nie widział samochodu ochrony, chociaż Benson mówił, że powinien stać przed domem.

Przejechał rowerzysta. Zatrzymał się kilkanaście metrów od niego. Był bez kasku, mężczyzna, około trzydziestopięcioletni, może trochę starszy. Czapka z włóczki, krótka kurtka. Miał zepsute światło. Winter był zaskoczony, że pojawił się tak nagle.

On mnie nie widzi, pomyślał. Rowerzysta stał bez ruchu i wpatrywał się w dom po przeciwnej stronie ulicy, numer trzy.

Czy on patrzy na balkon? Balkon Schwartz'a? Na pewno widzi, że cała góra jest ciemna, a i tak patrzy. Nie dzwoni do bramy.

Rowerzysta wciąż stał. Obejrzał się, znów spojrzął w górę, jeszcze raz się obejrzał, ale najwyraźniej go nie widział.

Z drugiej strony nadjechało dwoje rowerzystów, chłopak i dziewczyna. Widocznie to trasa rowerowa. Winter słyszał urywki ich rozmowy, odbijała się echem między domami.

Tamten wyprostował się i prawą nogą odepchnął od jezdni.

Winter zrobił krok naprzód, oderwał się od fasady domu.

Mężczyzna obejrzał się. Zobaczył ruch i zaczął pedałować.

Rozpędzał się coraz bardziej. Dołączył do tamtych, już był w połowie ulicy.

– Stać! Policja! – zawołał Winter. – Policja!

Pora interweniować. Mężczyzna rzucił się do ucieczki. A ja tu stałem, zdążył jeszcze pomyśleć Winter. Coś mnie tu przyciągnęło, on mnie przyciągnął.

Jego krzyk zatrzymał parę rowerzystów. Spojrzeli na niego, potem za uciekającym. Podbiegł do nich.

– Pożyczam! – krzyknął i wyszarpnął kierownicę z rąk chłopaka. Na oko dwadzieścia pięć lat, chudy, zszokowany. Miał na tyle rozsądku, żeby nie stawiać oporu.

Winter przyciągnął rower, odwrócił go, w biegu wskoczył na siodełko i ruszył w pościg.



TO BYŁ ROWER SZOSOWY. Winterowi myliły się biegi. Tamten skręcił w prawo, w Karlbergsvägen, i już go nie było. Winter nacisnął kciukiem manetkę zmiany biegów. Wrzucił bieg. Poczul, że łańcuch zaskoczył, i rower pomknął szybciej. Wrzucił wyższy bieg. Już go opanowałem. Dojechał do skrzyżowania, skręcił w prawo i zobaczył mrugające tylne światło. To o n. Czerwone światełko nagle się ożywiło. A to dopiero, jak drogowskaz dla sił dobra. Światła roweru zawsze służą siłom dobra, każdy to wie. Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Ulica wpadała w Odenplan. Winter nie wiedział, czy tamten zdaje sobie sprawę, że jedzie za nim. Nie widział, czy tamten się obejrzał, ale pedałowal, jakby wiedzial, że ktoś go ściga. On wie. To Odengatan. Tamten zwiększył przewagę. Zjeżdżali lekko w dół. Winter gmerał przy biegach. Nie mógł znaleźć właściwego. W końcu trafił, chciał poprawić. Jechał już bardzo szybko. Poczul wiatr we włosach. Płaszcz powiewał jak na czarodzieju. Kurde, trzeba było zrzucić płaszcz, kiedy porywał rower, bo łapie wiatr jak żagiel odwrócony w niewłaściwą stronę. Krawat zasłonił mu oczy. Cholernie niepraktyczna rzecz dla kolarza. Marynarka cisnęła go w ramionach, spodnie piły w kroku. Żle się wyekwipował. Tymczasem ścigany miał na sobie luźny strój w sam raz na giro di Stockholm. Na to wyszło, i to całkiem oficjalnie. Nie napotykali żadnych samochodów ani żadnych pieszych, jakby stolica została zamknięta z powodu tego wyścigu. Wszyscy śledzili go z dużej odległości, może za pośrednictwem satelity. Rozumieli, że wszystko zależy od wyniku tego sprintu. Wszystko, czego chcą się dowiedzieć, znajdzie finał i wyjaśnienie, jeśli Winter okaże się szybszy, jeśli będzie miał lepszy finisz. Wkrótce może się zacząć, jeszcze dziś wieczorem albo dopiero w świetle poranka.

Halders podszedł do pracownika hali. Można by go nazwać lodowiskowym, pomyślał.

– Dużo ludzi przychodzi tu poza meczami? – spytał, gdy już się przedstawił.

– W jakim sensie?

– W sensie ludzi, którzy tu przychodzą, na przykład w ciągu dnia.

– Tak jak pan?

– Nie, ja przyszedłem w konkretnej sprawie.

– O ile mi wiadomo, raczej nie przychodzą.

– A kto mógłby wiedzieć dokładnie?

– Ja – odparł facet i uśmiechnął się.

Halders pomyślał o Beckettzie. Nie był aż takim prymitywem, żeby nie mógł mieć takich skojarzeń.

– Więc pytam pana – powiedział Halders.

Za jego plecami rozległy się kroki. Aneta znalazła drogę do miejsca, gdzie panuje wieczne zimno. Przedstawiła się.

– Odwiedzający, mówi pan? – spytał mężczyzna, patrząc na Haldersa.

– Ktoś, kto by tu przychodził regularnie, powiedzmy.

– Przychodzi regularnie, kiedy nie ma meczów?

– Tak.

– Obcy?

– Tak.

– Dziwne – powiedział mężczyzna. Miał na imię Glenn, przedstawił się.

– Dziwne rzeczy to moja specjalność – odparł Halders.

– Obcy właściwie nie mają tutaj wstępu – zaznaczył Glenn.

– Jasne.

– Ale wszystkich nie upilnuję. Nie powiem, że przychodzą, ale policjantem nie jestem.

– Chodzi o dość młodego faceta, lekko po dwudziestce, jasne włosy, piaskowe, średniego wzrostu, jak to mówią, normalnej budowy.

– Widział go pan? – spytał Glenn.

– Tak.

- Tu? W środku?
  - Tak.
  - Zakradł się?
  - Pytam, czy widział pan tu kogoś, kto by tak wyglądał.
  - Może – odparł Glenn, patrząc na drugą stronę lodowiska, jakby tamten ktoś wciąż tam stał.
  - Widział go pan? – spytała Aneta.
  - Może – powtórzył Glenn. – Teraz, jak pan to powiedział... kilka razy stał tam jeden facet. – Kiwnął głową w tamtą stronę.
  - A potem sobie poszedł. Tak było kilka razy. Nie zwracałem uwagi, nie mam czasu na takie rzeczy.
  - Rozmawiał pan z nim?
  - Nie, nie.
  - Może ktoś inny z nim rozmawiał?
  - Tylko ja tu jestem.
  - Mówił pan komuś o nim?
  - Nie. Możecie spytać pracowników biura, tam, na górze, czy go widzieli.
  - Już pytaliśmy. Nie widzieli – odparł Halders.
  - No jasne, oni tu nie schodzą.
- Halders kiwnął głową.
- Dla nich jest tu za zimno – powiedział Glenn.
  - Czy coś jeszcze zwróciło pańską uwagę w związku z tym człowiekiem?

Glenn milczał. Miał około pięćdziesiątki, może trochę mniej. W każdym razie urodził się wtedy, kiedy każdy chłopak urodzony w Göteborgu dostawał imię Glenn. Znów spojrzął na lodowisko, jakby piaskowy człowiek miał zaraz wyjść i posypać lód piaskiem. Wszędzie sypią, dlaczego nie tu?

- Wydaje mi się, że on... – Urwał.

Aneta i Halders czekali.

Usłyszeli wołanie, a potem dziecięce głosy dochodzące z foyer. Może będzie mecz albo wieczorny trening.

Glenn spojrzął na nich.

- Śmieszna rzecz... jak człowiek zacznie rozmawiać o czymś, nad czym wcześniej się nawet nie zastanawiał – powiedział.
- Wiemy – odparła Aneta.

– Zrobił coś... – powiedział Glenn. – Chyba dlatego go w ogóle zapamiętałem.

Znów umilkł. Na łód wjechało kilku chłopaczków, tak nagle, jakby wyszli z jakiejś ukrytej szatni. Ubrani w żółte bluzy i niebieskie spodnie, szwedzka reprezentacja dziesięciolatek. Kaski mieli większe od głów. Wszystko wydawało się od nich większe. Glenn patrzył na nich, jakby wszystkich znał.

– Co takiego zrobił? – spytała Aneta.

– O co pani pyta?

– Co takiego zrobił ten człowiek, że pan go zapamiętał?

– Wydaje mi się, że płakał – odparł Glenn, jakby był zdziwiony, jakby nie dowierzał własnym słowom.

Czerwone światelko wskazywało na to, że jadący przed nim rower skręcił w prawo. Był sto metrów za nim. Odległość się nie zmniejszyła, ale też nie zwiększyła. Sięgnął po komórkę. Chciał wybrać numer alarmowy, ale cholerstwo wyślizgnęło mu się z ręki, przeleciało między nogami i huknęło o asfalt. Jechali teraz na południe. Winter przejechał przez skrzyżowanie jak rajdowiec. Ulica biegła prosto. Zrobił się duży ruch, ale Winter nie zwracał na to uwagi. Miał wrażenie, jakby byli tam tylko on i tamten mężczyzna i tylko oni się liczyli. Nie czuł zmęczenia. Rower sprawował się jak trzeba, nie było żadnych wzniesień, żadnych przeszkód. Wreszcie poczuł, że żyje i że to poczucie go nie opuści, nigdy. Mógłby jechać choćby do Norrköpingu, a nawet do Marbelli. Teraz go nie widział. Potem zobaczył. Miał ciemny pasek w poprzek jasnej kurtki. W świetle dnia mógł być czerwony. W każdym razie był wyraźny. To błąd, jeśli się jest ściganym. Chyba kilka razy się odwrócił. Winterowi wydało się, że zajaśniała jego twarz. A patrz sobie, wciąż za tobą jadę. Skręcili w lewo, na bulwar ciągnący się na południe. Winter rozpoznał Birger Jarlsgatan. Dalej po lewej pojawił się Humlegården<sup>22</sup>. Kiedyś, w innym wcieleniu, spacerował tam z kobietą, której imienia już nie pamiętał. Tylko ten jeden raz, była wiosna, jak teraz. Jeszcze studiował w Wyższej Szkole

---

22 Humlegården – niewielki stary park w centrum Sztokholmu.

Policyjnej. Wkrótce miało się zacząć prawdziwe życie. Związek z tą kobietą miał się skończyć, a on wrócić do siebie, na stare śmieci. Maminsynek wrócił do mamusi i jej drinków, nie do tatusia. Minęli Humlegården. Nie miał pod powiekami twarzy ojca, siebie też nie ani tamtej kobiety. Jakieś imię na N, może na M. Potem było A. Oto przed nim Stureplan. Ścigany zachwiał się na skrzyżowaniu z Kungsgatan, ale się nie przewrócił. Lawirował między taksówkami. Chyba jest tu cały Sztokholm, w każdym razie ci, którym wolno wychodzić w nocy, na przykład do ogródka Sturehof. Kiedyś tu przyjdę, jak to wszystko się skończy. Zostawili z tyłu Stureplan, jego blask i gwar. Winterowi nie szumiało w głowie. Załatwiła to adrenalina, która kiedyś ten szum wywołała. Na tym polega ten dowcip: zmęczyć ciało tak, żeby mu wyszła uszami i wypłukała wszystko, co niepotrzebne, przynajmniej na tak cenną chwilę jak ta. Mimo napięcia w udach nadal nie czuł zmęczenia, ale pocił się jak Torgny Mogren. Musiał mrugać oczami, żeby nie zalał mu oczu pot, który spływał mu z czoła. Nie był zmęczony, nigdy się nie zmęczy. Tamten też nie, jest na to zbyt wściekły, wystraszony, głupi, chytry, wszystko naraz. Skręcił ostro w lewo i zniknął. Winter pojechał za nim. Omal nie wpadł na dom z tabliczką „Grev Turegatan”. Musiał zeskoczyć z roweru, odwrócić go i pojechać pod górę. Teraz nie widział rowerzysty. Cholera, nie ma nikogo, wszyscy są na Stureplan. Tu wprawdzie też są fajne miejsca, ale Stureplan przyciąga. Pod tym względem Sztokholm jest prowincjonalny, całkiem jak Sävsjö. Zresztą tam też mają Stureplan. Pamiętał, bo dawny kolega z policji, który przeniósł się do Eksjö i zamieszkał w Sävsjö, miał na domu tabliczkę Stureplan 1. Różnica była taka, że tam plac był maleńkim rondem, niezauważalnym dla złodziei samochodów, dla innych też nie. Również dla niego, kiedy jeden jedyny raz był w miasteczku. Dojechał do skrzyżowania. Humlegårdsgatan. W lewo? W prawo? Byłoby nielogiczne, gdyby tamten zawrócił. Nie zna wprawdzie miasta zbyt dobrze, ale na pewno by nie wrócił. Nie zrobiłby tego nikt, kto wie, że jest ścigany. Pojechał w prawo, w stronę Östermalmstorg. Minął halę targową, wspaniałą świątynię

jedzenia. Drogo tu jak cholera. To kara dla tych, którzy mieszkają na Östermalmie i zgadzają się za to płacić. Sam gotów był płacić za to, co najlepsze. W hali było cicho i ciemno. Bez zastanowienia skręcił w prawo, na Nybroplan. W dole, nad wodą, zobaczył złe czerwone oko. To o n. Jest. Obaj nadal są na ulicach Sztokholmu. Im dalej od centrum świata, tym bardziej samotni.

Gerda zatrzymała się przed drzwiami pokoju Gustava Lefvandera. Jeszcze ich nie otwierała. Światło w korytarzu miało błękitny, szpitalny kolor, nieobecny w podstawowej palecie. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że tak samo jest w środku. Gustav leżał w jedyńce. Gdy weszła, podniósł wzrok. Wszyscy mówili jej, że śpi. Nie chcieli, żeby wchodziła. Tylko na minutkę, powiedziała.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno – powiedziała.

Nie odpowiedział.

– Spytałem tylko o jedną rzecz – powiedziała.

– Nie teraz – odparł.

– Masz na kurtce plamy czarnej farby. Nie wiesz, skąd się wzięły?

– Nie.

– Kiedy ją poplamileś?

– Nie wiem.

– W ostatnim czasie?

– Nie wydaje mi się.

– Wiedziałeś, że jest poplamiona?

Milczał.

– To chyba nie jest trudne pytanie?

– Wiedziałem, że mam poplamiony rękaw – odparł.

Poplamiony rękaw, pomyślała Gerda. Nie wspomniała o rękawie.

– Kiedy to odkryłeś? – spytała.

– Nie pamiętam.

– Spotkałeś ostatnio kogoś, kto maluje?

– Nie, już mówiłem. Pewnie pobrudziłem rękaw u taty.

- W domu taty?
- Tak, trzyma farbę w garażu. Jak wszyscy, nie?

Ringmar nie mógł usiedzieć w domu. Próbował oglądać filmy, ale tętniące życiem obrazy stępiły mu myśli, jakby śmierć była za daleko albo w ogóle nie wchodziła w rachubę, chociaż było wręcz przeciwnie. Chwilę wcześniej myślał o swoim synu, jakby Martin zjawił się w Szwecji, w letniej scenerii ogrodu, pełnego radosnych ludzi, i znów wszedł do jego domu, ale wszystko wskazywało na to, że już nigdy tego nie zrobi, a on chciał zrozumieć dlaczego i nie potrafił. Nie pojmował, na czym miałyby polegać jego zbrodnie. Muszę tam pojechać, niech się dzieje, co chce. Kuala Lumpur to cywilizowane miasto. Przecież Martin nie wrzuci mnie do rzeki, kiedy do niego przyjadę. Do brudnej rzeki, bo to oznacza nazwa tego miasta. Nie wiem, czy tam w ogóle jest jakaś rzeka. Wiem, że są wysokie domy, na każdej ulicy stragany z jedzeniem, stoły i krzesła. Moglibyśmy usiąść przy piwku, jeść smażony ryż i trzymać się za ręce, nie trzeba by nic mówić. Zadzwoiła komórka, jakby sygnał dochodził z daleka, z innej części świata.

– Plamy na kurtce Gustava to nie krew, tylko czarna farba – powiedziała Gerda. – Torsten uważa, że to ten sam barwnik co w literach. Jest prawie pewien.

– O cholera. Kiedy będzie miał całkowitą pewność?

– Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne da znać za kilka dni.

– Bardzo dobrze.

– Przed chwilą spytałam Gustava, skąd te plamy – ciągnęła.

– Wydaje mu się, że pobrudził kurtkę w garażu, u ojca. Mårten Lefvander trzyma tam puszki z farbą.

– Kto ich tam nie trzyma – zauważył Ringmar.

– On powiedział to samo.

– Zadzwoię do Moliny – powiedział Ringmar. – Trzeba natychmiast zrobić przeszukanie u tatusia. Zresztą damy sobie spokój z prokuratorem. Nie ma czasu. Lefvander jest w tak zwanej podróży służbowej. Idealny moment. Przyłączysz się?

Ringmar wyszedł i wszedł do samochodu. Zapadający zmrok rzucił piękny cień na cały ogród. Sąsiad idiota w końcu zdjął bożonarodzeniową iluminację. Potrzebował dwóch miesięcy, żeby ją zamontować, i następnych dwóch, żeby zdjąć. W międzyczasie regularnie ją sprawdzał. Ringmar nienawidził tylko jednego jedyne go człowieka na całym świecie i był nim jego sąsiad. Nawet mu to powiedział. Rozłączał mu przedłużacze. Przecinał. Tamten nie mógł mu niczego udowodnić, groził wezwaniem policji. Proszę bardzo, już jestem, odparł Ringmar. Akurat w tym czasie wyprowadziła się Birgitta. Chcesz zabrać lampę?! – ryknął, gdy już stała w przedpokoju. Możesz sobie wszystkie zabrać! – wrzasnął, ciskając lampą podłogową. Zostawiła w deskach brzydkie szczyrby. Po ciemku będzie mi lepiej! – krzyczał, a z sąsiedniego domu i ogrodu wpadało dziesięć miliardów watów światła, gwałcąc całe jego terytorium i oświetlając ścieżkę prowadzącą od drzwi aż na ulicę, gdzie czekała jej taksówka.

Uruchomił silnik i cofnął na Margretebergsgatan. Zjechał w stronę Slotsskogsvallen i wyjechał na Dag Hammarskjöldsleden. Potem skręcił, żeby przejechać koło Sahlgrenska. Dalej przez Guldhedstorget i Wavrinskys plats, jeden z najbardziej uroczych zakątków w Göteborgu. Przejechał koło szkoły podstawowej i przez Doktor Fries targ.

Gerda czekała pięćdziesiąt metrów od pogrążonej w ciszy willi Lefvandera. Ringmar wysiadł.

– Jeśli rzeczywiście trzymał tam puszki z farbą, to teraz ich tam nie ma – powiedział.

– W takim razie będzie to chyba mocno podejrzane.

– Rzeczywiście – odparł. – Jeśli nic nie znajdziemy, to właściwie nawet będzie dobrze. A jak znajdziemy, to też. Jak by nie patrzeć – będzie dobrze. Wchodzimy?

Podeszli. Na ulicy panowała cisza. W kilku oknach w rzadko rozrzuconych domach paliły się jeszcze światła. Byli na zamożnym przedmieściu.



Ringmar włożył rękawiczki i przekręcił klamkę drzwi od garażu. Otworzyły się bezgłośnie.

– Zupełnie jakby się nas spodziewał – zauważył. – Mårten Lefvander nie ma nic do ukrycia.

Zapalił światło.

W garażu nie było puszek z farbą. W głębi, oparte o ścianę, stały dwie puste półki.

– W tej sytuacji robimy prawdziwe przeszukanie domu – stwierdziła Gerda.

– Myślisz, że tu poplamiał sobie kurtkę?

– Nie – odparła. – Ale coś tu nie gra. Mårten Lefvander też mi nie gra.

Ringmar pojechał do Mölndal. Zaparkował na Jungfruplatsen i przeszedł przez kamienny plac do czynszówki, w której mieszkała Amanda Bersér. Nikogo nie spotkał. Może wszyscy siedzą przed telewizorami. Wszedł po schodach, zadzwonił do drzwi i stanął tak, żeby go było dobrze widać przez wizjer. Zrobił przyjemną minę. Przecież jest miły, cholernie miły. To się musi skończyć. Może jeszcze nie dziś wieczorem, ale później, najpóźniej jutro. Nic jej nie powie o tym, że odwiedził starannie wysprzątany garaż Lefvandera.

Otworzyła.

– Późno już – powiedziała.

– Ja tylko na chwilę – odparł.

– Czego pan chce?

– Mógłbym wejść na moment?

Usłyszał głosy z telewizora, Aktuell. Wczoraj się wypowiedzieli, a może to było przedwczoraj. Nie, jednak wczoraj. Morderstwo w Sztokholmie, morderstwo w Göteborgu, brakuje tylko Malmö. Mogliby się poprawić.

– Proszę – odparła.

Zamknęła drzwi.

– Przed chwilą wróciłam do domu.

– Aha.

– Byłam u Gustava, ale spał. Nie rozmawiałam z nim.

- Chyba jutro wróci do domu? – powiedział Ringmar.
- Widzę, że wie pan więcej niż ja.
- Jutro – powtórzył.

Nie odpowiedziała.

- Nie będziemy go przesłuchiwać w szpitalu – ciągnął.
- To czego pan ode mnie chce? – spytała.

SKURCZYBYK JECHAŁ ZYGZAKIEM przez Östermalm. Znów na północ, potem na wschód. Winter wiedział, że to Riddargatan, każdy wiedział. Patrolował tę ulicę jako świeżo upieczony policjant. Jedynym problemem byli pijani oficerowie, którzy zabłądzili, bo zapomnieli, że koszary wyprowadziły się stamtąd dziesiątki lat wcześniej. Napruci jak łosie o zmroku. Im więcej gwiazdek na pagonach, tym bardziej arogancy. W sam raz dla Haldersa. Znów jechali nad wodę, w dół Styrmansgatan. Coś mrugało, czerwone światełko. Ciągnęło go w mięśniach ud. Serce dawało radę, gorzej z nogami. Za słabo trenował, za mało biegał. Powinien się przygotować d o t e g o, powinien wiedzieć, że do tego dojdzie. Zimą biegał po lodzie pod Göteborgiem. Teraz jedzie rowerem przez Sztokholm. Pięćdziesiąt trzy lata to żaden wiek, jeśli się dba o formę i skrupulatnie zażywa lekarstwa. Obiecał sobie, że jak to się skończy, wypije borchera i jeszcze dwudziestojednoletnią glenfarclas, jeśli ją mają w tutejszych barach. Wolał myśleć o whisky, o słodzie jęczmiennym, o wszystkim, byle nie o kwasie mlekowym w mięśniach. Tamten jest młodszy. Zobaczył to w tej krótkiej chwili, kiedy facet stał i gapił się w okna Schwartza. Może jest w dobrej formie i uda mu się uciec, kiedy on zacznie opadać z sił. Zaczął myśleć o tym, co nigdy nie opadnie: od swojej kuśki po róże na fotografii, a może odwrotnie. Próbował się skupić na wszystkim, co sprawia, że chce się żyć, na seksie i gorzale, i kwiatach, na rodzinie. Przyszedł mu na myśl Bar Ancha. Usiądzie tam, kiedy to się skończy, i będzie siedział aż do chwili, kiedy ciepła ciemność otuli go i poprowadzi po schodach do domu i na balkon z widokiem na Morze Śródziemne i mrugające światła. Wszystkie są żółte, nie ma czerwonych. Żółty nie jest brzydki, jest przyjemny. Zawsze uważał, że to przyjemne światło, zwłaszcza gdy był na lekkim

rauszu, tak jak na tym balkonie, gdy wszyscy już śpią, dzieci... Angela nie. Ona przyjdzie i przyniesie mu jeszcze jedną flaszkę, niech ją Bóg błogosławi.

Amanda Bersér zaprosiła go do salonu. Wyglądał tak samo jak poprzednio, ale od tamtej pory wydarzyło się to i owo. Ktoś zniknął, ale wrócił, ktoś inny umarł. Według obecnego stanu wiedzy niewiele jest stamtąd dróg powrotnych. Wierzący wiedzą swoje. Jest ich wielu i może mają rację. Czasem Ringmar myślał, że trafi do nieba, tylko jeśli wszystkie miejsca w piekle będą już zajęte, a czasem ośmielał się wierzyć, że jednak jest lepszy. Wcale nie chciał wierzyć i to było najgorsze, bo dla kogoś, kto nie wierzy, wszystko kończy się ciemną nicością. Lubił, a czasem wręcz uwielbiał ciemność, ale to nie to.

– Co się dzieje? – spytała.

– Co pani ma na myśli?

Spojrzała na niego jak na durnia albo jeszcze gorzej, jakby ściemniał.

– Dzieje się coś strasznego – powiedziała.

Ringmar pomyślał, że nie sposób zaprzeczyć. W tych okolicznościach jej słowa nie zabrzmiały jak banał. Miała przed oczami obraz całości, którego on nie miał, chociaż się starał.

– Ojciec Jonatana – powiedziała, jakby nie miała odwagi wypowiedzieć jego imienia albo jakby chciała odeprzeć złe moce.

Ringmar kiwnął głową. Czasem grał rolę potakiwacza. Może i był potakiwaczem, i może właśnie to leżało u tak zwanych podstaw tak zwanego zła.

– Co takiego wiedział Gunnar? – spytała.

– Byliśmy u niego, żeby go spytać – odparł Ringmar.

– Pan był?

– Nie.

– Popełnił samobójstwo, bo miał depresję? – spytała.

– Depresję? A z jakiego powodu?

Znów rzuciła mu mroczne spojrzenie.

- Cierpiał na depresję już wcześniej, przed śmiercią syna?
  - spytał.
  - Przed zamordowaniem jego syna – poprawiła go.
  - Właśnie.
  - Słowo śmierć sugeruje, że ktoś sobie spokojnie umarł.
  - Zgadzam się.
  - Jeśli rzeczywiście miał depresję, to skutecznie ją ukrywał
  - odparła.
  - Byli ze sobą blisko?
  - A co to znaczy? – odpowiedziała.
  - Sam nie wiem – odparł Ringmar.
  - Tak się tylko mówi – zauważyła. – Byli ze sobą blisko. Ale co to właściwie znaczy?
  - Słuszna uwaga.
  - Czyżby mi się pan podlizywał?
  - Podlizywał?
  - Mówimy tak, kiedy ktoś nam kadzi, przypochlebia się bez powodu.
  - Ja mam powód – powiedział Ringmar.
  - Ale podlizuje mi się pan, prawda?
  - Raczej schlebiam. To właściwsze. I zdrowsze.
  - Ma pan jeszcze czelność dowcipkować?
  - Zabawne wyrażenie: mieć czelność.
- Amanda Bersér wstała z kanapy.
- Mogłabym złożyć na pana skargę, że stroi pan sobie żarty z kogoś, kto jest w żałobie.
  - W takim razie przepraszam – powiedział Ringmar.
  - Chodziło panu o rozluźnienie nastroju?
  - Nie, nie. Moja praca nie na tym polega.
  - A na czym?
  - Na zadawaniu pytań – odparł. – Nie mogłaby pani usiąść? Szukam odpowiedzi. To trudne. Są różne sposoby, żeby do nich dotrzeć. Najlepszym jest rozmowa. Dramatycznych zdarzeń nie jest aż tak wiele, jak ludzie myślą.
  - Ale morderstwo to jest dramatyczne wydarzenie – odparła, siadając. – Samobójstwo też.
  - Dramatyczne jest to, co dzieje się potem – powiedział.

– Z tego co się orientuję po bliższym zetknięciu się z tym światem, ciągle dochodzi do jakichś aktów przemocy. Czego ode mnie oczekujecie w sprawie Jonatana?

– Na przykład że nam pani coś powie o jego przeszłości.

– Nie miał żadnej przeszłości. A raczej, jak mówił, nie miał nic ciekawego do opowiadania. Takie sobie zwykłe rzeczy.

– Proszę sprecyzować.

– A nie precyzowałam już? Normalne dzieciństwo, młodość, potem przychodzi dorosłość, a potem człowiek robi się stary.

– Trafne podsumowanie – zauważył Ringmar.

– Znowu mi się pan podlizuje.

– Poznała pani kogoś z jego dawnych przyjaciół?

– Mógłby pan przestać mnie podpuszczać?

– Nikogo nie podpuszczam.

– Wiem, że taką ma pan pracę, ale proszę mi okazać przynajmniej tyle szacunku, żeby nie pytać wciąż o to samo, chociaż innymi słowami.

– Widzę, że sama mogłaby pani prowadzić przesłuchania.

– A jaki jest cel tego przesłuchania?

– Znalezienie odpowiedzi na pytanie, kto to zrobił.

– Może to jest akurat najmniej ważne – powiedziała.

– Już nie.

– Dlaczego?

– Bo może zginąć więcej osób.

Nie odpowiedziała. Nie potrafił odgadnąć, o czym myśli, chociaż zwykle był w tym całkiem dobry, zwłaszcza gdy przesłuchiwał niewinnych. Jeśli ktoś tu jest niewinny, to ona.

– Może dlatego ważniejsze jest „dlaczego” – zauważyła.

– To jeszcze jeden powód, żeby do pani przyjść – odparł.

– Miałam na myśli Gustava.

– I co pani pomyślała?

– Jest moim synem.

– Oczywiście. O co pani go spyta, kiedy wróci do domu?

Nie odpowiedziała, ale widać było, że wie, co mu powie.

– Starła się go pani chronić? – spytał.

Jechali Strandvägen. Minęli hotel Diplomat. Może jeszcze kiedyś tutaj zamieszka. Widać było sylwetki domów, czarną wodę, na niej wysepki. Jeśli mieszkańcy tego domu wariatów zwanego Sztokholmem w ogóle potrafią zrobić coś dobrego, to zachować naturalną bliskość wody. W Göteborgu jacyś idioci zabudowali wszystko trasami szybkiego ruchu i terminalami promowymi, które odcięły ludzi od wody niczym mur berliński. Niech to cholera, pomyślał, cisnąc pedały. Teraz to już była walka. Jeśli się naprawdę wkurwię, może wytrzymam przy tej prędkości jeszcze kilometr. Kto im dał prawo, żeby mnie odciąć od morza. To ci przekleci socjaldemokraci, a może świnię moderaci, weszli w układ ze Stena Line. Wiadomo, że Göteborg jest miastem białej mafii, zawsze był. Dlatego nie traktują nas poważnie. Boże, co to za upośledzenie. Zaraz po narodzinach człowiek wali łbem o ziemię i tak właśnie wygląda próba wymierzenia sprawiedliwości w Göteborgu. Gdyby wszyscy wiedzieli. Dlaczego oni nie wiedzą? Dlaczego nic nie mówią? Wszyscy się boją, ja też. Boję się o swoją skórę, o pracę, jaką pracę? Spójrz na mnie. A patrz sobie, dziadu w kapeluszu, o, jeszcze jeden, gapi się. Pewnie twarz mam całą czerwoną. Gdzie są radiowozy? Czyżby wszystkie co do jednego zostały wezwane do Södertälje? A ja tu jestem sam, pozostawiony sam sobie, jedyny reprezentant dobra na ulicach Sztokholmu. Pozwól, że wezmę cię za rękę i oprowadzę po ulicach Sztokholmu. Pozwól, że cię złapię za dupę. Ucieka mi. Ledwo widzę jego tylne światełko, o, jest Berwaldhallen<sup>23</sup>. Byłem tam. Jak ona miała na imię? Słuchała muzyki klasycznej, była ładna, zdystansowana, poszliśmy tam i było pięknie. Ulrike. Ciekawe, co teraz porabia. Facet skręca w górę, w stronę Gärdet. Oxenstiernegatan. Chce wystąpić w telewizji albo w radiu. Byłem i tu, i tu, wątpliwa przyjemność.

- Przed kim miałabym go chronić? – spytała Amanda Bersér.
- Pani wie najlepiej.
- Rozmawialiście z Mårtenem?

---

23 Berwaldhallen – sala koncertowa Szwedzkiego Radia.

– Owszem, przesłuchaliśmy go.  
– Czy to również jest przesłuchanie?  
– Technicznie rzecz biorąc – tak. Każda rozmowa jest przesłuchaniem.

– Jak pan rozmawia z żoną, to też?

– Nie.

Uciekł spojrzeniem, ale zauważyła to.

– Nie jest pan żonaty?

– Jestem... chociaż właściwie nie...

– Nie wie pan?

– Wyprowadziła się – powiedział.

– To przykre.

Nie odpowiedział.

– To zawsze jest przykre – dodała.

– A dlaczego państwo się rozwiedli? – spytał.

– To nie ma nic wspólnego z tą sprawą – odparła.

– Z jaką sprawą? Z morderstwem? Z zaginięciem Gustava?

– Nie ma z tym nic wspólnego.

– Starła się pani chronić Gustava? – powtórzył Ringmar.

– Podejrzuwała pani coś?

– Co miałam podejrzewać?

– Sama pani wie najlepiej.

– Pan nic nie rozumie – powiedziała. – Człowiek jest kompletnie pogubiony, nic nie wie.

– Wie, że coś podejrzewa – odparł. – I że to podejrzenie się skądś wzięło.

– Można by pomyśleć, że sam pan doświadczył czegoś podobnego – zauważyła.

– Owszem, doświadczyłem straty.

– Co pan stracił?

– Straciłem syna. Nie mamy ze sobą żadnego kontaktu.

Unikał patrzenia na nią, wbił wzrok w jakiś punkt. Nie po to tu przyszedł. Ale skądś się to wzięło. Przyszedł z tym, żeby się z kimś podzielić, najlepiej z kimś obcym.



TERAZ PO PRAWEJ MIAŁ Szwedzkie Radio, Studio Jeden, Zadzwoń do Radia, Wiadomości kulturalne, Uprawiaj ogródek z radiem, Przestrzeń filozoficzna, Kino. Tam powstają wszystkie najpopularniejsze audycje, nie mówiąc o Programie Drugim. Nawet przejeżdżanie obok tej świątyni ma posmak magii. Szkoda, że nie może się zatrzymać, poprosić o autograf kogoś z wychodzących, kogokolwiek, nawet tych z Programu Trzeciego albo Czwartego. Wszystko w swoim czasie, pomyślał. Tamten pędził przed siebie, może się obejrzał. Ledwo widział. Pot zalewał mu oczy. Piekły go jak od sików, od wody z Morza Martwego, jakby miał w nich kryształki soli. Zamrugał, żeby się ich pozbyć, ale zapiekły jeszcze bardziej. W gardle też piekło. Kiedy mijał hotel Diplomat, zerwał z szyi krawat. Może ktoś to widział i odczytał jako swego rodzaju protest. To był bardzo drogi krawat firmy Twins. Pomyślał o śródmieściu Göteborga. Jest takie przyjazne. Ulice są jak przedpokoje jego mieszkania. Göteborg jest domem, w każdym razie śródmieście i zachodnie dzielnice, w stronę Långedrag i wysp, bo w stolicy jest wieśniakiem spadającym w przepaść na skradzionym rowerze. Teraz w lewo, na kolejny bulwar, Karlavägen, prowadzący przez Karlaplan, długi jak cholera, cichy i pusty, bez samochodów. Oczywiście żadnych kolegów, tylko on, noc i ten duch na przodzie. Był już tak zmęczony, że zaczął wątpić, czy potrafi ocenić sytuację. Może od początku jest stuknięty. Kliniczna depresja przeszła w szaleństwo, urojenia, czystą paranoję. Nie ma innego rowerzysty, tylko on, wkrótce były komisarz Erik Winter, niegdyś najmłodszy w kraju, teraz wrak, który trzyma się kierownicy jak pijany płotu i jedzie wężykiem. Trzyma wprawdzie tempo, ale jak długo jeszcze? Nic nie widzi, usiłuje coś krzyknąć i podąża za tamtym cieniem, widzi światełko, świecącą kulę, jak w dyskotecce. Może to zabawa, a on jedzie w sam środek tej zabawy.

Glenn, woźny z Hali Marconiego, powiedział, że wyglądało to tak, jakby ten człowiek płakał. Aneta spytała go o to jeszcze raz, na wszelki wypadek.

- Tak wyglądało.
- Jest pan pewien?
- Chyba że facet był przeziębiony, ale nie wydaje mi się.
- To znaczy co robił?
- Nie widziałem za dobrze.
- Ale widział pan, że płakał.
- Tak mi się wydaje.
- I co było dalej?
- Poszedł.
- A pan poszedł za nim? – spytała.
- Skąd pani wie?
- Poszedł pan?
- Tak...
- Dlaczego?
- Zaniepokoiłem się. Może po prostu za dobry jestem, ale zmartwiłem się, że facet może jest chory.
- I co się stało?
- Poszedł.
- Dokąd?
- Na drugą stronę ulicy. Marconigatan, chyba tak się nazywa. Na przystanek. Albo dalej.
- Dalej? Patrzył pan za nim?
- Tak, przez chwilę, może minutę. Chyba poszedł do pizzerii. Albo tajskiej knajpki. Tam jest tylko to. No i myjnia samochodowa. Chociaż on nie był samochodem.
- Jak był ubrany? – spytał Halders.
- Nie pamiętam.
- Ubranie robocze?
- Może...
- Uniform?
- Jak to rozumieć?
- Kombinezon roboczy albo coś w tym rodzaju.

- Może... na to kurtka.
- Kieszenie naszyte na spodnie?
- Wydaje mi się, że tak.
- Spodnie czarne?
- Tak, chyba że szare, ciemne.
- I co się potem stało? Kiedy minął przystanek?

Spojrzeni na przystanek tramwajowy. Widać było kilka czekających postaci, głównie nieruchomych. Ludzie czekający na autobus albo tramwaj zazwyczaj się nie ruszają, bo są w zawieszaniu. Nie jest to ani życie, ani śmierć, wiadomo. W podróży, gdy już się zacznie, jest znacznie więcej życia niż w oczekiwaniu. Podróż zawsze dokądś wiezie, nawet jeśli to tylko pieprzony Frölunda targ.

- Ale wydaje mi się, że wszedł do myjni – powiedział Glenn.

– Dlaczego Jonatan nie opowiadał o swojej przeszłości?  
– spytał Ringmar. – Nie ciekawiło to pani?

– Czy ja mówiłam, że nie opowiadał? – odparła Amanda Bersér.

– Tak, podczas wcześniejszego...

– ...przesłuchania – wtrąciła.

– Tak.

Wstała.

– Napije się pan czegoś?

– Czemu nie.

– Kawy?

– Nie, za późno jak dla mnie. Albo raczej dla mojego żołądka.

– Herbaty?

– To samo niestety.

– Piwa?

– A ma pani bezalkoholowe? Prowadzę.

– Obawiam się, że mam tylko wino. – Zrobiła taką minę, jakby się czuła winna. Gdyby ją uprzedził, przygotowałyby cały bufet. – Ale pan jest przecież na służbie.

– Formalnie rzecz biorąc – odparł.

Mógłby wypić kieliszek wina, może dwa, i zamówić taksówkę.

Rano przyjechałby po samochód. Wyraźnie miała ochotę porozmawiać, opowiedzieć mu coś, a on chciał słuchać. To szansa, żeby się dowiedzieć.

I pocieszyć. Ale powstrzymał się od tego.

- Przecież nie jesteśmy jakimiś robotami – powiedział.
- Napiję się z panią wina.
- I wtedy będziemy mogli to nazwać rozmową?
- Możemy to nazwać, jak chcemy. Z tym że nie ma mowy o żadnej poufności – zaznaczył. – Nie jestem dziennikarzem.
- Więc nie można w zaufaniu zwierzyć się z popełnienia zbrodni?
- Mnie – nie.
- Nie wykorzystujecie czasem przestępców? Nie patrzycie przez palce na drobnych złodziejasków, żeby wam pomogli złapać prawdziwych łobuzów?
- Wydaje się pani nieźle zorientowana – zauważył.
- Pracowałam w opiece społecznej.
- No tak, to częściowo ten sam świat.
- Może to źle, że częstuję pana winem – powiedziała.
- Mea culpa – odparł Ringmar. – Mea maxima culpa.

Na Karlaplan okazało się, że mu zniknął. Boże, przecież mu nie odpuszczę, w życiu! Skręcę w prawo. Objechać plac? Sam już nie wiem. Nie mogę myśleć. On tam jest. Wjadę. Choćby nawet chciał, nie da rady się przede mną schować. Może ktoś tam jest i pożycz mi komórkę albo poproszę, żeby zadzwonił na numer alarmowy. Dlaczego nowoczesne rowery nie są wyposażone w telefony? Muszę to załatwić po powrocie do domu. Służbowe telefony przy służbowych rowerach, metodą prób i błędów. Ze wszystkim tak jest. Halders miał tu jakąś przygodę, kiedy był chłopcem i przyjechali na urlop całą rodziną. Chyba opowiadał o jakimś incydencie na Narvavägen. Ja tu nie przyjeżdżałem w dzieciństwie. Stary przyjeżdżał, żeby prac pieniądze. Nigdy mnie ze sobą nie zabierał. Zatrzymał się w hotelu Diplomat. To moje jedyne dziedzictwo. Potem tam pójdę. Jeśli bar nie będzie otwarty, każę im otworzyć. Stary

mieszkał tu w latach sześćdziesiątych, budował Sztokholm. Jego forsa zbudowała miasto, a może je rozbierała. Rozbierali i budowali. Tam się coś rusza, to on, za tym dębem czy jak go zwał. Widzę koło, światło pada na koło. Już nie ma siły. Myśli, że jest cwany, chowa się, ale ja jestem cwańszy. Bardziej zmęczony, ale cwańszy. Jestem tu, teraz! On mnie widzi. Koło chowa się za drzewem, ale za późno, gościu.

Dostał kieliszek wina, czerwonego. Butelki nie widział. Sobie też naląła. Wino miało wyrazisty smak. Może południowoafrykańskie, ale co on wie o winie poza tym, że to sfermentowany sok z winogron. Tylko snoby twierdzą, że się na tym znają. Nie za bardzo w to wierzył. Zawiąz oczy największemu ekspertowi od wina, a nie zorientuje się, że do kosztownego kieliszka nalali mu wina z kartonu. Winter nauczył go jednej rzeczy o winie i stylu: powinno być cholernie drogie, ale podawane w najtańszych kieliszkach. W ten sposób bez ryzyka mogą się zabawiać wyższe sfery. Kieliszki Amandy wyglądały na względnie tanie. Butelki nie pokazała prawdopodobnie dlatego, że naląła z kartonu. Tak czy inaczej, to on odpowiada za wszystko, co się dzieje. Ona nie powinna mieć wyrzutów sumienia, że policjant pije u niej wino. Zresztą na dziś już skończyłem służbę. Próbuję tworzyć coś na przyszłość. Niech Gerda jutro przesłucha chłopaka, tak będzie najlepiej. Co robi Erik? Chyba miał do mnie zadzwonić? A może ja do niego? Wybierał się wieczorem do Vasastan. Założę się, że poszedł sam, chociaż mu mówiłem, żeby kogoś ze sobą zabrał. Idiota. Sam się prosi o guza. Nie może żyć bez narażania się. Noc, a on sam wychodzi na ulice Sztokholmu. Przecież to grozi śmiercią.

Spojrzał na zegarek.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i wstał.

– Co się stało? – spytała. – Wychodzi pan?

– Muszę gdzieś zadzwonić – odparł. Wyszedł do maleńkiego przedpokoju i wybrał numer Wintera. Chwilę czekał. Potem słuchał komunikatu poczty głosowej. Co ten facet wyprawia?

Powinien odbierać, zawsze. Ma psi obowiązek odbierać o każdej porze dnia i nocy, zwłaszcza gdy dzwoni do niego Bertil Ringmar.

Zapewne poszedł do parku, na miejsce zbrodni, a potem do znajdującego się w pobliżu mieszkania ofiary. Sprawdził na mapie, rzeczywiście cholernie blisko. Co robił potem? Nie zadzwonił do mnie, ale wiem, że miał zamiar.

Zadzwonił jeszcze raz, odpowiedziała poczta głosowa. Potem zadzwonił do hotelu. W pokoju nikt nie odebrał. W recepcji oczywiście nikt nic nie wiedział. Nikt nigdy nigdzie nie wie nic o niczym. Tego nauczyło go życie, praca. Miał numer Dicka Bensa. Erik mu dał. Dzięki ci za ten podświadomy czyn. Benson odebrał. Mówił, jakby był podпиты, chrząkał i pociągał nosem.

– Mówi Bertil Ringmar z komendy wojewódzkiej w Göteborgu. Obudziłem?

– E... tak.

– Próbuje się skontaktować z Erikiem Winterem. Rozmawiałeś z nim wieczorem?

– Nie. Byliśmy luźno umówieni na kolację, ale się nie odezwał. Miał zadzwonić przed dziewiętnastą, jeśli będzie mógł.

– Jak to mógł?

– Zamierzał sprawdzić kilka rzeczy.

– Na przykład?

– Vasaparken, jak się domyślam. Hälsingegatan.

– I co, był tam?

– O ile wiem, to nie.

– Masz swoich ludzi w tym mieszkaniu?

– Już nie.

– Dom jest pod obserwacją?

– Jasne. Firm ochroniarskich. – Jego głos brzmiał teraz żywiej, chyba usiadł.

– Nic się nie stało wieczorem? – dopytywał się Ringmar.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Mógłbyś sprawdzić? Od ręki? U ochroniarzy? I w miejscowym komisariacie? Zresztą sam wiesz.

– Okej, odezwę się – odparł Benson.

Ringmar wrócił do salonu.

Siedziała w tym samym miejscu co przedtem. Nie tknęła wina. Jego kieliszek nadal był prawie pełny.

– Co się dzieje? – spytała.

– Próbuję wyjaśnić kilka rzeczy w Sztokholmie – odparł.

– Teraz?

– Czasem tak bywa.

– Wygląda na to, że wszyscy wykonujący pański zawód czuwają w nocy.

– Tak.

– Może by pan usiadł?

– Nosi mnie.

Mimo wszystko usiadł. Nie chciał pić wina. Wystarczą dwa łyki, żeby zacząć głupieć. Niby fajnie, ale może nie w tym momencie.

– Co z tym Sztokholmem? – spytała.

– Zamordowano człowieka. Wygląda na to, że ma to związek z tym, co się stało tu. Mój kolega tam jest.

Dostrzegł coś w jej spojrzeniu. Chodziło o Sztokholm, o to słowo.

– Była pani ostatnio w Sztokholmie?

– Nie.

– Jonatan był?

– Tak...

– Kiedy?

– Jakiś miesiąc temu. Albo dwa, nie pamiętam dokładnie. Nie, na pewno mniej niż dwa miesiące. Miał się z kimś spotkać.

– Z kim?

– Nie mówił.

– Pytała pani?

– Nie.

– Dziwne.

– Chyba wymienił jakieś imię. Pojechał na jeden dzień. Szybkim pociągiem. Rano wyjechał i wieczorem wrócił.

– Miał się z kimś spotkać w Sztokholmie?

– Tak. Wieczorem był już z powrotem.

- Po co miał się spotkać?
  - W sprawie jakiegoś nowego urządzenia... związanego z gimnastyką... mieli się spotkać na GIH czy GCI, jak ją zwał.
  - Ma pani na myśli Wyższą Szkołę Gimnastyki i Sportu?
  - Tak. – Spojrzała na kieliszek, jakby zawierał ocet winny. W zasadzie tak właśnie było. – Pewnie dlatego nieuważnie słuchałam. Nie moja sprawa.
  - Jak się zachowywał po powrocie do domu?
  - Było późno, już zasypiałam. Zamieniliśmy kilka słów i zasnęłam.
  - A następnego dnia rano?
  - Zdążył wyjść, zanim wstałam. Krzyknął tylko cześć.
  - A wieczorem?
  - Nic... szczególniego – odparła.
  - Mówił coś o swojej wyprawie?
  - Właściwie nie.
  - Pytała pani?
  - Tylko czy mu dobrze poszło. Odpowiedział, że tak.
  - Czy potem przyszła jakaś przesyłka? – spytał Ringmar.
  - Niech pan spyta w szkole.
- Spyta, ale na pewno nic nie będzie. W GIH też nie. Sprawdzili wyciąg z jego konta. Za bilety na pociąg do Sztokholmu zapłacił gotówką. Ale dlaczego miałyby kłamać w tej sprawie? Może z tego samego powodu co wszyscy.
- Boże drogi – powiedziała i gwałtownie wstała, jak ktoś, kto właśnie opanował sztukę stania i chodzenia. – Czy to... kto został zamordowany w Sztokholmie?
  - Ten człowiek nie pracował w GIH.



CZARNE GAŁĘZIE PORUSZYŁY SIĘ. Byli w środkowej części parku. Szalony rowerzysta ruszył przed siebie żwirową ścieżką. Winter coś krzyknął. Pewnie: stać! Sam tego nie słyszał. A może: policja! Ale zabrzmiało to śmiesznie nawet w jego uszach. To nie tajemnica, że jest policjantem i zasuwa na rowerze środkiem jezdni. Zawadził o coś prawym pedałem, pojechał dalej. Zapięko go w tyłku. Od kilku lat miał niedużego hemoroida, prawie niewidocznego, czy raczej niewyczuwalnego, ale akurat teraz to świństwo piekło go jak cholera. Nie miał czasu się zatrzymać, posmarować go alcosanalem. Nie zabrał maści. Nie da się zabrać ze sobą wszystkiego, na przykład kasku rowerowego, na wypadek gdyby trzeba było buchnąć rower. Ta wyścigówka jest naprawdę dobra. Może powinien ją skonfiskować jako materiał dowodowy, potem się zastanowi. Już wyjechał z Karlaplan. Znow jechali nad wodę. Tamten pojechał w prawo, ale zaraz skręcił w lewo. Winter zobaczył go, kiedy sam skręcił, a właściwie wyskoczył na skrzyżowanie. Na Grevgatan panowała cisza. Było ciemno, ulica się dłużyła. Miał wrażenie, że są sami, tylko on i jego zdobycz, we własnym wszechświecie złożonym z potu i adrenaliny, i kwasu mlekowego, strachu, lęku, poniżenia, nienawiści. Może to naprawdę nienawiść. I jego, i w jeszcze większym stopniu tamtego. Nie patrząc na boki, przeskoczył przez Linnégatan, a potem Storgatan.

– Myśli pan, że coś mu się stało? – spytała.

– Z tym idiotą nigdy nic nie wiadomo.

– Widzę, że jesteście ze sobą blisko.

– Jest dla mnie jak syn. Albo młodszy brat – odparł Ringmar.

– Kiedy się pan dowie? – spytała.

– Czego?

– Co się stało.

Nie odpowiedział, nie dało się. Zaczął się za to zastanawiać, co jeszcze tam robi. Przecież nie potrzebuje jej telefonu stacjonarnego. Możliwe, że on nadal tkwi w latach osiemdziesiątych, ale technika przecież nie.

– Posłać panu na kanapie? – spytała.

Zadzwoiła jego komórka.

– Rozmawiałem z komisariatem na Surbrunnsgatan – powiedział Dick Benson.

– No i?

– Doniesienie o kradzieży na Hälsingegatan. Skradziono rower. Rysopis złodzieja pasuje do Wintera.

– Jezuu, co ten wariat znowu wymyślił?

– Świadek zeznał, że złodziej wyrwał mu rower i wystrzelił na nim jak rakietą. Krzyczał, że policja, ale facet nie potraktował tego poważnie.

– Domyślam się.

– Więc prawdopodobnie ściga kogoś na rowerze – powiedział Benson.

– Kogo?

– Dobrze pytanie. Wysłałem na miasto kilka patroli.

– Może już być w drodze do Norrtälje.

– Na razie będziemy się trzymać śródmieścia – odparł Benson.

Znów minął hotel Diplomat. Bar był jeszcze otwarty. Zresztą może to był hotel Esplanade. Szybko szło. Migoczące światła baru odbijały się od Strandvägen. Z lewej połyskiwały wody Nybroviken. Jechał teraz na najwyższym biegu, z prędkością światła, ale prawie na ślepo. Wbił wzrok w światelko. Zamrugało z przodu, cholerne tylne światelko. Od godziny sobie z niego kpi. Na pewno jeżdżą tak od godziny, albo i dłużej. Daleko przed sobą zobaczył błękitne światło policyjnego koguta, pulsowało na tle nieba. A może rozsadza mu czaszkę? Słyszał, że kiedy eksploduje mózg, wszystko wydaje się niebieskie. Udar jest jasny jak głębia nieba, człowiek w niej tonie. Waliło błękitem. Nybroplan przed Dramaten.

Może odbywa się tam uroczysta premiera. Już po północy, ale czemu nie, w stolicy wszystko jest możliwe. A jednak to nareszcie koledzy. Nigdy nie był w Dramaten, właściwie dlaczego? Był pewien, że lubi teatr, zwłaszcza dobry. Co jest trudnego w lubieniu teatru? Tam stoją dwa radiowozy. Teraz je zobaczył. Nie widział rowerzysty. Chyba mnie nie zatrzymają, chociaż pewnie już jestem poszukiwany. Może w Sztokholmie kradzież roweru jest przestępstwem cięższym niż gdzie indziej. Ma to związek z ochroną środowiska. Są o krok dalej niż my. Zdał sobie sprawę, że coś krzyczy i że jedzie wprost na blokadę. Z drogi, z drogi, coś w tym rodzaju. Ja jestem ten drugi, zdekoncentrowałem się, wszystko mi zepsuli, to na pewno Benson. Usuwa dowody. To niemożliwe. Bylebym się przedarł przez blokadę. Jedziemy w stronę zamku, wiem, król jest w to zamieszany. Jezu, już nie mam siły, tyłek mi krwawi.

- Za siedem godzin pojedę po Gustava – powiedziała.
- Powinna się pani przespać – odparł.
- Może pan tutaj poczekać.
- Co pani ma na myśli?
- Na wiadomość, co z kolegą.
- Pojadę – powiedział. Nie pił już wina. Ona też nie.
- Niech pan zostanie.
- Nie powinienem. Już i tak nadużyłem pani gościnności.
- Przecież nie przyszedł pan w gości.
- To prawda.
- Więc nie ma mowy o żadnym nadużyciu.
- Więc mogę tu posiedzieć?

Nie odpowiedziała. Wstała i wyszła. Zabrała kieliszek. Słyszał, jak płucze coś pod kranem. Pewnie wylała wino. Jak głupek wpatrywał się w swoją komórkę. Pomyślał, że w domu nikt na niego nie czeka, a ona na pewno się boi i jest w szoku po tym, co się stało. Sam się do tego przyczynił, włączając w jej życie z butami i jeszcze wciągając w swój świat, pełen przemocy, nocnych telefonów, dezorientacji i strachu. Raczej dezorientacji.

Zostanę, pomyślał. Będę czuwał. Przy mnie będzie bezpieczna. Jutro pojedziemy razem po chłopaka do

Sahlgrenska. Po drodze zabierzemy Gerdę. Niech go przesłucha, tak będzie najlepiej. Prześpię się na kanapie, jeśli w ogóle zasnę. Nie potrzebuję pościeli. Ciepło tu, nawet koca nie trzeba. O, już wraca.

– Gdzie on jest?! – wrzeszczał Winter do policjantów. Stali przed nim w półkolu. – Z drogi! – krzyknął.

Policjanci się rozproszyli. Jeszcze jest nadzieja. Tam, z przodu, pędzi, jakby chodziło o życie. Jego zdobycz. Facet lekko pobłądził przed Wedholms Fisk. O, tam by chętnie poszedł. Potem, chwając się, pojechał w stronę nabrzeża. Zdał sobie sprawę, że tamten jest zmęczony tak samo jak on albo jeszcze bardziej. Giro di Stockholm, ale bez sprawdzania poziomu płynów. Tego na dłuższą metę nikt nie przeżyje. Już po wszystkim. Teraz wystarczy, że pokona ostatnie sto metrów i zatrzyma gościa. Nie, tego nie da rady zrobić. Przesłucha go, zapyta, dlaczego uciekał, jeśli uciekał, wszystkiego się dowie, kiedy już będzie w stanie normalnie oddychać.

Ringmar czekał. Ona siedziała razem z nim. Nie rozumiał, dlaczego się nie kładzie. Powinna się przespać.

Zadzwoił telefon.

– Słucham.

– Nybroplan – powiedział Benson.

– Co się stało?

– Właśnie tam jadę – wyjaśnił Benson. – Winter tam jest.

– Co zrobił?

– Nie wiem, jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– Nic mu nie jest?

– Zdaje się, że da jeszcze radę jeździć na rowerze – odparł Benson i chyba się zaśmiał.

– Powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił.

– Oczywiście.

– Zatrzymaliście kogoś?

– Właśnie zatrzymują.

– Może w końcu wyjaśnimy tę sprawę – wyraził nadzieję Ringmar.

- Wystarczy przyjechać do Sztokholmu – odparł Benson.
  - Wystarczy, że my przyjedziemy z Göteborga.
  - Nie to miałem na myśli.
  - Dobranoc, panie komisarzu – powiedział Ringmar i rozłączył się.
  - Zdaje się, że dobrze się skończyło – powiedziała Amanda Bersér.
  - Nie jestem pewien.
  - I co teraz?
  - Czekam na jeszcze jeden telefon – odparł. – Może by pani poszła się położyć?
  - Boję się – powiedziała, patrząc na niego.
- Chyba wtedy do niego dotarło, że boi się spać sama, zwłaszcza jeśli nie musi.

WINTER WSTAŁ, USIADŁ, wstał, usiadł... Musiało minąć kilka minut, żeby mięśnie zaczęły działać jak trzeba. Niechby jeszcze puściła odrętwiałość w podbrzuszu.

Peter Mark był w podobnym stanie. Z łatwością ustalili, że to on, bo w portfelu w kieszeni dżinsów miał prawo jazdy. Nie wstawał. Siedział i z trudem prostował nogi. Ścierał z czoła pot, który wciąż zalewał mu oczy. Wyglądał, jakby był w rozpacz. Może i jest, pomyślał Winter.

Powiedział coś, ale on nie dosłyszał.

Obaj siedzieli w radiowozie.

Na zewnątrz była przepiękna wiosenna noc, plus dwanaście stopni, rekord nawet jak na Sztokholm, przyzwyczajony do pięknej pogody. Tu zawsze świeci słońce i inne gwiazdy. Nad Göteborgiem jakoś nigdy nie chcą.

- Co powiedziałeś? – spytał Winter.
- Że na coś takiego nie byłem przygotowany – odparł Mark.
- Na ucieczkę przed policją?
- W ogóle nie przyszło mi do głowy, że jest pan policjantem.
- Bo co, głuchy jesteś?
- Nie słyszałem, żeby pan coś krzyczał. Za bardzo się bałem.
- Za kogo mnie wzięłeś?
- Sam nie wiem. W tym mieście wszystko jest możliwe.
- Boisz się kogoś konkretnego?
- Nie, niby kogo?
- To ja pytam.
- Nie.
- Co robiłeś wieczorem na tej ulicy w Vasastan?
- Nie wiem, o jakiej ulicy pan mówi.
- Co tam robiłeś? – powtórzył Winter.
- Nic.
- Jak się tam znalazłeś?
- Przyjechałem na rowerze.

– Przykopię ci w jaja, jeśli jeszcze raz spróbujesz zrobić ze mnie głupka – powiedział Winter.

Mark się rozejrzył. Byli sami. Funkcjonariusze stojący na zewnątrz mu nie pomogą, jeśli temu facetowi przyjdzie do głowy, żeby go bić. Nie bardzo w to wierzył, ale nigdy nic nie wiadomo. Facet jest jeszcze bardziej zmęczony niż on, starszy i do tego wściekły.

– Chciałeś kogoś odwiedzić?

– Nie.

– Skąd miałeś rower?

– Co?

– Czyj jest ten rower?

– Kolegi.

– Gdzie mieszka?

– E... za miastem.

– Gdzie?

– W Solnej.

– Adres?

– Nie pamiętam.

– Nie drażnij mnie – ostrzegł go Winter.

– Mówię prawdę, pierwszy raz u niego byłem. To czynszowy dom niedaleko lotniska Bromma. Niedawno się tam przeprowadził.

– Jak zamierzałeś do niego wrócić?

– Zadzwoiłbym oczywiście.

– Nie masz komórki.

– Zgubiłem, kiedy mnie pan gonił.

– W takim razie ją znajdziemy – stwierdził Winter.

Mark nie odpowiedział. Patrzył przez kuloodporną szybę na policjantów i wyglądał, jakby marzył o tym, żeby się znaleźć wśród tych miłych, dobrych ludzi. Winter też ich widział. „Witajcie w komisariacie dzielnicowym sympatycznej i pięknej Vasastan” – napisano przy wejściu do budynku przy Surbrunnsgatan 66. Sztokholmczycy wiedzą, co to podejście. Trzeba będzie przysłać Haldersa. Drużyna z Surbrunnsgatan nauczy go podawać łapę.

– Jak się nazywa ten kolega?

- Sture.
- Sture? Jak Stureplan?
- Właśnie.
- A dalej?

Mark milczał. Widać było, że próbuje wymyślić nazwisko pasujące do imienia Sture. Może Sten Sture, ale to już zajęte. Lepiej coś prostego, Sture Johansson albo Sture Karlsson.

- Sture Karlsson – odpowiedział.
- Dobrze.
- Co?
- Dobrze nazwisko. Zaraz do niego zadzwonimy.
- Numer jest w komórce. Nie znam go na pamięć.
- Czego jeszcze nie znasz na pamięć?
- Co?
- Trudno się opowiada bajkę, której się nie zna – zauważył

Winter.

- To nie są bajki.
- Trudno się wymyśla kawałek po kawałku.
- Ja nie wymy...
- Cholera jasna, opowiadaj, co cię łączyło z Jonatanem

Bersérem!

- Z Jonatanem?

Wyglądał na autentycznie zdumionego.

- Spodziewałeś się, że zapytam o kogoś innego?
- Nie... co...
- Znałeś Jonatana Berséra?
- Tak...
- Gdzie go poznałeś?

Mark był wyraźnie zdezorientowany. Błądził wzrokiem po brzydkim wnętrzu radiowozu, celi, miejscu tortur. Czyżby nie chodziło o Johana Schwartza?

– Zaraz dojdziemy do Johana Schwartza – powiedział Winter.

Mark drgnął. Człowiek zabrnął w kłamstwo i już nie jest tak łatwo, jak się zdawało na początku. Kłamać jest dużo trudniej, niż mówić prawdę. Gdyby tylko ludzie o tym wiedzieli, pomyślał Winter. Już w gimnazjum powinien być taki



przedmiot: zmyślanie i udawanie.

- Oczywiście znałem Jonatana... wielu go znało.
- Sture Karlsson też?
- Nie...
- A Robert Hall?
- Kto?
- Robert Hall.
- Nigdy o nim nie słyszałem. Kto to?
- A Matilda Cors?

Mark pokręcił głową.

- Tak czy nie? – zapytał Winter.
- Jak ona się nazywa?
- Matilda Cors.
- Pamiętałbym. Kto to?
- Czytasz gazety?
- E... tak.
- Słuchasz radia? Oglądasz wiadomości w telewizji?
- Czasem.
- I nic ci nie mówią te nazwiska?
- Nie...
- Chociaż były wymieniane setki razy razem z nazwiskami,

które znasz?

- Nie... jakoś nie załapałem.
- Jesteś idiotą?
- E... nie.
- Co robiłeś wieczorem przed domem Johana Schwartza?
- Nie wiedziałem, że tam mieszka.
- Gdzie?
- Na tej ulicy, na Hälsingegatan.
- Skąd wiesz, że mam na myśli Hälsingegatan? – spytał

Winter.

- Co?
- Skąd wiesz, o jaką ulicę mi chodzi?
- My... przecież pan powiedział.
- Nie.
- Co?

Całkiem się pogubił. Kłamstwa zaprowadziły go w ślepy

zaulek.

– Kłamanie to trudna sztuka, co?  
– Musiałem przeczytać na tabliczce – powiedział Mark, jakby nie usłyszał.

– Byłeś tam już?

– Nie, nigdy.

– A wcześniej spotykałeś się ze Schwartzem w Sztokholmie?

– Nie.

– Tylko wtedy, kiedy go zabiłeś – powiedział Winter.

– On nie żyje?! Co? Co pan powiedział?

Winter poczuł, że wystarczy, dość, że już nie ma siły. Niech technicy robią swoje, a tego palanta zabiorą do aresztu, do celi bez okna na świat. Niech tam zostanie sam ze swoimi kłamstwami.

Wyrwał go ze snu sygnał telefonu. A może obudziła go Amanda. Stała nad nim pochylona. Był czymś przykryty, w pokoju było ciemno.

– Jezu, Eriku – powiedział do słuchawki.

– Obudziłem cię?

– Też pytanie! Jest trzecia nad ranem!

– Pół do trzeciej.

– Co się stało? Słyszałem, że byłeś na przejażdżce rowerowej. Zatrzymałeś kogoś?

– Petera Marka. Jest tutaj.

– Więc go dopadłeś. Dobra robota.

– Gonilem go na rowerze przez całe miasto. Jeszcze do siebie nie doszedłem.

– Potem mi opowiesz ze szczegółami. Co on robi w Sztokholmie?

– Miał się spotkać ze Schwartzem. Albo spotkał się. Albo miał się spotkać. Nie chce powiedzieć.

– A co mówi?

– Same pierdoły.

– O co tu chodzi?

– Jeszcze nie wiem. Spróbuję odpocząć kilka godzin. Jutro

znowu go przesłucham. Jestem pewien, że ma jakiś związek ze sprawą. Johan Schwartz mógł należeć do jakiejś grupy organizującej zajęcia dla dzieci. Albo wiedział o czymś, o czym nie powinien wiedzieć. Nikt nie powinien.

– Niestety sprawca o tym wie – powiedział Ringmar. – To Mark?

– Nie sędzę.

– Chłopiec z nagrań?

– Widziałeś go na tych kasetach?

– Tak mi się wydaje.

– Może być na jeszcze innych nagraniach.

– Eriku, co to za chłopiec?

– Myślę, że został w jakiś sposób wykorzystany. W tej grupie, czy jak ją nazwać, były dzieci. Gunnar Bersér wiedział o tym. Były nawet u niego w ogrodzie, filmował je własną kamerą.

– Wolał popełnić samobójstwo, niż cokolwiek powiedzieć – zauważył Ringmar.

– Przecież chodziło o jego syna – odparł Winter.

– Dlaczego dopiero teraz postanowił ze sobą skończyć?

– Pewnie wypierał wstyd, jak długo się dało.

– I gdybyśmy do niego nie przyszli, dalej by wypierał – dodał Ringmar. – Wolał to, niż komuś powiedzieć albo spróbować coś z tym zrobić.

– To nie przez nas. Nie my ukaraliśmy Berséra, Halla, Matildę Cors i Schwartz.

– Tylko facet z Hali Marconiego – powiedział Ringmar.

– No tak, załóżmy, że to on.

– Co ma w bagażu?

– Przemoc.

– Seksualną?

– Albo coś jeszcze gorszego.

– A co może być gorszego?

Winter nie odpowiedział. Ringmar się nie odezwał. Innym razem, przy innej okazji.

– Dlaczego czekał aż do dziś?

– Może coś go do tego popchnęło?

– Coś, co się stało w jego życiu? Czy w życiu jego ofiar? Może

w życiu wszystkich?

– Sprawdziliśmy, co robili w internecie. Na razie nie mamy nic znaczącego – powiedział Ringmar. – Matilda Cors i Schwartz mieli konta na Facebooku, ale w ich poczcie nie ma nic ciekawego. To samo z rozmowami przez komórkę.

– Rzeczywiście, nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Musiało się coś stać, że go zerwali.

– Myślałem, że na Facebooku są wszyscy ludzie poniżej pięćdziesiątki – ciągnął Ringmar.

– Ja też tak myślałem.

– Eriku, czy Peter Mark jest w stanie powiedzieć nam coś istotnego?

– Nie jestem pewien.

– Czy sprawca kontaktował się z ofiarami?

– Na pewno.

– Ogniwo łączące ich z przeszłością. Albo łańcuch, czy jak go zwał.

– Nie bardzo jest się czego złapać, co?

– Na razie wystarczy. Nie chcę więcej ogniw, ofiar ani liter.

Winter nie odpowiedział. Ringmar słuchał szumu dochodzącego z przestrzeni między Sztokholmem a Göteborgiem, z Motalą w połowie drogi.

– Jeszcze jedno – powiedział Ringmar. – Kurtka Gustava Lefvandera była poplamiona czarną farbą. Torsten zbadał plamy. Wygląda to interesująco. Za dzień albo dwa wypowie się Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne.

– O cholera. A co mówi chłopak?

– Na razie nic. Wczoraj wieczorem Gerda próbowała coś z niego wyciągnąć. Dziś spróbuje jeszcze raz.

– Dobrze.

– Wczoraj przeszukałem też garaż Lefvandera. Wpadłem tam, by tak rzec, bo chłopak powiedział, że pobrudził się farbą w garażu ojca. I wiesz co...

– Nie było żadnych puszek po farbie – przerwał mu Winter.

– W ogóle żadnych puszek.

– Skąd wiedziałeś?

– Cha, cha. A gdzie jego szanowny ojciec?

- W podróży służbowej. Dziś wraca. Przeszukamy mu dom.
- Nie.
- Nie?
- Jeśli coś tam miał, już to sprzątnął. Przeszukanie można zrobić zawsze. Tymczasem niech sobie wierzy, w co chce. Choć raz wyprzedzamy go o krok.
- Okej, szefie.
- Nie mów do mnie szefie. – Mówił teraz cicho, jakby jego głos ledwo pokonywał odległość.
- Eriku, co ci jest?
- Jestem zmęczony. I garnitur mam kompletnie złachany.

MOŻE NIEPOTRZEBNIE TAM WRÓCIŁ, ale zrobił to niemal bezwiednie, jakby przyciągał go jakiś magnes. Wspomnienia. Zawsze chciał jeszcze raz pójść w to miejsce, chociaż już nie istniało, jakby to mogło wymazać przeszłość.

Stał sobie w hali, a ten skin coś krzyczał, a potem go gonił. Skin był z czarną kobietą, jakby mieli ze sobą coś wspólnego. Zdążył jeszcze pomyśleć: co oni tu robią? A potem zrozumiał. Już wiedzą? Niemożliwe, aż tacy sprytni nie są.

Wygolony gliniarz pogonił za nim. Może wyganiają każdego, kto wejdzie do hali? Tylko że tam nie było nikogo innego. Zawsze był sam. Jakoś go to uspokajało, ale skończyło się, więcej tam nie wróci. Wiedzą, jak wygląda, chociaż stał dość daleko. Miał czapkę? Nie przypominał sobie. Nie. Zdjął nawet czarne okulary, chociaż zawsze je nosił. Po tym, co się stało, przestał lubić słońce. Świeci obojętnie, nie przejmuje się niczym, jakby to nie miało żadnego znaczenia i jakby nikt nie miał ponieść kary, i jakby niebo dla każdego miało pozostać błękitne.

O, tam jest!

Tam!

To my!

No chodź!

Usiłował biec po wodzie, ale widocznie nie był d o b r y, tylko z ł y, nie zasługiwał na więcej. Uciekał, kaleczył stopy o leżące na dnie kamienie, zostawiał za sobą krwawe ślady. W końcu już nie miał siły biec dalej.

ANETA NIE MOGŁA SPAĆ. Ciągle wracała myślami do poprzedniego dnia. Jakby ona i Fredrik osiągnęli punkt zwrotny. Wciąż miała to przed oczami.

Przeszli estakadą nad torami tramwajowymi i stanęli przed ręczną myjnią samochodową Clean Park, w której „mycie odbywa się na własne ryzyko”. Tak było napisane na tabliczce nad automatem na żetony.

– W średniowieczu też tak myśleli – powiedział Fredrik.

– Uważali, że mycie się jest śmiertelnie groźne.

– W Afryce tak nie było – odparła. – Poza tym to mit, że w średniowieczu tak myśleli.

– Przecież w Górnej Wolcie nie mieliście wody, więc mycie się było zagadnieniem czysto akademickim.

– Ktoś tu pracuje? – Rozejrzała się. Klientów też nie było. Myjnia wyglądała na opuszczoną od lat.

– Jeśli tak, to tylko opróżnia automat.

– Facet tu przyszedł, prawda?

– Może tylko przyszedł – odparł Halders. – I poszedł do tamtych domów.

Ruchem głowy wskazał na pomarańczowe wysokościowce przy Mandolingatan. Powstały w ramach pogardzanego po latach programu budowy miliona mieszkań. Promienie słońca zarzyły się, odbijały od ścian.

– Albo umył samochód – powiedziała.

– Co?

– Umył samochód.

– Nie miał samochodu. To nie jest typ kierowcy.

– Jest coś takiego jak typ kierowcy?

– Wystarczy rzut okiem i wiem, że to nie ten typ – upierał się Halders.

– Tak samo jak faceci, którzy chodzą w kapeluszach?

– Zwłaszcza oni. – Halders podszedł bliżej, przeczytał

tabliczkę. Myjnia należała do firmy Kärcher. Podobne były na Vågmästareplan, w Brunnsbo, na Gamlestadvägen i w Sävedalen. – Trzeba będzie sprawdzić u właścicieli, chociaż to i tak nic nie da. – Wszedł do jednego z boksów i coś powiedział, ale Aneta nie dosłyszała.

– Fredriku, co powiedziałaś?

– I work in the carwash, where all it ever does is rain – zanucił.

– Brzmi jak Springsteen.

– Bo to Springsteen. Bardzo typowy.

– Springsteen jest typowym kierowcą. Czy tak, Fredriku? – spytała z uśmiechem.

– Na pewno nie jest żadnym dziadem w kapeluszu.

– Tylko dziadem – odparła.

– Jak się nie ma do czego przyczepić, to zawsze można nam zarzucić podeszły wiek.

– Jakim „nam”?

– Mężczyznom oczywiście.

– No rzeczywiście, biedactwa.

Nie odpowiedział. Rozglądał się. Dalej, tuż przy torach tramwajowych, była tajska knajpka Kin. W dole Ruddalens Pizzeria, dalej Fagottgatan, prowadząca do Lidla, i Mandolingatan, prowadząca aż do Frölunda targ.

– To tu – powiedział. – On jest stąd. Powinniśmy tu zostać, dopóki go nie znajdziemy. – Zadał głowę, patrzył na olbrzymie domiszcza. – Ten program budowy miliona mieszkań był tak samo chory jak pomysł Hitlera, żeby zbudować stolicę świata, Germanię.

Ośloniła dłonią oczy. Okna wyglądały jak czarne dziury w czerwonej ziemi. Z każdego można było obserwować wszystko, co się dzieje po drugiej stronie torów, wszystko, co rozebrano, a potem zbudowano na nowo, między innymi Park Marconiego na dawnym boisku.

Wystarczy się przejść po mieszkaniach, pomyślała. Milion puknięć do drzwi i po sprawie.

– Chodźmy na rynek – powiedział Fredrik. – Na hamburgera.



- Przecież tu jest i pizza, i tajskie jedzenie.
- Ale mnie się chce zjeść coś szwedzkiego – odparł.
- Dowcipny jesteś.
- No to idziemy.

Poszli na południe, wzdłuż wielkich domów przy Mandolingatan. Partery zajmowały osiedlowe sklepiki, jakby przycupnięte pod ciężarem budynków.

– Wygląda to jak w Azji, w przyzwoicie, dobrze urządzonej Azji, może w Singapurze – powiedział.

- Byłeś w Singapurze?
- Dawno temu.
- Zdaje się, że syn Bertila pracuje w Kuala Lumpur.
- Jeśli o to chodzi, to mógłby pracować nawet w Wagadugu albo czort wie gdzie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Przecież wiesz, nie utrzymują żadnego kontaktu.
- Przykra sprawa.
- Przykra? Musi być jakiś powód, prawda?
- Nie chcę się w to wdawać, Fredriku.
- Nikt nie chce się wdawać ani zastanawiać, co może się kryć za tym, że syn uciekł od ojca. Że dzieci zrywają kontakt z rodzicami.

Zatrzymała się.

- Fredriku, o czym ty mówisz?
- Daj spokój. Sama powiedziałaś, że nie chcesz się w to wdawać.
- Czasem zachowujesz się jak kompletny idiota.
- Czasem?

Odwróciła się od niego i ruszyła w stronę placu. Lśnił od nowych wiat przystankowych i nie tylko. Frölunda targ przestało być rynkiem i placem targowym, zamieniło się w świątynię komercji. Osobne miasto z mieszkaniami i wszystkim, co się z tym wiąże. Ze wszystkim. Pomyślała, że w tej chwili jest tego dla niej aż za dużo.

– Aneto, zaczekaj, przepraszam.

Dogonił ją.

– Wiem, za dużo pieprzę.

Zobaczył, że płacze.

– Proszę cię, kochana moja.

Otarła łzy.

– Co się stało? – spytał.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Chodzi o dziecko?

Nie odpowiedziała. Dochodzili do domu kultury. Plac zaczynał się poniżej schodów. Koło domu kultury i w tej części ulicy już nie było tak jak w przyzwoicie urządzonej, zadbanej części Azji, raczej jak w Afryce, w chaotycznym Lagos, z przerośniętymi parkingami, śmietnikami, połamanymi żelaznymi belkami, jak w zapomnianej części Göteborga, jak w prawdziwym Trzecim Świecie.

– Będę ostrożniejszy – obiecał. – Rozumiem, nie jestem idiotą.

Dick Benson zadzwonił do GIH. Połączyli go z profesorem Bengtem Krafftem.

– Jonatan Bersér? Tak, pamiętam. Był moim studentem, kiedy zaczynałem tu pracować.

– Odwiedził ostatnio szkołę?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jego żona mówi, że przyjechał do was z Göteborga, żeby omówić jakiś projekt.

– Jaki projekt?

– Nie mam pojęcia. Jest, a raczej był nauczycielem wuefu. W Göteborgu. Został zamordowany.

– O Boże.

– Więc pytanie brzmi, czy zjawił się w GIH.

– Nie, wiedziałbym o tym.

– Tak?

– Wszystkie tego rodzaju wizyty muszą przechodzić przeze mnie. Projekty dydaktyczno-badawcze, tak to nazwijmy.

– Ja nie nazywam – powiedział Benson.

– Na wszelki wypadek jeszcze popytam.

– Zawsze lepiej się upewnić – zauważył Benson. – Proszę się

dowiedzieć, czy kontaktował się z kimś innym z uczelni.  
A może z panem?

– Nie.

– Ale zapamiętał pan jego nazwisko?

– Był w pierwszej grupie, którą się opiekowałem. Dobrze się dogadywaliśmy.

– Po południu zadzwonię do pana jeszcze raz.

Benson odłożył słuchawkę i spojrzął na Wintera. Siedział po przeciwnej stronie biurka.

– Snob – powiedział. – Profesor. Wszyscy są tacy sami, niezależnie od tego, jaki przedmiot wykładają.

– I dlatego zostali profesorami – odparł Winter. – To samo co z komisarzami policji kryminalnej.

– Że niby jesteśmy snobami? Dobrze, przyjmuję to z prawdziwą dumą.

– Ja nie jestem snobem.

– Cha, cha, jesteś z tego sławny w całej policji, w całym kraju, w całej Europie i na całym świecie.

– Już nie.

– Winter, jedna przejażdżka na rowerze tego nie zmieni.

– Dziś jestem innym człowiekiem – odparł Winter, wstając.

– A teraz idę się dowiedzieć, co ma do powiedzenia Peter Mark.

– Może po tej nocy on też stał się innym człowiekiem.  
Powodzenia!

Peter Mark rzeczywiście stał się innym człowiekiem, a może tym, kim był zawsze. Był gotów mówić, i to do tego stopnia, że w pokoju przesłuchań poszukał wzrokiem kamery. Myślał, że sam zdecyduje, co powie. Typowy błąd człowieka niedoświadczonego, kogoś, kto jeszcze nigdy nie był przesłuchiwany.

– Proszę, żebyś patrzył na mnie, kiedy będziesz mówił

– powiedział Winter.

– Wystraszyłem się i tyle – wyjaśnił Mark.

– Za kogo mnie wzięłeś?

– Za mordercę.

– Którego?

– A jest ich więcej?

- To ja zadaję pytania – powiedział Winter.
- Za mordercę Jonatana, to oczywiste!
- Dlaczego miałby być w Sztokholmie? – spytał Winter.

Mark nie odpowiedział. Winter powtórzył.

– Bo w końcu człowiek zaczyna się bać wszystkiego – odparł Mark.

- Czego na przykład?
- Tego, że go ktoś goni.
- Czy utrzymywałeś bliskie stosunki z Jonatanem?
- Jak mam rozumieć to pytanie?
- Po prostu spróbuj odpowiedzieć.
- Znamy się z lat... młodości.
- To znaczy?
- Ze szkoły... trzeciej, czwartej klasy. Poznaliśmy się w szkole.

- Której?
- Påvelundsskolan.
- I od tamtej pory się kolegowaliście?
- Raz tak... raz nie.
- Co w tym przypadku znaczy, że raz nie?
- Co?
- Mówisz, że były okresy, kiedy się nie kolegowaliście.

Dlaczego?

- Czy ja wiem... co to w ogóle za pytania? Tak bywa i już.
- Co się stało?
- Co?
- Co się stało, że przestaliście się kolegować?
- Przestaliście... przecież potem znów się spotykaliśmy.
- Po czym?

Mark nie odpowiedział. Chyba się domyślał, że już lepiej milczeć, niż ciągle powtarzać „co”.

- Co powiesz na to, że według mnie iks lat temu stało się coś, co teraz doprowadziło do tego, że Jonatana zamordowano?
- A co mam odpowiedzieć? Co ja mogę o tym wiedzieć?
- Dlaczego się potem nie kolegowaliście?
- On... poznał innych. To może brzmi śmiesznie, ale nie to mam na myśli... zakolegował się z innymi.

– I już nie chciał się bawić z tobą?  
– Cha, cha, cóż, można i tak. Mieliśmy wprawdzie po dwadzieścia lat albo coś koło tego... potem się już raczej nie widywaliśmy.

– Kim byli ci koledzy?

– Nie wiem, nic mnie to nie obchodziło.

– Rozmawiałeś o tym z Jonatanem?

– W końcu ma się to poczucie godności, nie?

– Musiałeś mu coś powiedzieć. Przez telefon albo kiedy się spotkaliście.

– Przecież mówię, że się już nie widywaliśmy!

Podniósł głos. Nie pamiętał już o kamerze. Prawie się zapomniał. Z punktu widzenia przesłuchującego to właściwie najlepsze.

– Dla ciebie miało to duże znaczenie – zauważył Winter.

Mark powiedział coś bardzo cicho. Winter spojrzał na magnetofon. Ciszę też nagrywał. Zdarzało się, że potem słuchał również tej ciszy. Czasem mówiła więcej niż słowa. Słowa często są jak odpadki.

– Możesz powtórzyć? – powiedział.

– Nie w tym sensie – odparł Mark.

– Co nie w tym sensie?

– Miało znaczenie, ale nie w tym sensie.

– Wyjaśnij.

– Kurwa, nie jestem jakimś pedałem.

– I dlatego Jonatan cię rzucił?

– Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

– Że był pedałem i znalazł sobie nowych kolegów, którzy też byli pedałami – odparł Winter.

– Kurwa, pan chyba zwariował – powiedział Mark.

Twarz mu poczerwieniała, jakby Winter zniesławił całą szkołę w Pávelund i wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez jego życie. Po raz drugi w krótkim czasie Winter usłyszał, że zwariował. Poprzednio chodziło o Michaela Boltona.

RINGMAR MIAŁ ZA SOBĄ niespokojną noc, zresztą noc nie noc, kilka godzin drzemki nad ranem. Przewracał się z boku na bok na kanapie Amandy Bersér, w końcu wstał i uznał, że może pójść do kuchni i zaparzyć kawę. Stał przy blacie i wpatrywał się w wodę buzującą w zaparzaczu. Za plecami usłyszał jej kroki.

- Dziękuję, że zostałeś – powiedziała.
- Właśnie miałem cię przeprosić – odparł.
- Nie trzeba.

Podeszła, żeby go uściskać. Poczul jej zapach. Prawą ręką delikatnie dotknął jej ramienia. Puściła go i odwróciła wzrok.

Gerda spotkała się z Ringmarem i Amandą Bersér przed szpitalem. Był tam również Gustav, blady, ale w na tyle dobrej formie, żeby mógł wyjść ze szpitala. Kiedy parkowała przed głównym wejściem, zobaczyła, jak Ringmar obejmuje chłopca, jak go podpira. Wyglądają jak ojciec i syn, pomyślała, a właściwie jak dziadek i wnuk. Ona również traktowała Bertila jak ojca wydziału, mentora całej reszty, łącznie z Erikiem. Wiedziała, że jest samotny. Nie słuchała plotek, zresztą w wydziale nikt nie plotkował.

Usłyszała, jak Gustav pyta:

- Gdzie tata?
- Będzie po południu – odpowiedziała Amanda Bersér.
- Wyjechał.
- Okej.
- Pojedziemy do mnie.
- Będziemy tylko we dwoje?
- Pojedzie z nami pani Gerda.
- Dlaczego?
- Żeby cię spytać o kilka rzeczy.

- Nie chcę odpowiadać na żadne pytania.
- Chyba będziesz musiał, Gustavie.

- Nie wiem dlaczego – powiedział Gustav.
- Mamy czas – odparła.

Byli w mieszkaniu jego matki, w pokoju, w którym miał zamieszkać. Sporą część ściany za łóżkiem zajmował plakat z Depeche Mode. W samochodzie Gustav się nie odzywał, a ona o nic nie pytała. Nie mówiła nic o pogodzie. Ładna, o czym tu rozmawiać. Plakat pochodził z późniejszego okresu kariery zespołu. Gustav siedział na łóżku. Ona na fotelu stojącym na środku pokoju. Przy drzwiach stała wieża, obok leżały sterty płyt CD i stały przegródki z winylami. Chłopak słuchał muzyki z płyt. To znaczy że nie wszystko leciało ze Spotify wprost do mózgu.

Boże, Depeche Mode, pomyślała. Zespół dla wszystkich grup wiekowych.

Kiwnęła głową, wskazując plakat.

– Mój ulubiony zespół – powiedziała tak, żeby to nie zabrzmiało przymilnie.

Gustav spojrział na nią tak, jak nastolatek patrzy na babcię.

- Violator kupiłam, kiedy miałam tyle lat co ty teraz.
- Wyszła w dziewięćdziesiątym roku. Ale ja wolę pierwszą.
- Speak and Spell – odparła. – Z osiemdziesiątego pierwszego, ale wtedy to nawet ja byłam na nią za młoda.

Chyba się uśmiechnął. Jeśli tak, to dobrze, lepiej być nie może.

– Lata osiemdziesiąte. Chciałbym ich wtedy widzieć – powiedział.

– Teraz też możesz ich oglądać.

– Ale teraz nie gra z nimi Vince Clark.

– Był z nimi tylko na pierwszej płycie – przypomniała mu.

– Fakt, Martin Gore też jest okej.

– Mam autograf Dave’a Gahana – powiedziała.

– Naprawdę?

– Policjantka nie kłamie – odparła z uśmiechem.

- Ale on nie daje autografów.
- Mnie dał. W Kopenhadze, pod koniec lat dziewięćdziesiątych.
- Latem w zeszłym roku też tam grali – powiedział.
- Chciałem pojechać.
- Kiwnęła głową.
- Nikt nie chciał jechać ze mną. Nikt z dorosłych, bo ktoś musiałby mi towarzyszyć, bo jestem nieletni. Zresztą i tak nie było mnie stać.
- Zobaczysz, jeszcze tu przyjadą. Często grają w Szwecji.
- Nie tak prędko. Zanim przyjadą, będę w twoim wieku.
- Pomyśl, ile lat musieliby w takim razie mieć Gahan, Gore i Fletcher – powiedziała.
- Tyle co Rolling Stonesi – odparł.
- No właśnie.
- Zmienił pozycję i wysunął do przodu nogę. Wciąż wyglądał na nieletniego.
- Tamtej nocy też czegoś słuchałeś? – spytała.
- Skończyłem ze słuchawkami – odparł.
- I co robiłeś?
- Chodziłem sobie.
- Dlaczego?
- Mówiłem, sam nie wiem.
- Dlaczego za pierwszym razem uciekłeś z domu? Od ojca?
- Nie uciekłem od ojca.
- A od kogo?
- Milczał. Patrzył na sterty płyt, jakby tam była odpowiedź. W pewnym wieku wszystkie odpowiedzi znajduje się w muzyce, w słowach piosenek. Potem łeb twardnieje i wszystko staje się dużo nudniejsze, pomyślała. Wyobraźnia się kurczy.
- Ktoś zadzwonił... kiedy byłem u ojca... odebrałem. Nie znałem tego głosu.
- Męski czy kobiecy?
- Męski.
- Czego chciał?
- Nie wiem. Chciał rozmawiać z ojcem.
- Dlaczego tak się przestraszyłeś?



- Bo poznałem numer.
- Właśnie.
- To było upiorne. Co najmniej.
- Co sobie pomyślałeś?
- Pomyślałem... sam nie wiem.
- Przestraszyło cię coś jeszcze?
- Nie wiem.
- Jego głos?
- Tak...
- Przypominał ci kogoś?
- Nie.
- Co powiedział?
- Poprosił ojca do telefonu.
- A dokładnie co powiedział?
- Coś w rodzaju: czy zastałem Mårtena Lefvandera?
- Wymienił imię i nazwisko?
- Tak.
- Co jeszcze powiedział?
- Nic więcej.

Czytała raport Ringmara. Był w willi z Winterem po tym, jak Gustav uciekł. Lefvander podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i zobaczył, że ktoś dzwonił z telefonu Jonatana Berséra, z komórki, którą mu ukradziono. Ktoś musiał zadzwonić do niego, powiedział wtedy Lefvander. Miał na myśli syna, Gustava. Ale ten ktoś, człowiek o nieprzyjemnym głosie, chciał rozmawiać z Mårtenem Lefvanderem. Dlaczego? Wierzyła Gustawowi, jego intuicji, tak jak wierzyła w Depeche Mode.

- Powiedziałaś ojcu, że ktoś do niego dzwonił?
- Nie, przecież od razu uciekłem.
- A później?
- Nie było okazji. Czy to ma jakieś znaczenie?
- Nie wiem. Słyszałaś kiedyś ten głos?
- Nigdy.
- Brzmiał młodo czy staro?
- Czy ja wiem, tak pośrodku.
- Z kim się spotkałeś? – spytała po chwili.

- O co ci chodzi?
- Z kim się spotkałeś, kiedy cię nie było?
- Z nikim, mówiłem już. Krążyłem.
- Gdzie?
- Wszędzie.
- Byłeś u kogoś w domu?
- Nie, dlaczego? U kogo miałbym być?
- U człowieka, który wtedy zadzwonił.
- Nieprawda – odparł Gustav. – To wszystko nieprawda. Nie będę więcej z tobą rozmawiał.

Winter zrobił sobie przerwę. Peter Mark był homofobem albo chciał zrobić takie wrażenie. Może to znaczyć wiele rzeczy i żadnej nie należy za szybko skreślać.

Zawsze w tle jest seks, pomyślał. Najsilniejszy popęd u wszystkiego, co żyje. Nie dotyczy jedynie duchów i upiórów, które nie odbywają stosunków seksualnych. Dla innych seks jest siłą napędową i nieważne, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie.

Wyszedł na małe skąpane w słońcu patio. Czuł się tak, jakby na kwadrans wpadł do domu w Marbelli. Przesuwne drzwi za jego plecami otworzyły się. Odwrócił się.

- No i jak idzie? – spytał Dick Benson.
- Chyba dobrze – odparł Winter.
- To wspaniale.
- Czuł się odtrącony przez grupę.
- A co to była za grupa?
- Właśnie tego musimy się dowiedzieć.
- To, czym się zajmowali, na pewno nie prowadziło do niczego dobrego – stwierdził Benson. – Lepiej, żeby tego nie robili.
- Sprawca może jeszcze być w Sztokholmie – powiedział Winter.
- Może nawet siedzi w pokoju przesłuchań.
- Tak by było, gdyby to był najlepszy ze światów, ale nie jest.
- Często się zastanawiam, jak mógłby wyglądać taki świat.

- Naprawdę?
- Szczerze mówiąc, nie.
- A ja tak.
- Myśliciel z ciebie.
- To za wielkie słowo.
- Podaj mi definicję najlepszego ze światów. Zabiorę ją ze sobą w sztokholmską noc.
- Time, love and tenderness – odparł Winter.
- Mhm... Nieźle. Czas, miłość, czułość. Wszystko, czego brakuje w tej pracy. W tym mieście.
- Nothing heals a broken heart like time, love and tenderness.
- Nic tak nie uleczy złamanego serca – przetłumaczył Benson. – Widzisz, znam angielski. Coś mi to przypomina.
- Michael Bolton.
- Słuchasz Michaela Boltona? Tego z lat osiemdziesiątych? Z plerezą?
- Nieźle, co?
- Kurde, odbiło ci – odparł Benson.

Odbiło nie odbiło, wrócił do Marka. Siedział w pokoju pełnym słońca. Czemu nie, w ostrym, naturalnym świetle chyba trudniej kręcić, kłamać prosto w oczy.

Sprawiał wrażenie, jakby nieustannie wędrował w czasie. Raz miał dwadzieścia lat, raz czterdzieści. Nie potrafił stanąć na nogi, nie dojrzał do życia. Nie miał stałej pracy, nie radził sobie z chaosem panującym w jego życiu. Zatrudnił się dorywczo w jakichś magazynach, potem był na bezrobociu, potem pracował na budowach, jeździł taksówką, nadużywał alkoholu, chociaż nie spadł na dno. W sumie typowe życie przedstawiciela straconego pokolenia. Wielu próbowało się podszywać pod stracone pokolenie, ale urodzeni w latach sześćdziesiątych chyba mieli najgorzej. Należał do nich Winter, w pewnym sensie Mark też, chociaż urodził się na początku lat siedemdziesiątych. Nie mówiąc o nieudacznikach z lat osiemdziesiątych. Oni też próbowali zająć jakieś miejsce

w społeczeństwie.

– O Sturem Karlssonie chyba możemy zapomnieć – powiedział Winter.

– O kim?

– No właśnie. W końcu człowiek nie daje rady zapamiętać wszystkiego.

– To dlatego, że byłem skonany po tym jeździe na rowerze – odparł Mark.

– Dlaczego sterczałeś pod domem Johana Schwartza na Hälsingegatan?

– Sam nie wiem.

– Nie wszedłeś tam.

– No i dobrze.

– Wiedziałeś, że nie żyje?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Stąd, że ktoś ci powiedział.

– O ile pamiętam, w wiadomościach jeszcze nie mówili o jego śmierci.

– Tym gorzej, jeśli naprawdę już wiedziałeś.

– Od kogo miałbym się dowiedzieć? Od mordercy?

– A było tak?

– To znaczy jak?

– Dowiedziałeś się od mordercy?

– Od nikogo się nie dowiedziałem!

– Po co przyjechałeś? Po co przyjechałeś do Sztokholmu?

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, rozważał wszystkie za i przeciw, pros and cons, jak by powiedział Michael Bolton.

– Żeby się spotkać z Johanem – odparł.

– Dlaczego?

– Żeby się dowiedzieć, co o tym sądzi.

Winter czekał na ciąg dalszy.

– Co powie – ciągnął Mark. – Ale nie dowiedziałem się.

– Więc znałeś Johana. Wiemy, że on też chodził do szkoły w Pålvelund.

Mark kiwnął głową.

– Był twoim kolegą?

- Można to tak nazwać.
- Ale nie tak bliskim jak Bersér?

Nie odpowiedział. Nieprzyjemne pytanie. Łączyło się z tymi samymi wspomnieniami co poprzednie, te o przyjaźni z Jonatanem.

- Tam też cię nie chcieli?
  - Co pan ma na myśli?
  - Jonatan i Johan kolegowali się nadal, nawet kiedy ty przestałeś być ich kumplem.
  - Niech się pan zamknie.
  - Ależ Peter.
  - Nie będę o tym rozmawiał.
  - Ale z Johanem chciałeś rozmawiać.
  - Pan też by chciał, gdyby pana znajomi zostali zamordowani.
  - Kiedy ostatnio widziałeś się z Johanem? – spytał Winter.
  - Cholernie dawno temu.
  - Dwadzieścia lat?
  - Nie potrafię określić dokładnie, ale coś koło tego.
  - Około dwudziestu lat temu?
  - Coś w tym rodzaju.
  - Kiedy Jonatan i Johan widzieli się ostatnio?
  - Nie wiem.
  - Dwadzieścia lat temu – powiedział Winter.
  - Tak?
  - W każdym razie nic nie wskazuje na to, żeby się spotkali od tamtego czasu. Dziwne, prawda?
- Mark wzruszył ramionami.
- Dla mnie dziwne – ciągnął Winter.
  - Jak ktoś pracuje w policji kryminalnej, to wszystko wydaje mu się dziwne.
  - Peter, dlaczego przestałeś się z nimi spotykać?
- Nie odpowiedział.
- Przecież tak do końca nie należałeś do ich paczki
- powiedział Winter.
- Może właśnie dlatego.
  - Aż do teraz.

- Co aż do teraz?
- Teraz zapragnąłeś się spotkać.
- Nic dziwnego, po tym co się stało.
- A co się stało? – spytał Winter. – Co się stało dwadzieścia lat temu?

ROK ZEROWY, POMYŚLAŁ, ZERO, zero, zero. To jest teraz, a to było wtedy, wszystko się zbiega jak w kółku, w zerze. Ja jestem zerem, byłem zerem, ale już nie jestem, nie-jestem-zerem.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Nie posprzątał, nie pozbył się gazet, puszek i pudełek. Jeszcze nie skończył. Jak długo jeszcze? Wiedział, że nie pociągnie w nieskończoność.

Kiedy na to wpadną? Wkrótce, ale nigdy nie zrozumieją, nikt tego nie rozumiał.

Gdzie są tamci?

Na dole, uspokój się.

Czy drzwi są zamknięte?

Oni są nad wodą, przecież ci mówię!

Tak, widzę ich.

Daj znać, gdyby ktoś tu szedł.

Nikt nie przyszedł. Ale ci starsi musieli wiedzieć. Latał w samej koszulce, bez majtek i spodni, boso.

Wszyscy starsi byli tacy sami.

Wszyscy są tacy sami, pomyślał. Znikąd nie było pomocy, i nie będzie. Jestem sam, ale już niedługo.

Zaczął padać śnieg, wielkimi płatami. Znikną, jak tylko dotrą na ziemię. Śnieg w maju, nieczęste zjawisko. Słońce przedarło się przez śnieg padający na Frölunda targ. Zrobiło się pięknie, jakby od początku miało tak być. Jakby we wszystkim na tym świecie był jakiś sens. Rozplakał się. W radiu w drugim pokoju ktoś coś powiedział. Głos brzmiał cicho, spokojnie.

GUSTAV JUŻ WSIADŁ do samochodu Gerdy. Miał pojechać do domu, na przesłuchanie. Ringmar uściśnął Amandzie rękę. Co za sformułowanie: do domu na przesłuchanie. Sam nie mógł się zdecydować: przepełnia spokojem czy przerażeniem.

Pojechał do domu i wszedł pod prysznic. Usiłował nie myśleć o niczym. W domu jak zawsze panowała cisza i kiedy stanął w przedpokoju, jak zwykle pomyślał o przeprowadzce. Jakoś nie potrafił się zebrać, wyrwać stąd wszystkiego i przenieść gdzie indziej, żeby zacząć od nowa. Czy tylko z powodu wygodnictwa? Może ten dom dawał mu poczucie bezpieczeństwa? Może był inny, gorszy powód? W listopadzie, kiedy u sąsiada ruszał doroczny pokaz iluminacji, obiecywał sobie, że to już ostatnia zima, ostatni rok. Ale dokąd miałby się przeprowadzić podstarzały komisarz ze zrujnowanym życiem prywatnym? Do Kuala Lumpur? Akurat byłby tam mile widziany. Do innej dzielnicy Göteborga? I co by tam robił? Ludzie nie są mili dla obcych. Dobrze się czuł w Kungsladugård. Mógł skoczyć na piwo do Enoteki Maglia na Mariaplan, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. W dziesięć minut dojeżdżał rowerem nad morze. Mógł robić wszystko, co by zechciał, pod warunkiem że by się zdecydował. Nikt się nie wtrącał. Mógł robić, co mu się podobało. To też jakaś wolność w przydługim życiu. Aż za długim, pomyślał, zakręcając wodę i sięgając po ręcznik. Aż za dużo tej wolności.

Gerda zadzwoniła, kiedy już był ubrany i miał znów wyjść.

- Ten telefon, po którym uciekł, był do jego ojca.
- A my myśleliśmy, że do niego – powiedział Ringmar.
- On mówi, że ten ktoś chciał rozmawiać z ojcem. Spytał, czy zastał Mårtena Lefvandra.
- Wymienił imię i nazwisko?
- Tak.
- Jakby nie wiedział o Gustavie.



- Tak.
- Ale znał ojca.
- Tak.
- I zadzwonił ze skradzionej komórki nieżyjącego Jonatana Berséra. Czy ten chłopak jest wiarygodny?
- Dlaczego nie? Rozpoznał numer.
- Cholera, no właśnie.
- Wystraszył się jego głosu. Albo dlatego, że poznał numer.
- To bardzo prawdopodobne – zauważył Ringmar.
- Przepraszam, głupio powiedziałam.
- Wcale nie. Jedźmy porozmawiać z jego ojcem. Na razie skończyłaś z Gustavem, tak?
- Tak. Jedźmy.
- Tak czy tak, nie podoba mi się ten Lefvander – rzucił Ringmar.
- Wolno tak mówić?
- Jestem wolnym człowiekiem – odparł.
- Gustav nie chce powiedzieć, gdzie był. Jakby coś wypierał albo rzeczywiście nie wiedział – powiedziała Gerda.
- To jeszcze z niego wyjdzie. W końcu zawsze wychodzi.
- Peter Mark nie jest wolnym człowiekiem, w każdym razie nie tutaj i nie teraz. Wie coś, co on chce od niego wyciągnąć. Nie wyjdzie, dopóki nie powie. W przeciwnym razie zabierze swoje milczenie gdzieś, gdzie jest jeszcze gorzej.
- Co oni zrobili?
- Jak już stwierdziliśmy i jak pan sam zauważył, nie dopuścili mnie.
- Chyba nie wyjechałeś?
- Nie, dlaczego miałbym wyjechać?
- Tak to zabrzmiało.
- Miałem swoje życie.
- Gdzie Jonatan poznał Roberta Halla i Matildę Cors?
- Kogo?
- Daj spokój, już o nich pytałem. Roberta Halla?
- Nie znam go.
- Wychował się w Järnbrott, po drugiej stronie trasy.
- Jak sto tysięcy innych ludzi – odparł Mark.

- Chodził do liceum we Frölundzie.
- Jak sto ty...
- Do równoległej klasy – przerwał Winter. – O profilu społeczno-politycznym.
- Jak trzydzieści pięć innych osób – odparł Mark.
- Uśmiecha się? Oby nie. Winter poczuł, że jeszcze chwila, a przyładowuje mu pięścią albo złapie za gardło, żeby zdusić ten przekłety uśmiech.
- To było dwadzieścia dwa lata temu – zauważył Mark.
- Masz dobrą pamięć do dat.
- Lepszą niż do nazwisk.
- Więc jak brzmiało nazwisko człowieka, o którego cię spytałem?
- Robert Hall. Przeczytałem o nim w gazecie.
- Wcześniej powiedziałaś, że nigdy o nim nie słyszałaś.
- Odpowiedziałem dokładnie na pytanie.
- Okej, okej, pomyślał Winter.
- Jak go zapamiętałaś?
- W ogóle go nie pamiętam.
- A kolegów z jego klasy?
- Miałem dosyć swoich.
- Johana Schwartz.
- Na przykład.
- Jonatan Bersér poszedł do liceum Hvitfeldtska.
- Rzeczywiście.
- Dlaczego ty nie poszedłeś? Przecież miałeś dobre stopnie.
- Wszystko pan wie – zauważył Mark.
- Ale nic istotnego – odparł Winter.
- A co jest istotne?
- Dlaczego nie poszedłeś za Jonatanem? Swoim najlepszym przyjacielem?
- Kto powiedział, że był moim najlepszym przyjacielem?
- Stale trzymaliście się razem.
- Może i tak, ale nie rządził mną.
- Czyżby?
- Kurwa, co pan myśli?
- Myślę, że jednak rządził.

- Co pan powie.
- Ale tym razem nie chciałeś za nim pójść – ciągnął Winter.
- Za dużo już było tego wszystkiego.
- Czego?
- Dominacji. Już nie chciałeś, żeby nad tobą dominował.
- Nigdy nie chciałem.
- Aha.
- Kto by chciał?
- Johan. Robert. Matilda. Pewnie inni też.
- Nie nadążam – stwierdził Mark.
- Za czym?
- Za tym, co pan mówi, o co panu chodzi.
- Spotykałeś się z Jonatanem również po tym, jak poszliście do różnych szkół.
- Tak, dlaczego nie?
- Nie bałeś się?
- Czego miałbym się bać?
- Że będzie tobą rządził.

Nie odpowiedział. To wystarczyło za odpowiedź. Już nie przychodziło mu do głowy nic innego jak tylko prawda.

- Że to doprowadzi do czegoś paskudnego – ciągnął Winter.
- Nie, nie.
- Wiedziałeś, do czego to zmierza, Peter?
- Niby co?
- To, co miało się stać. Ten koszmar. Że otworzy się przepaść.

Mark milczał.

– I tak się stało – ciągnął Winter, pochylając się lekko do przodu. – Stało się wtedy i ciągnie się aż do teraz.

Mark obliznął wargi.

– On nie był sam – powiedział po chwili. – Jonatan nie był sam.

Ringmar i Gerda zostali wpuszczeni do gabinetu Mårtena Lefvandera. Siedział za biurkiem. Na złoto-zielonej tabliczce w bramie napisano: „Kancelaria adwokacka Bogard i Miessner”. Widocznie Lefvander nie był jeszcze tak zwanym junior partnerem. Na pewno nie był już juniorem, chociaż

jeszcze nie osiągnął wieku podeszłego, jak Ringmar. Młodszy od Wintera, starszy od Gerdy. Miał czterdzieści trzy lata.

Na ich widok wstał.

– Wpadliśmy do pana po drodze – odezwał się Ringmar.

– Dlaczego nie zadzwoniliście z dołu, z recepcji? – spytał Lefvander.

– To obowiązkowe?

– Tak się zwykle robi.

– Nie byliśmy pewni, czy pan już wrócił – odparł Ringmar.

Lefvander wyglądał na zdezorientowanego.

– Dziesięć minut temu przyjechałem z Landvetter.

– No proszę, jak się wstrzeliliśmy – powiedział Ringmar.

– O co chodzi? O Gustava?

No a o kogo? – pomyślała Gerda. To fascynujące obserwować, jak funkcjonuje ludzki umysł. Co ludzie mówią, a czego nie. Przecież o to chodzi w tej pracy. Żeby odróżnić socjopatów od reszty: mała grupka po lewej, duża po prawej.

– Możemy usiąść? – spytał Ringmar.

– Właśnie miałem jechać do domu, żeby się zobaczyć z Gustavem. To znaczy do Amandy.

– Gustav ma się dobrze – powiedziała Gerda.

– Rozmawiałam z nim godzinę temu.

– Czy to było konieczne? Przecież dopiero co wyszedł ze szpitala.

– Przywiozłam go stamtąd – powiedziała Gerda.

– Odwiozłem tam pańską byłą żonę – dodał Ringmar.

– Nic nie rozumiem – odparł Lefvander.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać.

– Niech pan siada – powiedział Ringmar. – My usiądziemy tutaj. – Podeszedł do kanapy. – Tak będzie dobrze.

– Nie rozumiem – powtórzył Lefvander.

– My też nie – stwierdziła Gerda. – Kim jest człowiek, który chciał z panem rozmawiać, kiedy Gustav odebrał telefon?

– Słucham?

– Był pan tam, ja też – przypomniał Ringmar. – I jeszcze mój kolega. Zadzwonił telefon, Gustav odebrał, wyświetlił się numer komórki Berséra.

– Wiem. No i?  
– Kto dzwonił?  
– A skąd ja mam wiedzieć? O co chodzi?  
– Człowiek, który dzwonił, chciał rozmawiać z panem  
– powiedziała Gerda.  
– Ze mną?  
– Niech pan przestanie po nas powtarzać – powiedział Ringmar.

– Powtarzać?

Lefvander odpowiadał machinalnie, nie słyszał.

– Ktoś zadzwonił na pański telefon stacjonarny. Zadzwonił również na komórkę?

Lefvander już chciał powiedzieć: „komórkę?”, ale powstrzymał się.

– Nie, co...

– Z komórki Jonatana?

– Na pewno nie dzwonił.

– Moglibyśmy zobaczyć pańską komórkę?

Lefvander miał taką minę, jakby chciał powiedzieć, że następne pytanie powinni skierować do jego adwokata. Chyba że sam chciał być swoim rzecznikiem. W takim razie można od razu kontynuować przesłuchanie, tu albo na komendzie.

– Tak, ale co...

– Ale co? – spytała Gerda.

– Nic. Dam wam komórkę. Teraz?

– Po przesłuchaniu – odparł Ringmar.

– To to jest przesłuchanie?

– Kiedy Gustav odebrał telefon, ten człowiek spytał o pana. Nie wiemy, kto to jest. Dlatego pytam jeszcze raz: kim jest ten człowiek?

– Nie wiem! Skąd miałbym wiedzieć?

– Gustav się go potwornie przestraszył – powiedziała Gerda.

– Ja też bym się przestraszył!

Lefvander znów wstał, jakby nie podlegał prawu ciężenia. Ringmar zerknął na okno. Zamknięte, Lefvander nie odleci.

– Człowiek, który chciał z panem rozmawiać, jest mordercą.

JONATAN NIE BYŁ SAM – Winter powtórzył po Peterze Marku. – Jak to nie był sam?

– Nie był sam w tym, co się stało – odparł Mark.

– A co się stało?

– Na przykład jeśli zrobili coś, za co... musieli potem zapłacić.

– Co zrobili?

– Nie wiem, przysięgam.

– Nie przysięgaj – powiedział Winter. – I tak ci nie wierzę.

Mark patrzył w ścianę obok niego. Nic tam nie było napisane, nic do odczytania. Sam musi coś wymyślić. Albo sobie ulżyć, opowiedzieć, jak było.

– Jonatan poznał dziewczynę – powiedział Mark ze wzrokiem wbitym w ścianę, jakby jednak coś tam było.

Winter kiwnął głową. No oczywiście, dziewczyna.

– Tyle wiem – dodał Mark.

– Jak się nazywała?

– Nie wiem.

– Poznałbyś ją?

– Nie... tak naprawdę nigdy jej nie widziałem.

– Co to znaczy?

– Kiedyś... przejeżdżali koło mnie samochodem. Jonatan udał, że mnie nie widzi. To był tylko ten jeden raz.

– Gdzie to było?

– Jak miałbym zapamiętać?

– Sięgając do pamięci.

Mark w milczeniu wpatrywał się w ścianę. Winter obejrzał się za siebie.

– Tam nigdy nic nie ma – powiedział. – Na tej ścianie nikt nigdy nic nie znajdzie.

– Skąd pan wie? – odparł Mark. – Nie jest pan ze Sztokholmu, prawda?

Hala targowa przy Hötorget miała zostać zamknięta za godzinę. Winter zwrócił uwagę na śmieszne wręcz ceny skorupiaków i kupił tureckiego burgera na wynos. Zawsze kiedy był w Sztokholmie, kupował sobie tureckiego burgera.

Wracając do hotelu, minął księgarnię akademicką przy Kungsgatan. Na wystawie poszukał wzrokiem nowej książki Ernsta Brunnera, ale nie było ani jednej. Pewnie to nie sezon, pomyślał. Trzeba poczekać do jesieni.

Z burgerem w papierowej torebce szedł Drottninggatan, na południe. Skręcił w prawo, w Bryggargatan. Na rogu Klara Norra Kyrkogata z cienia wychynęła kobieta. Spytała, czy „pragnie towarzystwa”. Wyglądała na przeszło siedemdziesiąt lat, jakby przetrwała od czasów przed wielkim wyburzeniem<sup>24</sup>, zapewne sponsorowana przez przyjaciół dzielnicy. Pokręcił głową i poszedł w dół, do Vasagatan. Czy ja wyglądam na klienta prostytutek? Do tego doszło?

Po drugiej stronie ulicy połyskiwał hotel Nordic Light. Co ja robię? – zastanawiał się. Nie mogę tak po prostu iść do pokoju. Wszedł po schodach na Klarabergsgatan. W sklepie monopolowym kupił butelkę ośmioletniej old pulteney, głównie dlatego, że dawno nie pił alkoholu z tej brytyjskiej destylarni, wysuniętej na północ najdalej ze wszystkich, ale również dlatego, że ta whisky o słonym, ziemistym smaku i zapachu morza znakomicie nadawała się na aperitif. Mógł się napić, zanim zje burgera.

Pokój był dostatecznie wysoko, żeby mógł podziwiać z okna charakterystyczne północne światło nad Kungsholmen. Miasto czerwieniło się na zachodzie. Czerwony i martwy, pomyślał. Wyglupiam się. Sztokholm żyje i umiera na wysokich obrotach, nie ma czasu na uśmiechy, ale niech będzie, wszystko zmierza

---

<sup>24</sup> W sąsiedztwie kościoła Świętej Klary na początku lat sześćdziesiątych rozebrano całe kwartały ulic, żeby na ich miejscu zbudować nowe centrum Sztokholmu.

naprzód, nie ma co się oglądać wstecz. Przeszłość należy do przeszłości, teraźniejszość też. Byle do przodu, pomyślał, popijając whisky z zamglonej szklanki, którą wziął z minibaru. Proszę, hotel ma klasę. Miejsce szklanki w minibarze zajął burger. Może go zje, kiedy poczuje głód, chociaż rzadko mu się to zdarza, jeśli zaczyna od whisky. Wystarczyły dwa centymetry, żeby poczuł czerwone ciepłko. Myśli mu się rozjaśniły, rozjarzyły, zrobił się lżejszy, lepszy.

Tworzyli paczkę, grupę. Było ich co najmniej czterech, może więcej. Jeszcze się okaże, chociaż już powinni wiedzieć.

Znów sobie nalał. Tylko na centymetr, niedużo. Butelka była spora, prawie nic nie ubyło. Na tym polega przewaga dużych butelek: pije się z nich mniej niż z małych. Bardzo dobrze.

Więc prowadzili jakieś zajęcia sportowe z myślą o czymś albo o kimś. Działali społecznie, jak większość ludzi na niższych szczeblach szwedzkiego sportu amatorskiego, ale nie był to żaden klub ani nic w tym rodzaju. Wydaje się, że robili to w tajemnicy, i to był jeden z problemów.

Zapewne były to treningi piłki nożnej dla młodszych chłopców, ale ilu było tych społeczników? Gdzie się odbywały? Kto je prowadził? Coś się stało i wszystko się skończyło. Przestali się spotykać, unikali się jak zarazy, wręcz uciekali przed sobą. Ilu ich zostało? Kto poza sprawcą? Co on chce powiedzieć policji, jeśli chce coś powiedzieć? A może nie? Wszyscy się boją, kto będzie następny? Wszyscy kłamią, robią uniki, zachowują się arogancko albo potulnie, jak udręczeni. To musiało być dręczenie. Stało się coś złego, raz, a może więcej, i tak wystarczy, kurwa, jakie to słońce na zachodzie jest piękne, całe niebo, najpiękniejsze w tym roku. W Göteborgu słońce zachodzi w mojej kuchni, nie na balkonie. Między Vasaplatsen i Sprängkullsgatan nie ma dość miejsca. Tutaj niebo jest większe, jak wszystko. Zdążyłem zapomnieć, że smak tej whisky utrzymuje się tak długo, że jest taki ciepły i uspokajający, naprawdę świetny. Nie trzeba wypić dużo. Manzanilla północy, pomyślał. Wstał i podszedł do okna. W dole przyjeżdżały i odjeżdżały taksówki. Albo wracają do domu, albo z niego wychodzą. Mam uczucie, jakbym tylko ja tu



był. To chyba dobrze. Zaraz zadzwonię do Angeli. Muszę porozmawiać ze wszystkimi trzema. Nie domyśli się, że piłem. To niemożliwe. Wypiję jeszcze porcyjkę, i tak nie pozna po głosie. Mogę udawać, jak wszyscy, albo być sobą. Kurde, jestem sobą, zawsze, wiadomo.

Nalał sobie jeszcze troszeczkę. Po butelce nie było nic widać, istne czary. Jestem czarodziejem. Podniósł do góry szklanekę, patrzył przez nią na zachodzące słońce. Sztokholm nabral bursztynowej barwy i stał się w ten wspaniały majowy wieczór jeszcze piękniejszy. Może i jest to cudowne miasto do życia. Kim on jest, żeby o tym przesądzać. Jeśli nie chce, nie musi pedałowac po tutejszych ulicach. Mógłby zaryzykować i pójść do Wasahof. Skorupiaki i tak pochodzą z portu rybackiego w Göteborgu. Potem mógłby pochodzić po ulicach, parkach i tarasie Astrid Lindgren, i spróbować zrozumieć, co się stało i dlaczego. W Marbelli poczyta dziewczynkom jej książki. Elsa umie czytać, ale chce, żeby on jej czytał. Jej ulubiona książka to Bracia Lwie Serce. Lilly lubi Dzieci z Bullerbyn, on też. I jeszcze Mio, mój Mio. We wszystkim, co napisała Astrid Lindgren, jest cień smutku, i dlatego to takie dobre. Wypił trochę. Te książki są po prostu najlepsze, zostaną na zawsze.

Nagle przyszła mu na myśl Siv, mama. Zawinęła się tak szybko. Jednego dnia T&T, następnego już nic. Brak mi ciebie, pomyślał. To chyba z Ronji, córki zbójnika. Nie mógł sobie przypomnieć. Znów pomyślał o matce. Potem o ojcu. Nie chciał o nim myśleć, nigdy, ale coś wołało do niego, może on sam: myśl, myśl, tylko tyle możesz zrobić, tylko to ci może pomóc. A w życiu, pomyślał, sięgając po butelkę. Nie wypił nawet jednej trzeciej, wciąż był na etapie przedobiedniego słodowego drinka. Tymczasem obiadowy burger leżał spokojnie w minibarku, a on pił sobie aperitif razem z mamą. Będzie tak robił aż do śmierci. Co się stało w domku do zabawy i potem w jego pokoju? Nic. Bengta tam nie było. To jakieś fantazje. Nic się nie stało. A jednak coś się stało, były jakieś krzyki, uderzenia, ból. To było, kiedy był dzieckiem, ale nie dawało mu spokoju, wciąż narastało. Ulżyło mu, gdy Bengt uciekł do Hiszpanii. On stał się wreszcie dorosły. Został policjantem.

Zobaczyli się jeszcze raz. Przypomniała mu się bugenwilla rosnąca pod szpitalnym oknem. Teraz też tam kwitnie. Niedługo ją zobaczy, kiedy już wszystko wyjaśni. Wsiądzie do samolotu, a potem będzie patrzył na kwitnące kwiaty.

Zadzwoił telefon na nocnym stoliku.

Postawił szklankę na wąskim biurku, podszedł do łóżka i podniósł słuchawkę.

– Winter, słucham.

– Cześć, mówi Dick.

– Cześć.

– Co robisz?

– To co zwykle, myślę.

– Dasz się zaprosić na kolację?

– Kurde, już jadłem.

– Już?

– Tak.

– I zdaje się, że wypileś trochę wina.

– Nie, ani kropli. Nie potrafię myśleć po winie.

– Okej, nie ma sprawy. To może jutro wieczorem?

– Jeśli jeszcze tu będę. Zależy od Marka.

– Rozmawiałem z prokuratorem. Moglibyśmy go jeszcze trochę potrzymać.

– Jutro się przekonamy – odparł Winter.

– No to niech ci się dobrze myśli, a potem dobrze śpi – powiedział Benson.

Niech się dobrze myśli. Winter odłożył słuchawkę. Ciekawe, jak długo jeszcze będą telefony w pokojach. To przeszłość. No to zastanówmy się. Niech spłyną na nas myśli. Podszedł do biurka i sięgnął po szklankę. Zostało jeszcze całe mnóstwo whisky. Prawie nic nie wypił z tej szklanki, a jak się skończy, no to się skończy.

Słońce już znikło za domami na Kungsholmen. Sztokholm odwrócił się od słońca. Nic nie wiedział o Kungsholmen, nie przypominał sobie, żeby tam kiedykolwiek był. Może powinien włożyć buty, przejść przez most i pochodzić po tamtejszych

ulicach. Kuuungsholmen, pomyślał, wyspa króla. Jedyne król, jakiego mamy w Göteborgu, to Gustav II, ale on chyba nie był z Göteborga?

Pogrzebał plastikowym widelcem w klopsikach z cukinii. Wchodziły w skład tureckiego burgera, obok mięsa i gołąbków w liściach winogron, ajwaru, cebuli i całej reszty. Podniósł klopsik i odłożył z powrotem na tekturowy talerz, który widocznie też mu dali, kiedy kupował burgera, chociaż wcale tego nie pamiętał. Jak on to przyniósł, na głowie? Cha, cha, nie byłoby to zbyt stosowne, cha cha. Nieproofieszjo nalne, pomyślał. Cholesz terol szmolesz te rol, pomyślał. Nie, nie, to jest bardzo zdrowe, kurde, że też od początku byłem taki najedzony. Jak to możliwe? Przecież zjadłem tylko kawałek bakłazana, gołąbka i kawałek bułki. Trzeba po prostu zebrać to wszystko i wstawić do lodówki. Zje w nocy, kiedy już skończy z myśleniem. Która to... Spojrzał na zegarek, po jedenastej. Zostało jeszcze dużo czasu na pracę. Na ulicy cisza. O ile mógł się zorientować, taksówki już się uspokoiły. W godzinie duchów znów się ożywią. Wtedy wyjdą wszystkie duchy. Przypomniała mu się kobieta, którą spotkał na ulicy. To było wieczorem? Szukała towarzystwa. Wszyscy chcemy towarzystwa, i jeszcze róży na długiej lodydze. Rozejrzał się po pokoju za jakimś kwiatkiem, nie było żadnego. Następnym razem poprosi, żeby były. Która to godzina? A właśnie, jedenasta. Przyszedł zaraz po szóstej i chyba musiał na chwilę przysnąć. Może myślał przez cały ten czas? Rozejrzał się za notatkami, ale nic nie było. Żadnego notesu. Laptop otwarty, ale niewłączony. Nie pamiętał, czy go włączał. Zachciało mu się pić. Poszedł do łazienki i nalał wody do szklanki. Stała tam jeszcze jedna. Podniósł ją, pusta. Butelka stała koło telewizora. Jeszcze była w niej whisky. Dlaczego miałoby nie być?

BŁĘKITNE ŚWIATŁO EKRANU rozświetlało pokój. Winter wpatrywał się w twarz chłopca. Była na dwóch filmach. Właściwie tylko mignęła, żeby znów wrócić. Nie rozpoznał twarzy żadnego z pozostałych dzieci. Pojawiły się tylko raz, w ogrodzie Bersérów. Ta twarz była na jeszcze jednym filmie, na tym, który znaleźli w mieszkaniu Matildy Cors. Ogród był inny, ale to musiało być w tym samym czasie. Chłopiec miał może dziesięć lat. Tak jak pozostałe dzieci w ogrodzie Bersérów, był członkiem nieoficjalnej grupy, nieoficjalnego klubu. Co to za klub? Był i zniknął. Oni wszyscy byli i zniknęli, żeby potem pojawić się z foliowymi torbami na głowach. Robert, Jonatan, Matilda, Johan, R, O, I, A. Znalazł kawałek papieru i długopis. Przeształ litery na papierze, potem na laptopie, wycinał i wklejał, kasował i wpisywał. Znów się wpatrzył w tę dziesięcioletnią twarz. Czy potrafi ją rozpoznać po dwudziestu latach? Tak, miał coś takiego w oczach. Nie patrzyły w obiektyw, ale coś w nich było. Jakby wiedziały, pomyślał. Jakby ten chłopiec już wiedział.

Poszedł do łazienki, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Najpierw puścił letnią wodę, potem gorącą, potem zimną. Wyszedł, wytarł się starannie, wrócił do pokoju i wyciągnął z torby czyste kalessony. Butelka nadal stała na biurku. Poczł niesmak. Złapał ją, wrócił do łazienki i wylał to gównno do umywalki. Dobrze zrobił! Poczł w głowie jasność. Teraz tak zostanie.

Napisał cztery litery, po jednej na każdej kartce. Wyrwał je z notatnika i rozłozł na pustym biurku:

R O I A

nie

A R I O

nie

R I O A

nie

A O I R

nie

A R O I

A R O I

Przyjrzał się tej kombinacji.

A R O I

Wymówił.

Coś mu to przypomniało.

Coś znajomego, gdzieś to słyszał albo czytał.

Rozłożył litery w większych odstępach:

A R O I

Wymówił je szybko.

Potem powoli.

Dołożył do nich inne litery.

Powiedział: AMARONE.

Nie, nie ma I.

IMARON

Nie, to grecka mitologia, coś z Apollinem.

M, tam musi być M, potrzebne mu M.

ARMOI

nie

MAROI

może

MARIO

Całe imię, za dobrze.

MARONI

Znów jak w greckiej mitologii, ale nie.

MARCONI

Zobaczył.

MARCONI

Zobaczył.

MARCONIPLAN

Nie mylił się.

Ja się nie myłę.

Brakuje trzech liter do MARCONI.

Brakuje siedmiu do MARCONIPLAN.

To niemożliwe.

Trzy ciała.

Siedem ciał.

Nie ma tylu ofiar.

Na nocnym stoliku Ringmara zadzwonił telefon.

Była druga w nocy, ale nie spał. Podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

– Marconi – powiedział Winter.

– Słucham?

– On do nas pisze, że Marconi. M-A-R-C-O-N-I.

– Skąd wiesz, Eriku?

– Wiem, popracowałem nad tym. Wiem.

– Czy ty jesteś trzeźwy?

– Prawie.

– Sądząc po głosie, nie do końca.

– Dlatego powiedziałem, że prawie.

– Marconi – powtórzył Ringmar.

– Pasuje – powiedział Winter.

– Do czego?

– Do wszystkiego, taką mam nadzieję.

– Czyżby przyszedł czas na nadzieję?

– To się wiąże z tym miejscem, z Parkiem Marconiego. Albo z tym, co jest pod spodem. Marconiplan.

– Jedno z morderstw popełniono w pobliżu, chociaż niedokładnie tam, a pozostałe są rozrzucone po całym mieście. W dodatku jedno miało miejsce w Sztokholmie.

– Hala z lodowiskiem – powiedział Winter. – Dawniej było tam coś innego.

– Owszem, Marconiplan, sam tak powiedziałaś. Boisko dla drużyn podwórkowych.

– Marconiplan zamienił się w Park Marconiego.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Ringmar.

– Tam przychodzili – powiedział Winter. – Jakbym ich widział.

– Może to od whisky – zauważył Ringmar. – Wiesz, że whisky ma właściwości halucynogenne.

– Byli tam – upierał się Winter.

- Kto?
- Faceci z paczki.
- Tej martwej paczki?
- Inni też.

Znów uciekli się do metody. Winter poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Marconi... w takim razie miałyby dojść do jeszcze trzech morderstw – powiedział Ringmar.

– Tak, taki był początkowy plan.

– Co masz na myśli?

– Słowo ma siedem liter, może jest siedem potencjalnych ofiar. Trzeba przyjąć takie założenie. Siedem morderstw. Ale nie wydaje mi się, żeby do nich doszło.

– Dlaczego?

– Bo już wiemy.

– Dlaczego miałyby się powstrzymać?

– Bo myśli, że już wiemy.

– Dlaczego miałyby tak myśleć?

– Bo my to my. Bo umiemy czytać i liczyć.

– Jak mamy przewidzieć następny atak?

– Mamy jego twarz – odparł Winter.

– Chłopca z tych filmów – powiedział Ringmar.

– Na pewno jest też na innych filmach.

– A gdzie one są?

– Trzeba poszukać po domach – powiedział Winter.

– Może w szkolnych albumach?

– Myślałem o tym, ale to by było jak w Teheranie, kiedy tysiące ludzi próbowały sklejać twarze z pociętych w niszczarce dokumentów ambasady amerykańskiej.

– Czy przypadkiem w końcu im się nie udało odtworzyć jakiejś twarzy?

– Bertilu, nie mamy tyle czasu. Sprawa jest pilna.

– Dlaczego pilna?

– Nie starczy mu sił.

– Ale teraz odpoczywa – powiedział Ringmar.

– Przed ostatnim zadaniem. Ładuje baterie. To będzie ostatnie, tak sądzę. Zadowolili się pięcioma ofiarami.

Wiadomość trafiła gdzie trzeba, a miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, zostało rozpoznane.

– Któraś z jego ofiar mogła umrzeć, przeprowadzić się na drugi koniec świata, uciec – zauważył Ringmar.

– Oczywiście.

– Jest jeszcze w Sztokholmie?

– Nie, w Göteborgu.

– Jak go znajdziemy?

– Jutro będę dalej przesłuchiwał Marka. Może coś powie.

– A co ja mam robić?

– Porozmawiaj z rodzicami Matildy Cors. Wydaje mi się, że znała Berséra.

– Skąd?

– Mark wspomniał o jakiejś dziewczynie, którą poznał Bersér. Może to ona.

– Nasz sprawca wróci na lodowisko? Na Marconiplan?

– Tak.

– Tam nie ma monitoringu.

– Wróci.

– Masz halucynacyjną pewność?

– Nie.

– Mieszka w pobliżu?

– Codziennie patrzy na to miejsce z okien. Dla niego Marconiplan wciąż istnieje. Wszyscy zamordowani mogli widzieć z okien miejsce swojej przyszłej kзни.

– Aha, jest i symbolika.

– Symboliczny fakt.

– Co oni robili na tym boisku?

– Prowadzili jakieś treningi.

– Żaden klub nie prowadził tam treningów dla młodzików.

– Bo to nie był klub.

– Jak długo to trwało?

– Niedługo.

– Dlaczego to robili?

– Działalność społeczna – odparł Winter.

– Tak to traktowali?

– W pewnym sensie.



- Chodziło im o coś jeszcze?
  - Nie od początku.
  - Był jedynym skrzywdzonym?
  - Tego nie wiemy.
  - Gdzie to się stało? Jeśli doszło do molestowania?
  - Nie na Marconiplan. Ale tam się zaczął ten koszmar. Bez Marconiplan nic by się nie stało.
  - Więc gdzie?
  - Na wycieczce – powiedział Winter. – Pojechali na wycieczkę. Z noclegiem. Wystarczył jeden nocleg.
  - Na wycieczkę za miasto?
  - Gdzieś niedaleko – powiedział Winter. – Do ośrodka szkoleniowego czy coś takiego. To miejsce może istnieć do dziś.
  - Domki – podpowiedział Ringmar.
  - Też. Pewnie do wynajęcia.
  - W lesie?
  - Myślę, że nad wodą.
  - Dlaczego?
  - Dzieci chcą się kąpać.
  - Nad morzem?
- Winter próbował wyobrazić sobie tę scenę, końcową scenę. On tam będzie, to będzie tam.
- Tak, nad morzem – odparł.

POJECHAŁ TAM. Pojechał tam. Wcześniej był absolutnie przekonany, że to niemożliwe, wiedział to. A jednak się odważył. Sam sprawił, że stało się to możliwe.

Dom był opuszczony. Tak być powinno, inaczej byłoby strasznie. Był mniejszy, niż zapamiętał, ale wiedział, że często tak bywa. Wspomnienie nie wyblakło, z biegiem lat zrobiło się wyraźniejsze, wręcz go przerosło. Dzięki ci, Boże, za to. Trzymał się z dala, ale dosyć tego. Oto jest rok zerowy, by tak na to spojrzeć. Teraz wszystko zaczyna się od początku.

Do brzegu było dalej, niż zapamiętał. Przeszedł całą drogę, wtedy biegł. Nawet woda wydawała się opuszczona, jakby została zatruta.

Na niebie zaryczał samolot. Podniósł wzrok. Zobaczył maszynę odlatującą z Säve na południowy zachód. Nie pamiętał, żeby latały tam samoloty. Może ruch był wtedy mniejszy.

Woda była czarna, jak farba albo asfalt. Zanurzył ręce. Piekielnie zimna. Od tamtego czasu wciąż było mu zimno.

Przyprowadźcie go tutaj.

Nastawcie muzykę.

Gdzie są tamci?

Na dole, spoko.

Wtedy musiał być wieczór. Na pewno nie rano, bo chodziło o wieczorną kąpiel, lato było gorące. Jednych rzeczy się domyślał, inne odtwarzał w pamięci. Wrócił pod dom, ale nie chciał wejść, wołał go obejść. W oknach było ciemno. Wszystko wyglądało tak, jakby lada moment mogło się rozpaść. Dlaczego?

– GDZIE ZAZWYCZAJ BYWALI? – spytał Winter.

Była dziewiąta rano. Spał kilka godzin i obudził się, gdy Sztokholm znów zaczął się zwracać ku słońcu. Świeciło mocno przez hotelowe okno. Jeszcze raz wziął prysznic. Zadzwoił na Arlandę. W hotelowej restauracji wypił dwie filiżanki kawy i zjadł pół kajzerki z serem, otoczony przez uczestników zjazdu, którzy wydawali się jeszcze bardziej skacowani od niego, chyba członków Partii Centrum. Tuż obok siedziały dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Obgadywali kogoś. Nazwiska nie dosłyszał, jakąś kobietę zajmującą wysokie stanowisko w partii, może nawet najwyższe. Jeden z mężczyzn przyglądał mu się, jakby był celebrytą. Rozmawiali również o chrześcijańskich demokracjach. Nic o nich nie wiedział. Równie dobrze mógłby odpowiadać na pytanie, co mu wiadomo na temat Królestwa Niebieskiego.

Mark przyjrzał mu się, kiedy usiedli. Dokładniej niż on jemu.

– Zmęczony? – spytał.

– Gdzie bywali zazwyczaj? – powtórzył Winter.

– Kto?

– Twój nie-koledzy.

– Skoro tak pan to ujmuje...

– Gdzieś się spotykali z tymi dziećmi – powiedział Winter.

– Gdzie to się odbywało?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o Marconiplan – odparł Winter. – Tam się spotykali, prawda?

– Skoro pan tak mówi...

– Dlaczego, KURWA, nie może ci to przejść przez gardło?

Chyba mu pękło naczynko w oku, kiedy krzyknął. Mark aż podskoczył na krześle.

– Osłaniaz kogoś? – spytał Winter już spokojniej.

– Faktem jest, że cuchnie od pana wodą – powiedział Mark.

– Nie twój ZASRANY interes.

Ta kreatura zyskała nad nim przewagę. Przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Myślał, że jest już blisko, ale wciąż był daleko, od Göteborga i od Marconiplan, od odpowiedzi na pytania, od ofiary. To nie zmarli są ofiarami, tylko ich morderca. Był gotów przekraczać granice, żeby się dowiedzieć. Ten gnojek siedzący naprzeciwko niego już dostatecznie się naśmiał. Dziś jeszcze stąd nie wyjdzie. Dopiero kiedy uda się ujawnić coś nowego, coś dużego.

– Marconiplan – powiedział Winter.

– Już go nie ma – odparł Mark. – Nikt po nim nie płacze.

– Bywałeś tam?

– Nie gram w piłkę nożną. Nigdy nie grałem.

– I tak mogłeś bywać.

– Nie było po co.

– Jonatan bywał.

– Dlaczego miałby tam bywać?

– Zajmował się dziećmi, prawda?

Mark nie odpowiedział.

– To chyba godne pochwały?

Mark jakby się zaśmiał. Zabrzmiało to nieprzyjemnie. Wcześniej się tak nie śmiał.

– Czy ktoś cię szantażuje? – spytał Winter.

Mark drgnął. Jest. Winter zrozumiał, że sprawa jest poważniejsza, niż można by sądzić, niż on sam sądził.

– Szantaż? – powiedział Mark. – A co to takiego?

– Nie wiesz, co to szantaż?

– Nie w tym przypadku.

– Ktoś ma na kogoś haka. Chodzi o to, żeby człowieka zmusić do milczenia.

– W jakiej sprawie?

– Każdej, o którą cię pytałem.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie – powiedział Mark. Już się opanował. – Ludzie i tak zginęli.

– A jakie znaczenie ma dla ciebie?

– Żadnego – odparł Mark.

– Ty też możesz zginąć – powiedział Winter. – I to wkrótce.

W dniu, kiedy wyjdiesz tamtymi drzwiami. To znaczy dziś.

– Mogę wyjść?

– Możesz już iść.

Mark wstał. Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, jakby na całym świecie nie było takiego miejsca, do którego mógłby pójść.

– Dokąd pójdziesz?

– Pojadę do Göteborga.

– Żebyś tylko nie zniknął gdzieś po drodze. W każdym razie świadomie.

– Chce mnie pan nastraszyć?

– To ostrzeżenie.

– A pan dokąd pojedzie?

– Do Hiszpanii – odparł Winter. – Ale tobie nie wolno opuszczać kraju. – Przesadził, ale Mark raczej nie będzie tego sprawdzał u prokuratora.

Jadąc ekspresem na Arlandę, rozmawiał przez telefon z Anetą.

– Coś przeczuwaliśmy, kiedy tam byliśmy – powiedziała.

– Tam się najczęściej kręci. Wokół Marconigatan, Parku Marconiego, Mandolingatan, Frölunda torg.

– Właśnie miałem zadzwonić – odrzekł. – Rozmawiałem z komendantem wojewódzkim. Da nam tylu ludzi, ile trzeba, żeby pochodzili od drzwi do drzwi.

– Jakoś nie mam zaufania do portretu pamięciowego tego faceta – odparła. – Powstał na podstawie opisu twojego i Fredrika, ale dobrze wiesz, że może nas zaprowadzić na manowce.

– Jest podobny – zaproponował Winter. – Zawsze to lepsze niż nic.

Portret pamięciowy młodego mężczyzny, którego widzieli w hali z lodowiskiem. Aneta również go widziała, ale nie odważyła się zgłosić sugestii.

Portret nie przypominał chłopca z filmów. Oczywiście, po dwudziestu latach nie mógł, w dodatku widzieli go z pewnej

odległości. Winter zabrał ze sobą kolejne filmy. Obejrzy je w Hiszpanii.

– Zaczniście od osób samotnych – powiedział. – Gospodarze domów mają wszystkie dane, przecież wiesz. Poszukiwany na pewno jest człowiekiem samotnym.

– Też tak sądzę.

– W przeciwnym razie nie nadają się do tej roboty – dodał.

– Niemożliwe – odparła. – Kiedy wracasz?

– Za dwa dni.

– A nie jesteś w drodze na Arlandę?

– Owszem, ale lecę do Malagi.

– Okej.

– Aneto, muszę.

– Rozumiem. Naprawdę.

– To, że będę tam, nie oznacza, że rzuciłem robotę.

– No pewnie. Szefie, nie musisz się tłumaczyć.

– To... – Nagle okazało się, że nie wie, co powiedzieć.

Dojechali. Złapał torbę i wysiadł z pociągu. Właściwie miał lecieć do Hiszpanii z Göteborga, kilka dni później. Nie zawsze wychodzi tak, jak sobie człowiek zaplanuje, pomyślał, wjeżdżając ruchomymi schodami. Muszę wypić jednego w barze, może dwa. Jeszcze zdążę pomyśleć.

Zadzwoił z baru. Wokół było dość głośno, jak to w piątkowy wieczór. Ludzie rozmawiali w różnych językach, w dialektach z okolic Luleå, prowincji Halland, Västerås.

– Zmiana planów – powiedział, kiedy odebrała. – Ląduję o osiemnastej.

– Możesz wziąć taksówkę?

– Oczywiście. Zjemy w domu?

– A chcesz?

– Wolałbym.

– Potrzebujesz czegoś?

– Żyłetki mi się skończyły.

– Sprawdzę w łazience.

– Mogłabyś się postarać o jakąś dobrą rybę?

– Dziś po południu hala jest zamknięta, ale mogłabym spytać u Timonela.

– Kiedyś ci się udało.

– Poproszę o rodaballo<sup>25</sup>.

– Gdyby mogli dać, to jeszcze trochę boquerones<sup>26</sup> – dodał.

– Co za niespodzianka – powiedziała.

– Życie jest pełne niespodzianek. Rano, kiedy się obudziłem, sam jeszcze nie wiedziałem, że się wybiorę.

– Co cię skłoniło?

– Życie – odparł. – Jest za krótkie.

– Jesteś wstawiony?

– Nie, wypilem tylko jednego drinka w barze, T&T.

– Przyrzeknij mi, że nie wypijesz nic w samolocie.

– Okej.

– Elsa od razu wyczuje.

– Wiem, wiem.

– W domu mam wino.

– Wiem.

– Jak się czujesz?

– Właściwie to nie za dobrze.

– Myślę, że powinienes porozmawiać z Christerem z naszej kliniki. Najlepiej od razu jutro.

– Z tym nowym psychiatrą?

– Tak.

– Takim, co od razu przepisuje pigułki?

– Niekoniecznie. Za to dużo wie o depresji.

– Naprawdę?!

– Eriku, mam nadzieję, że to był żart.

– To był żart.

– Dobrze, że się zobaczymy.

– Już nigdy – powiedział.

– Nigdy się nie zobaczymy?

– Po tej sprawie. Nigdy więcej. Osobno.

– Kochanie, mówisz trochę od rzeczy.

Pił już trzeci T&T, tylko łycalek. Musi zachować ostrożność,

---

25 Hiszp.: turbot.

26 Hiszp.: sardele.

bo inaczej wróci stan upojenia. Najważniejsze to nie pić w samolocie. Spać i nie pić. Potrzebował snu. Ucieszył się, że zostało tylko jedno miejsce w klasie biznes.

– Mówię z pełnym przekonaniem – odparł.

– Kiedy będziesz musiał wrócić?

– Dwie noce – odparł, dyskretnie odsuwając od siebie szklanke.

– Opowiesz mi, jak przylecisz, jak wam idzie.

– Przełom – powiedział.

– Odpowiadasz coraz większymi skrótami – zauważyła.

Dosłyszał w jej głosie niepokój. To nie był żart.

– Boarding – powiedział. – Zadzwoń, jak wyląduję.

W taksówce do Marbelli czuł się wypoczęty. Spał przez całą drogę, nie wypił ani kropli.

Nieukończone szeregi budynków odcinały się od nieba nad Torremolinos, jak nieudane szkice Dalego albo Gaudiego. Kryzys przerwał Hiszpanom tę zabawę.

Zadzwoiła Aneta.

– Torsten dostał odpowiedź z Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego. Na kurtce i na kartonach jest ten sam kolor, odcień i tak dalej. Gustav musiał się kontaktować ze sprawcą. Albo jeszcze gorzej.

– Aneto, on tego nie zrobił.

– Możemy zadać to pytanie wprost.

– Daj mi pomyśleć. Oddzwonię. Cześć.

Poprosił kierowcę, żeby pojechał przez miasto północną trasą. Na San Francisco wysiadł i zszedł w dół, do Ancha. Pachniało gorącą oliwą, słońcem i solą. Znów był w domu, naprawdę.



Z CALLE ANCHA DOCHODZIŁY odgłosy awantury między dwoma kierowcami. Klócili się o to, który miał pierwszeństwo. Widocznie jest środa, bo w każdą środę o ósmej furgon ze świeżym pieczywem zderza się z dostawcą sherry. Taki już jest porządek, a może nieporządek rzeczy.

Przewrócił się na łóżku. Angeli już nie było. Słyszał, jak rozmawia z Lilly w kuchni. Poprzedniego wieczoru długo rozmawiał z młodszą córeczką, a jeszcze dłużej z Elsą. Siedzieli we dwoje do późna. Wymyślał dla niej historyjki o wiedźmach i czarodziejach. To się zawsze sprawdza. Nie chciała go puścić, kiedy ją uściskał na dobranoc. W końcu zasnął obok niej. Angela musiała go zaprowadzić do ich łóżka. Naopowiadał jej różnych rzeczy, ale nic z tego nie pamiętał. Na pewno nic nieprzyjemnego, raczej wprost przeciwnie.

– Tata! – zawołała Lilly, kiedy stanął na mozaikowej podłodze w kuchni.

– Jestem, córeczko. – Podeszedł i wziął ją na rękę. – Jestem z tobą.

– Zjesz jajko? – spytała Angela.

– Poproszę.

– Tata! – powtórzyła Lilly, lekko zdziwiona, że tata naprawdę jest.

– Lilly, nie idziesz dziś do pracy? – spytał.

– Nie, mam dzisiaj wolne – zachichotała.

– Całe szczęście, córeczko.

– Mama też ma wolne!

– A gdzie Elsa?

– Ma klasówkę! – odparła Lilly.

– Ojej, to chyba trudne.

– Wcale nie. Ja bym też umiała.

– Z czego ta klasówka?

Lilly spojrzała na mamę.

– Z geografii – odparła Angela.  
– Ja to umiem! – oznajmiła Lilly.  
– Okej, w jakim kraju leży Marbella? – spytał Winter.  
– To łatwe! W Hiszpanii!  
– A gdzie w takim razie leży Göteborg?  
– Łatwizna, w Szwecji!  
– Ty wszystko umiesz – powiedział, biorąc od Angeli kawę w porcelanowym białym kubku, białym jak światło za oknem, jak niewinna duszyczka Lilly, pomyślał.

Morze było spokojne, siódma fala nie nadpłynęła. Można było puszczać kaczki, śmigły nad wodą jak ptaki.

– Trzy! – zawołała Lilly. Udał jej się rzut nad samą powierzchnią.

– Ty wszystko umiesz – powtórzył.

Na Playa de Venus również było spokojnie. Tylko kilkoro kąpiących się nastolatków, tylko niektóre leżaki zajęte. Sezon jeszcze się nie zaczął, nadejściu upałów nie towarzyszyli turyści.

Rzut udał mu się nadzwyczajnie. Wręcz nie dało się policzyć, ile razy kamień podskoczył. Pomknął aż na wody międzynarodowe i dalej, w stronę Afryki.

– Ojej! – powiedziała Lilly.

– Rekord okręgu – stwierdziła Angela.

– Rekord świata. Mój jedyny rekord świata – powiedział Winter.

Siedzieli w Palms. On pił cruz campo, Angela zimną manzanillę. Lilly bawiła się na piasku dziesięć metrów dalej. Krzesła i stoły stały na piasku przed barem. Lilly krążyła między swoim placem budowy i pobliskim prysznicem. Brała stamtąd wodę.

– Jakoś smutno to zabrzmiało, że to twój jedyny rekord świata – powiedziała Angela.

– Naprawdę?

- Tak.
- W takim razie muszę go pobić. Żeby nabrał sensu.
- Żeby co nabrało sensu?
- Rekord oczywiście.
- A tak naprawdę mówisz o życiu, prawda? O swoim życiu.
- Rekord świata jako metafora życia, nieźle – zauważył.
- Ja mówię poważnie.
- A ja nie przyjechałem do domu, żeby być poważnym.
- Czasem rzeczy nie mają się tak, jak człowiek sobie wyobrażał – powiedziała Angela.
- Nie moglibyśmy po prostu posiedzieć i cieszyć się życiem?
- spytał. – Nie wspomniałem o pracy, prawda? I nie wspomnę. A niedługo znów mnie nie będzie.
- Więc milczenie?
- Ależ... – Urwał i odwrócił się na krzesło w stronę morza. Lilly właśnie wracała spod chybotliwego prysznica. Należał do starego świata, jak ten bar prowadzony przez małżeństwo starszych Anglików od dwudziestu pięciu lat, a może i dłużej, może zaczęli jeszcze w czasach, kiedy on był młodym człowiekiem z zachodniego wybrzeża Szwecji, a Angela młodziutką dziewczynką mieszkającą za żelazną kurtyną. Może dlatego ona kocha słońce jeszcze bardziej niż on. W NRD słońce było zakazane.
- A co potem? – spytała.
- Kiedy potem?
- Po tym, co teraz. Latem, jesienią. W przyszłym roku i tak dalej, i tak dalej.
- Nie wiem, Angelo.
- Czego nie wiesz?
- Proszę cię, nie naciskaj.
- Będziemy żyć tutaj czy w Göteborgu? Będziemy nadal mieszkać w śródmieściu czy wybudujemy sobie coś nad morzem? Czy nasza działka nad morzem też jest metaforą czegoś?
- Gdzie ten Jamie? – powiedział Winter, wstając. – Zasnął w magazynie czy co? Pójdę zamówić jeszcze jedno piwo.
- Ruszył w stronę baru. Byli jedynymi gośćmi.

– Nadal będziemy żyć osobno? – usłyszał. Ale może się przesłyszał, na pewno się przesłyszał. Nie odwrócił się. Bar był pusty, lada wypolerowana promieniami majowego słońca i wiatrem. Do diabła, gdzie się podział ten Jamie?

Wrócił z kolejnym piwem. Lilly siedziała przy stoliku.

– Mnie też chce się pić – powiedziała.

– A co byś chciała?

– Napój pomarańczowy.

– Dobrze, ale tylko dlatego, że jest środa – odparł, a Lilly zachichotała.

– Angelo?

Patrzyła na spokojne morze. Niebo nad ich głowami było przeraźliwie niebieskie. Odwróciła się do nich.

– Słucham?

– Jeszcze jeden kieliszek?

– Nie, nie.

– Wiesz, już jest po dwunastej. It's noon in Miami.

Nie odpowiedziała.

– Co to jest Miami? – spytała Lilly.

– To żart o pewnym pisarzu, który nigdy nie pił alkoholu przed dwunastą w południe. Ale pewnego dnia to zrobił, choć nie było dwunastej, i ktoś spytał dlaczego, skoro mówił, że do południa nie pije, a on odpowiedział: It's noon in Miami. To znaczy, że w Miami jest dwunasta. To takie miasto.

– Aha – powiedziała Lilly, ale bez przekonania.

Nikogo nie przekonał, zwłaszcza własnej rodziny. Co za idiotyzm, żeby opowiadać taką historię swojemu dziecku. Wszystko przez to, że Angela nie odpowiedziała. Dlaczego ona nie odpowiada? Nie po to rzuciłem wszystko i przyleciałem tu ze Sztokholmu.

– Pójdę po picie – powiedział i ruszył do baru. Może tam zostanie. Skończy z bieganiem tam i z powrotem, będzie stamtąd patrzył, jak umiera słońce.

– Tatusiu, do południa chyba nie będziesz pił piwa? – odezwała się za jego plecami Lilly. – Mamo, nie będzie, prawda?

Poszli w górę, do Ataranzanas, żeby kupić grillowanego kurczaka, a u faceta na rogu sos chimichurri. Przeszli przez wiszący most Santo Cristo del Amor, Chrystusa miłosiernego. Lilly spała w wózku pod osłonką. To był najgorętszy dzień w roku. Upały przyszły wcześniej, razem z nim. Było po dwunastej. Drzewka bonsai szukały cienia pod mostem.

– Mam wrażenie, jakbyśmy byli w fazie swobodnego spadania – odezwała się cicho. W rzadkim powietrzu słyszał ją wyraźnie. Szum w uszach został wchłonięty przez szum morza. Już myślał, że zostawił go na plaży, ale to świństwo znów się zaczęło. To przez nią. Nie mogliby jeszcze przez chwilę pomilczeć, nic nie mówić, nie myśleć, tylko żyć?

– Nic nie rozumiem, Angelo.

– Fakt.

– Co ja mam zrozumieć?

– Potem o tym porozmawiamy.

– Najpierw mówisz coś zdumiewającego, a potem nie chcesz o tym rozmawiać.

– I tak nie rozumiesz.

– Więc pytam. Wytlumacz mi.

– Nie możemy dalej żyć w ten sposób, tylko to mówię.

– Przecież nie będziemy! To chwilowe.

– Ty i tak zrobisz, co zechcesz – powiedziała. – Zawsze robisz to, co chcesz.

– Myślałem, że razem podejmujemy decyzje – odparł. Naprawdę tak myślał. Nic nie rozumiał. – Nie jest tak?

RINGMAR STAŁ NA BELLMANSGATAN. Rzadko tam bywał, a jeśli już, to po to, żeby skrócić sobie drogę z Hagaparken do restauracji Lai Wa. To Winterland. On czuł się tam nieswojo. Z prywatnego liceum po drugiej stronie ulicy wylewał się strumień wesołych młodych ludzi, pewnych siebie i swego przyszłego sukcesu. To również Winterland. Erik chodził do tej szkoły, założył tam klub jazzowy, no jasne. Jak ja zdałem maturę, to ojciec akurat nie miał dla mnie czasu, a matka siedziała w domu wariatów i nasłuchiwała głosów w swojej głowie, ale impreza u Ronny'ego była świetna. Przyniosłem ze sobą butelkę likieru kakaowego, jak brązowe złoto. Jego brat kupił mi w sklepie. Te dzieciaki uciekłyby z imprezy Ronny'ego. Bertilu, nie bądź taki. Wszystko ma swój czas, a twój się skończył.

Nacisnął dzwonek obok tabliczki z nazwiskiem Cors: tak, to ja, komisarz Ringmar. Oczekiwali go. Odezwał się brzęczyk otwierający drzwi. Słońce sprawiło, że hall wydawał się pogrążony w czarnym cieniu. Wspiął się po starych kamiennych schodach, wyszlifowanych przez pokolenia chodzących po nich zamożnych mieszczan. Bertilu, to nie miejsce na klasową zawiść. Zawsze byłeś zawodowcem, bądź też nim przez ten czas, który ci pozostał w prawdziwym życiu. Potem sam możesz zostać zamożnym mieszczaninem, kupić sobie mieszkanie w Winterlandzie, zacząć nosić kapelusz...

Bengt i Siv czekali na niego. Przyzywiali się uprzejmie. Trochę to było niesamowite. Nie zdążył poznać Bengta Wintera, ale uważał się za zaprzyjaźnionego z Siv Winter. Był nawet na jej pogrzebie w Marbelli, zaledwie kilka miesięcy temu. Teraz wszystko dzieje się tak szybko. Dotychczas życie toczyło się na zwolnionych obrotach i nagle pod koniec przyśpieszyło, akurat teraz. Cholernie zabawne, cha, cha. Pan Bóg ma poczucie humoru. Nieżył z niego kawalarz, lepszy nawet od Lenniego

Normana. Kiedyś w Rubinen poznałem jego ojca. Byłem wtedy w mundurze, cholera, co ja tam robiłem? Sympatyczny gość ten Charlie. Bengt Cors wygląda sympatycznie, jego żona też. Poszła w głąb mieszkania, nie, apartamentu. Tutaj są apartamenty. I tak im to nic nie pomoże. Nic im nie pomogło, tym-razem-nic-im-nie-pomoże. Może pomogłoby pocieszenie, może ja jestem pocieszycielem, może znam odpowiedzi, które im pomogą, ale czasem i to nie pomaga. Zresztą ja nie znam żadnych odpowiedzi, same pytania.

Poszedł za Corsem do pokoju. Pachniało skórą i octem winnym. Przyszedł mu na myśl ocet winny. Może zanim przyszedł, wypili sobie po kielichu. Sam by tak zrobił. Kto byłby w stanie na trzeźwo zmierzyć się z taką prawdą?

Ale Cors wyglądał na trzeźwego.

– Czy moja żona musi brać w tym udział? – spytał.

– Nikt nic nie musi – odparł Ringmar.

– Dziękuję. – Cors otwartą dłonią wskazał na wysiedziany skórzany fotel. – Proszę usiąść. Mogę pana czymś poczęstować?

– Nie, dziękuję.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, że ja się napiję?

– Skądże.

Cors podszedł do stołu stojącego pod ścianą. Stały na nim butelki, kieliszki i karafki. Takie rzeczy widuje się tylko na filmach, i to tylko niektórych. Prawdziwy barek. On też chciał mieć tak ustawione butelki. Podjął w życiu kilka prób, ale zanim się uzbierał barek, butelki zawsze okazywały się puste, bo przyszedł ktoś spragniony, na przykład Erik, a kiedyś przyszła cała zgraja... Fredrik, o Boże.

Cors nalał bursztynowego napoju z kryształowej karafki. Wrócił ze szklanką z grubym dnem. A więc whisky, bez lodu, więc słodowa.

– Niedobry zwyczaj – powiedział Cors, podnosząc szklankę.

– Codziennie po południu, od czterdziestu lat, wypijam po pracy taką szklaneczkę. I pewnie z tym nie skończę.

– Całkiem dobry zwyczaj – odparł Ringmar. – Ja mam gorszy.

- Czyżby?
- Zdarza się, że wypiję dwie szklaneczki.
- Nie wygląda pan na człowieka trunkowego, więc chyba nie jest tak źle. Ale proszę już usiąść.

Usiedli.

Cors popijał małymi łykami, a może tylko wdychał opary alkoholu. Ringmar pomyślał o Winterze.

Cors opuścił rękę ze szklanką.

– Co to za whisky? – spytał Ringmar.

– Cóż... nie jestem wielkim znawcą... od lat piję w zasadzie wciąż tę samą... – Cors spojrzął na karafkę. Nie było butelki, która udzieliłaby odpowiedzi. – Wydaje mi się, że Bowmore. Zwykle ją kupuję... chyba dwudziestojednoletnia...

Dyskretny urok burżuazji, pomyślał Ringmar.

– Mój kolega jest wielkim znawcą. Poznał go pan.

– Naturalnie – odparł Cors, jakby chodziło o rzecz zupełnie oczywistą. – Skomplikowany człowiek.

– Co to znaczy? – spytał Ringmar.

Okej, pociągnijmy to jeszcze trochę, pomyślał. Do córki jeszcze dojdziemy. On chce to zrobić po swojemu. Niech sobie jeszcze czas popłynie na zwolnionych obrotach.

– Pyta pan, co to znaczy skomplikowany?

– Wiem, co to może znaczyć – powiedział Ringmar.

– Pytanie, co znaczy w przypadku Erika.

– Człowiek złożony – odpowiedział Cors, wciągając w nozdrza zapach whisky.

Bowmore, „zaskakująco złożony”, tak powiedział Erik o dwudziestojednoletniej wersji. Zwykle gadanie snoba.

– Pęknięta osobowość. – Odstawił szklankę na stół i spojrzął Ringmarowi w oczy. – Pewnie się pan zastanawia, z jakiego tytułu to mówię, ale widzi pan, jestem psychiatrą. Wprawdzie na emeryturze, ale pracuję jeszcze dorywczo. Skrzywienie zawodowe.

– Skrzywienie, że pracuje pan dorywczo?

– Cha, cha.

– Złożony może również znaczyć wielostronny albo wielowymiarowy – odparł Ringmar. – To brzmi lepiej.



– Jest pan lojalny – zauważył Cors.  
– Czy to wada?  
– Nie, nie. Doradziłem pańskiemu koledze, żeby z kimś porozmawiał. O ile pamiętam, dałem mu nawet numer mojego kolegi.

Coś dużo tych kolegów, pomyślał Ringmar. Wszyscy dobrze życzymy innym ludziom.

– O czym miałyby rozmawiać z pańskim kolegą psychiatrą? – spytał.

– O tym, o czym teraz rozmawiamy.

– To znaczy?

– O piekle na ziemi, rzecz jasna – powiedział Cors, podnosząc szklankę do ust. Chyba była wyjątkowo ciężka, bo wyglądało na to, że ledwo starcza mu sił.

Usiedli na ławce pod kasztanem, przed sklepem z drobiem. Jedzenie rozłożyli na woskowanym papierze. Lilly przysypiała w wózku. Zjadła kawałek chleba i pół udka. Było upalne popołudnie. Winter oceniał, że jest około trzydziestu stopni, może więcej. Zanim wyszedł z domu, zmienił spodnie na szorty, i słusznie. W takich sprawach był dobry, w innych mniej.

– Powiedz tak, żebym zrozumiał – powiedział.

– Od tego, że nagle rzucasz się do samolotu, żeby do nas przyjechać, nie będzie lepiej.

– Byłem w desperacji.

– No to mów o tym!

– Właśnie to powiedziałem. Byłem w desperacji.

– Nie możesz teraz wracać do Göteborga.

– Muszę, Angelo.

– Do cholery, pracują tam jeszcze inni! – Spojrzała na Lilly. Akurat patrzyła na ptaszka skaczącego po chodniku.

– Przyleciałeś tu, żeby się ratować. To była desperacja. Weź zwolnienie i zostań.

– Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że już nigdy nie wrócę do pracy.

– No i dobrze – odparła.

– Angelo, nie mogę odejść w ten sposób. Zrozum. Nie mogę. Tak się nie da.

– A w jaki sposób możesz odejść? Chcesz tego? Czy to w ogóle możliwe? Czy za daleko zaszło?

– O czym ty mówisz? – zdziwił się.

– O bardzo wielu rzeczach – odparła. – O tym, co się z tobą porobiło. Z nami.

– Z nami nic się nie porobiło.

Nie odpowiedziała, bo na to nie było odpowiedzi. Trafiła w sedno, pomyślał. Nawet idiota by zrozumiał. Wiem, o co chodzi, ale nie mogę tego powiedzieć. Dlaczego?

– Okej, porozmawiam z Christerem. Choćby jutro rano.

Milczała. Wyciągnął do niej rękę. Teraz ona powinna wyciągnąć swoją. Tak się to powinno odbywać.

– Zostanę jeszcze jeden dzień. Albo dłużej. Wiem, że dobrze mi to zrobi. Może czegoś potrzebuję. Na początek.

Co jeszcze miał powiedzieć? Coś powinien.

– Zadzwoń do niego – odparła. – Nie wiem, co jutro robi.

– To zadzwoń teraz, od ręki.

Poczuł, że ogarnia go niepokój, jak wiatr pojawiający się nagle, znikąd. Chciałby od razu udać się do psychiatry Christera Anderssona, wstać i szybkim krokiem pójść przez miasto, pobiec, popędzić na własną egzekucję, ucieszyć wszystkich, rozplątać wszystkie supły.

Przy ich ławce zatrzymała się kobieta, około trzydziestoletnia, na oko schludna i czysta, ale z dzikim spojrzeniem.

– Mogłabym dostać kawałek kurczaka? – spytała.

– Proszę bardzo, może pani wziąć wszystko, co zostało – odparł, wstając.

– DAWNIEJ PODCHODZIŁEM DO ŻYCIA jak do czegoś oczywistego, do czegoś, co się rozumie samo przez się – powiedział Cors. – A teraz już nic nie wiem.

Ringmar milczał. On również nie umiałby powiedzieć, czym jest życie. Życiowe straty, jakie poniósł, były wprawdzie poważne, ale nikt mu nie umarł, nikt nie został zamordowany.

– Co za straszna nienawiść – ciągnął Cors. – Ile ja o tym rozmyślałem, nie mogłem spać po nocach. I płakałem, to oczywiste. Kto aż tak znienawidził moją córeczkę? Dlaczego? To nie jest pytanie do pana, po prostu pytanie. Chyba nawet nie chcę znać odpowiedzi. Zresztą nikt jej nie pozna.

– My ją poznamy – powiedział Ringmar.

– Rutynowa odpowiedź.

– Nie. Normalnie powiedziałbym, że prawdopodobnie ją poznamy. Tym razem jestem pewien.

– Paskudnie to zabrzmiało.

– Jesteśmy coraz bliżej – odparł Ringmar.

– Co to znaczy?

– Dochodzenie się rozszerza i jednocześnie zacieśnia.

– Ciekawe. Ciekawe wyrażenie.

– Jesteśmy bliżsi wyjaśnienia niż wtedy, kiedy spotkał się z panem mój kolega.

– Przesłuchaliście jeszcze raz jej byłego narzeczonego?

– Nie.

– Dlaczego?

– Przesłuchamy, jeśli okaże się to potrzebne.

– Temu człowiekowi nie należy ufać.

– Akurat teraz cofnęliśmy się w czasie o dwadzieścia dwa lata, może dwadzieścia jeden.

Cors zastygł ze szklanką w ręku, jakby chciał sobie przypomnieć te lata, gdy życie wydawało mu się zrozumiałe samo przez się i gdy wszystko wydawało się możliwe, zwłaszcza

dla jego córki.

– Wydaje nam się, że pańska córka poznała wtedy pewnego chłopaka, rówieśnika. Może to dlatego ta historia tak się skończyła.

– Skończyła? Ma pan na myśli morderstwo?

– Tak. Morderstwa.

– Właśnie, było ich więcej.

Cors odstawił szklanę, chociaż nic nie wypił.

– Kogo wtedy poznała? – spytał Ringmar.

– Poproszę o więcej szczegółów.

– Dwadzieścia dwa lata temu, na początku lat dziewięćdziesiątych. Matilda miała około dziewiętnastu lat.

– Mieszkała jeszcze w domu – powiedział Cors.

– Przedstawiła panu jakiegoś mężczyznę?

– Tylu... ludzi tu się przewinęło – odparł Cors.

– Prowadziliśmy dom otwarty, prawie codziennie przychodzili młodzi ludzie, chłopcy i dziewczyny. Matilda ich nie przedstawiała, nie byłoby końca.

– Miała chłopaka?

– Umie pan prowadzić przesłuchanie, to widać – zauważył Cors. – W zasadzie również moja praca polega na zadawaniu pytań.

– Przedstawiła panu jakiegoś chłopaka?

– Wydaje mi się, że tak. Pan wybaczy, powinno się pamiętać takie rzeczy, ale nie jestem pewien. Chyba było ich kilku... potrzebowałbym jakiejś daty, żeby to przybliżyć, chociaż pory roku.

– Wiosna – powiedział Ringmar. – Wiosna, wczesne lato, jak teraz. Powiedzmy dziewięćdziesiąty pierwszy rok.

– Wiosna dziewięćdziesiątego pierwszego? Hmm...

– Co takiego?

– Często jej wtedy nie było w domu.

– Nie było?

– Tak... to była chyba końcówka liceum. – Ręką ze szklaną wskazał na okno. Ringmar zobaczył błękitne niebo, miedziany dach i dwa kominy. – Chodziła do szkoły przez ulicę. Liceum imienia Sigrid Rudebeck.

- Wiem.
  - A tak, pański kolega też tam chodził.
  - Co pan miał na myśli, kiedy pan powiedział, że często jej nie było?
  - Uczestniczyła w jakimś... projekcie, zdaje się. Nie pamiętam, o co chodziło. Chyba nie powiedziała. Ale to miało związek z tym chłopakiem.
  - Skąd pan wie?
  - Powiedziała mi o tym.
  - I co robili?
  - Nie pamiętam, już mówiłem.
  - Jak się nazywał ten chłopak? – spytał Ringmar.
  - Nie pamiętam nawet, jak wyglądał.
  - Ile razy go pan widział?
  - Jeśli dobrze pamiętam, raz.
  - Wymieniła jego imię?
  - Nie pamiętam.
  - Jeśli wymienię kilka imion, rozpozna pan?
  - Mogę spróbować, ale nie pamiętam. Mógłbym pana wprowadzić w błąd.
  - Mårten – rozległo się za plecami Ringmara.
- Odwrócił się.
- W otwartych drzwiach stała Siv Cors.
- Miał na imię Mårten.

Peter Mark wyszedł ze swego mieszkania przy Ankargatan w dzielnicy Majorna. Doszedł do Sångatan i poszedł na północ, do Amiralitetsgatan. Skręcił w prawo, przeszedł sto metrów, skręcił w lewo w Styrmansgatan i wszedł do Cafe Biscotti na rogu Allmänna vägen. Usiadł przy stoliku na zewnątrz. Wiał chłodnawy, ale nie zimny wiatr. Spojrzał na zegarek. Był przed czasem. Z kawiarni wyszła kobieta w białym fartuchu. Spytała, co podać. Zamówił małe latte. Już raz tam był, ale nie sądził, żeby go pamiętali. Nie był głodny. Odnosił wrażenie, jakby już nigdy nie miał odczuwać głodu ani pragnienia, w ogóle niczego. Tylko strach, sam strach. Przed tym, co zrobił. Co zrobili inni.

Co jemu zrobią.

Kelnerka przyniosła kawę. Postawiła szklanę na stoliku i wróciła do środka. Był sam. Znów sprawdził, która godzina. Już nie był przed czasem. Ulicą przeszło kilka osób, ale żadna z nich nie była tą, na którą czekał. Wyjął komórkę, nikt do niego nie dzwonił. Wypił łyk kawy. Gorąca, ale w sam raz. Na pewno dobra. Odstawił szklanę. Dwadzieścia lat temu nie było Szweda, który piłby kawę ze szklanki. Wiele się od tamtej pory wydarzyło. Za dwadzieścia lat może nie żyć. Albo za dwadzieścia minut.

Poczekał dwadzieścia minut. Wszedł do kawiarni, żeby zapłacić. Wyszedł, przeszedł kilkaset metrów Karl Johansgatan. Skręcił w stronę rzeki, potem przeszedł przejściem podziemnym pod autostradą i poszedł dalej, do portu rybackiego. Spokój, mewy i resztki ryb. Słońce właśnie schowało się za dźwig mostowy po drugiej stronie zatoki. Popłynie tam wplaw. Zawsze lubił pływać. Woda jest zimna, ale mógłby spróbować. Usiadł na pomoście i usłyszał kroki. Odwrócił się. Nie ma obaw. Tamten nadal jest daleko, przy tablicy z napisem „Feskar-Brödernas”. Chyba nic nie trzyma w rękach.

Podszedł.

– Nie przyszedłeś do Biscotti – zaczął Mark.

– Mnie tu nie ma.

– Aha.

– Co im powiedziałaś?

– Nic.

– To będzie miało dalszy ciąg.

– Co?

– Nie zgrywaj idioty, Mark.

– Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział. Patrzył na Marka. Nie wyjdę stąd żywy, pomyślał Mark. Chcę żyć? W każdym razie do tej pory chciałem. Tamten podszedł i złapał go za kołnierz. Miał nad nim przewagę, zawsze będzie miał.

Poszli do Baru California na Calle Sol. Słońce już zachodziło. Po powrocie do domu Winter najpierw dzwonił, potem się

położył, żeby minutę odpocząć. Patrzył na poruszone wiatrem firanki. Zasnął i po dwóch godzinach obudziła go Elsa. Leżała obok i tuliła go jak dziecko.

Bar California zapełniał się stopniowo. Przeważnie miejscowymi, marbellianos, kobietami, dziećmi, mężczyznami. Izabella wskazała im stolik w głębi. Tam było najspokojniej, daleko od szumu samochodów na Severo Ochoa, chociaż akurat ten szum Winterowi nie przeszkadzał.

– Mogłabyś przynieść butelkę merseguery? – poprosił Izabellę w całkiem niezłym hiszpańskim. – A czego się napiją moje małe damy? – spytał, zwracając się do córek. Również po hiszpańsku.

– Ja nie jestem mała – odparła po hiszpańsku Elsa.

– Ja też nie – dodała Lilly.

Izabella się zaśmiała.

– Coś wymyślę – powiedziała. – Przyniosę napoje, trochę chleba, sardele i oliwki.

– Eee... – powiedziała Lilly.

Izabella znów się zaśmiała. Dobrze ją znali. Kilka razy przyszła do Angeli jako pacjentka, byli razem na kawie w mieście. Jej mąż był bezrobotny. Chodził z Winterem na długie spacery brzegiem morza.

– Jak nie lubisz sardeli, to znaczy że nie jesteś duża – powiedziała Elsa do siostrzyczki.

– Ja nie lubię oliwek, tych zielonych!

– Przyniosę czarne – powiedziała Izabella, odchodząc.

– Uwieeeeelbiam Bar California – oznajmiła Lilly.

Wszyscy się roześmiali.

– Co byśmy zrobili bez Baru California? – zauważył Winter.

– Uwieeeeelbiam Timonela – zadeklarowała Elsa, naśladując ton siostrzyczki.

– Co byśmy zrobili bez Timonela? – powiedział Winter.

– Dwie najlepsze restauracje na świecie – stwierdziła Elsa.

– Chyba masz rację, córeczko.

– A w Göteborgu są restauracje? – spytała Lilly.

– Oczywiście.

– A my musimy do nich chodzić?

- Co masz na myśli?
- Ja chcę chodzić do restauracji tylko w Marbelli.
- Rozumiem.
- Tatusiu, czy ty wrócisz do Göteborga?
- Chyba będę musiał. Ale nie na długo.
- Dlaczego?

Angela się nie wtrącała. Pomachała przyjacielom siedzącym kilka stolików dalej, hiszpańskiej rodzinie takiej samej jak oni: tacie, mamie i dwóm córeczkom. Jedna chodziła z Elsą do tej samej klasy.

– Najpierw muszę złapać pewnego paskudnego typu, zanim znów zrobi coś złego – odparł Winter.

- Co zrobił?
- Nie chcę z tobą o tym rozmawiać, kochanie.
- Nie jestem dzieckiem – zaprotestowała Lilly.

Roześmiali się na całe gardło. Skąd ona to wzięła? – pomyślał Winter. Nic już nie musiał mówić. Izabella przyniosła kilka smoothies, białe wino, chleb i sardele, no i boquerones, i miseczkę różnych oliwek.

– Widzę, że dobrze się bawicie – powiedziała. – Zawsze się cieszę, kiedy się dobrze bawicie.

– Cieszymy się, że tu jesteśmy – odparła Elsa. – Tu zawsze jest fajnie.

– Fajnie, że tata też tu jest – zauważyła Izabella, patrząc na Wintera.

– O ile wiem, nie jestem twoim tatą – powiedział Winter.

– Cha, cha – zaśmiała się Lilly.

– Teraz przyjechałem tylko na kilka dni, ale niedługo wrócę na dobre – wyjaśnił.

– Ach tak – odparła Izabella.

– Powiedziałas to z niedowierzaniem – zauważył Winter.

– Skoro tak mówisz...

– Może zostanę tu detektywem – powiedział Winter, puszczając oko do Elsy i Lilly.

– Bóg świadkiem, że byś się przydał. – Izabella spojrzała na dziewczynki. – Wasz tata byłby dobrym detektywem w policji w Marbelli.



– Choć najbardziej potrzeba ludzi w drogówce – dodał Winter.

– Rzeczywiście, zwłaszcza że jej nie ma – odparła Izabella.

DOSTALI PODWÓJNE PORCJE *adobo, salaterki chipirones*<sup>27</sup>, *gambas pil-pil*<sup>28</sup> *puntillitas, almejas i pimientos*<sup>29</sup>

W butelce zostało jeszcze trochę wina. Na wieczór wystarczy. Potem, w łóżku, jeśli zechce, będzie jeszcze mógł wypić małe brandy Lepanto. Elsa opowiedziała mu o szkole, a Lilly o przedszkolu, ale tak, jakby była w wyższej klasie niż siostra. Obie zjadły wszystko z talerzy. Był z nich dumny.

Dużo później mieli zjeść na deser tocino de cielo, andaluzyjski flan, ale pełniejszy w smaku. Nagroda pocieszenia dla biednego kraju po drugiej stronie gór. Ich cień majaczył nad zaporą Las Represas.

W kieszonce koszuli zabręczała komórka. Spojrzał na Angelę, potem na wyświetlacz. Bertil.

Wstał od stolika i wyszedł na Calle Sol, niewielką i – wbrew nazwie – zacienioną uliczkę. Teraz ten cień jakby się rozjaśnił.

– Tak?

– Eriku, przepraszam, że przeszkadzam. Wiesz, że nie dzwoniłbym, gdybym nie musiał.

– W porządku, Bertilu.

– Jecie kolację?

– Tak.

– Może zadzwonię później?

– Dopiero co zaczęliśmy. Co się stało?

– Mårten Lefvander znał Matildę Cors.

– O!

– Właśnie. Powiedziała nam matka Matildy. To było na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Dobrze.

– Dobrze, no tak. Zadzwoniłem do Lefvandera, okazało się,

---

27 Chipirones – hiszp. kałamarnice.

28 Gambas – krewetki.

29 Puntillitas, almejas, pimientos – obrane krewetki, małże, papryka.

że nie ma go w pracy. Wziął cztery dni urlopu, od wczoraj. Pojechaliśmy do niego z Fredrikiem. Nie było go w domu. Samochodu też nie.

– Skąd wiesz, że go nie było?

– A jak myślisz? Fredrik wszedł do środka.

– I co tam zastaliście?

– Nic niezwykłego. Pusty dom i tyle. W łazience została pasta do zębów.

– Rozmawiałeś z Amandą Bersér?

– Tak, nic o tym nie wiedziała.

– Może pojechał na urlop.

– Pytałem ją. Podobno raz, dwa razy do roku jedzie do uzdrowiska, do Varberg, pewnie zrobić pedikiur. Dzwoniłem tam, ale nic o nim nie wiedzieli.

– Paszport?

– Leżał sobie w szufladzie razem z innymi dokumentami. Jak zwykle.

– Jeśli to urlop, to zostały mu jeszcze dwa dni – stwierdził Winter.

– Co robimy? – spytał Ringmar.

– Poszukajcie go – odparł Winter. – Przesłuchajcie jeszcze raz wszystkie rodziny.

– Oddelegowaliśmy sporo ludzi do chodzenia po domach we Frölundzie – powiedział Ringmar.

– Kieruj się własnym rozeznaniem, Bertilu.

– Dzięki, szefie. Jeszcze raz zadzwonię... do Amandy. Wracaj do kolacji.

– Pojutrze wsiadam w samolot i o dwunastej jestem na Landvetter.

– Dobrze, jak to mówią: będziemy trzymać pozycje.

– Dzwon, kiedy chcesz.

– Jasne.

Winter włożył telefon do kieszonki. Zadzwoni jeszcze raz do Amandy? Co się dzieje z tym staruszką?

Następnego ranka odprowadził Elbę do szkoły, na ulicę San

Vicente. Lilly siedziała w wózku. Angela była już w pracy.

Zostawił Lilly w przedszkolu na Las Salinas, ale tylko na godzinę, dwie.

Zadzwoił do Bertila.

– Jak wam idzie?

– Lefvander nie odbiera komórki.

– A ma włączoną?

– Tak, ale z tym parszywcem nic nie wiadomo.

– W pracy nic nie powiedział?

– Nie. Zresztą nikt go o nic nie pytał.

– A co mówi Amanda?

– Masz na myśli panią Bersér?

– Wiesz, kogo mam na myśli.

– Martwi się.

– Hmm...

– Ja też.

– O nią?

– Cholera, Eriku, daj spokój.

– Powiedzieliście Gustavowi?

– Nie. Nie pytał o ojca. Gdyby spytał, ma mu powiedzieć, że wyjechał na kilkudniowy urlop. Może rzeczywiście tak jest.

– A jeśli nie?

– Byłoby to mocno niepokojące.

– Pogadaj z jego rodziną – powiedział Winter. – Matką, ojcem, rodzeństwem, jeśli ma. Szkoły i tak dalej.

– Okej.

– Był w tej paczce sprzed dwudziestu lat? Chętnie w to uwierzę. Trzeba poszukać jakichś powiązań. Popracuję nad tym, jak tylko wrócę do domu.

– A teraz gdzie jesteś?

– W drodze do domu.

– Okej.

– A ty gdzie jesteś, Bertilu?

– Co takiego?

– Gdzie ty teraz jesteś?

– Idź do diabła – odparł Ringmar i rozłączył się.

Jakiś policjant skinął mu głową, gdy przechodził koło

Guardia Civil de Tráfico na Calle Juan Brea. Może przyszedł kolega? Mógłby pokierować ruchem na Ricardo Soriano. Nie raz miał na to wielką ochotę.

Skreślił w San Francisco. Nadal było tam cicho i spokojnie. Cienie były jeszcze nieostre.

Przed kościołem na Plaza Santo Cristo siedział mężczyzna. Rysował coś w dużym bloku. Miał granatową marynarkę i słomkowy kapelusz. Obok, pod palmą, stał skuter. Różowy, z żółtym siodelkiem i turkusowym oparciem na nogi. Mężczyzna podniósł wzrok. Spojrzał na niego i kiwnął głową. W uniesionej ręce trzymał ołówek. Okratowana brama kościoła była zamknięta. Chyba ją rysował.

Przed jego domem przy Calle Ancha, poniżej Santo Cristo, stały rozłożone krzesła. Spojrzał w górę, na swój balkon. Ozdobną balustradę pokryła kwitnąca bugenwilla. Od spodu balkon był wyłożony biało-niebiesko-żółtą mozaiką. Wyżej znajdował się taras, który kupili rok wcześniej. Mógł stamtąd popatrzeć z góry na świat antyku, na należące niegdyś do Fenicjan Morze Śródziemne.

Na jeszcze ozdobniejszym balkonie sąsiedniego domu, numer 18, stało osiemnaście doniczek z begoniami. Policzył je, kiedy szedł uliczką do kawiarni. Przy jednym ze stolików siedział mężczyzna. Był jedynym gościem, a kawiarnia właściwie jeszcze nie była otwarta, wciąż była pogrążona we śnie.

Mężczyzna wstał. Winter wiedział, kim jest, choć osobiście nie znał psychiatry Christera Anderssona. Miał na sobie chinosy, koszulę w kolorze khaki i skórzane sandały bez skarpetek. Nikt by nie uwierzył, że jest, kim jest. Winter był w szortach koloru khaki i błękitnej lnianej koszuli. Na nogach miał klapki. On też nie wyglądał na tego, kim był. Dobrze miejsce na pierwszą rozmowę. Wizyta w klinice byłaby przecież groteskowa. Również sam fakt, że spotyka się z psychiatrą.

Przedstawili się sobie, całkiem niepotrzebnie. Andersson wstał.

– Kawy? – spytał.

– Jeśli stawiasz.

– Cha, cha, oczywiście.

Winter usiadł. Odprowadził dziewczynki i przyszedł tu, niewiele myśląc, ale teraz poczuł się z tym... źle. Kurde, co on ma powiedzieć? Powinien coś powiedzieć? Jeśli to ma być rozmowa, to powinien, ale to nie będzie przesłuchanie, więc nie musi mówić prawdy ani – jak większość przesłuchiwanym – łącać w żywe oczy. Andersson wszedł do sennego lokalu. Może Jesús już jest. Pewnie tak, pracuje tu od trzydziestu lat, albo i dwóch tysięcy.

Wrócił, usiadł i zaczął się w niego wpatrywać. A przynajmniej Winter tak to odbierał. Wpatrywał się w jego wnętrze, zaglądał do niego.

– Jak się czujesz? – spytał.

– O, prosto z mostu, tak jak lubię – zauważył Winter.

– To dobrze.

– Jak się czuję? W tej chwili wspaniale.

– To dobrze.

Jest kawa, i przyniósł ją Jesús, kawę i wodę, i kilka obowiązkowych racuszków churros. Coś powiedział, ale nie dosłyszał. Nagle zaczęło mu szumieć w uszach jak cholera, jakby znów się topił.

– Jeszcze coś? – teraz usłyszał, że Jesús o coś pyta.

Andersson spojrział na niego pytającym wzrokiem.

Potrząsnął głową.

– Brandy? – spytał Andersson.

– To pytanie to test. Angela kazała ci zapytać – powiedział Winter.

– Przejrzałeś mnie.

– Nigdy nie piję przed dwunastą – rzekł Winter.

– Hell, it's noon in Miami – odparł Andersson.

– Myślałem, że tylko ja czytam Hemingwaya.

– To przez niego przeprowadziłem się na Costa del Sol – powiedział Andersson.

– Naprawdę?

– Nie.

Winter się zaśmiał i poczuł się lepiej. Szum w uszach przycichł do akceptowalnego poziomu. Chciał słyszeć własne

myśli: teraz, rano, może również wieczorem.

– Opowiedz mi, jak się czujesz, kiedy się nie śmiejesz – powiedział psychiatra. Miał otwartą twarz. Był młodszy od niego. Niedługo wszyscy będą od niego młodszy, z wyjątkiem Bertila. Otwarta twarz to pewnie dobra rzecz u lekarza od czubków, ale psychopatom też się przydaje.

– Nie czuję, żeby mnie rozpieęła radość – odparł Winter.

– Tak jak większość ludzi.

Winter napił się kawy. Odstawił filizankę i spojrzął na racuszek.

– W takim razie może wystarczy? – powiedział.

– Co wystarczy? – spytał Andersson.

– Że czuję się tak jak większość ludzi.

– Dobrze ci z tym?

Nie odpowiedział. Pytanie było osobiste i po to było to spotkanie, ale nie musiał odpowiadać. Nie zamkną go. Pytanie było również prowokujące. Sam mógłby je zadać, nawet samemu sobie. Może i zadał.

– Często czujesz się przygnębiony?

– Niezupełnie rozumiem, co to znaczy.

– Sądzę, że rozumiesz.

– Angela jest zdania, że tak.

– Nie rozmawiamy teraz o Angeli.

– A ja myślałem, że cały czas o niej rozmawiamy.

– Eriku, uważasz, że cię prowokuję?

– A jak myślisz?

– Jeśli tak, to przepraszam.

– Czy nie o to chodzi?

– To nie jest przesłuchanie.

– Owszem, bywam przygnębiony. Raz tak, raz nie.

Andersson napił się kawy. Skinął głową. Znam to, pomyślał Winter.

– Przyznam, że ostatnio częściej – powiedział. – W ostatnich latach.

– W ostatnich dwóch? Trzech? Czy tylko w ostatnim roku?

– Czy ja wiem... to przychodzi niepostrzeżenie. Czarny pies Churchilla, znasz to.

– I jak to na ciebie wpływa?

– Znów pracuję. Jak w obecnej... fazie. Nie wiem, jak to nazwać. Jak wiesz, miałem dwuletni urlop. Chciałem wrócić, i to nawet nie była kwestia wyboru. Myślałem, że jestem już innym człowiekiem albo tym samym co przedtem, albo... że nie ma czym się przejmować. Wróciłem do Göteborga w styczniu.

Cholera, ale nawija. Pieniądze za ten seans toczą się po ulicy jak kulki, a on nawet nie wie, ile za to płaci. To znaczy ile płaci Angela. Gada więcej niż kiedykolwiek w całym życiu.

– Zastanawiam się, czy nie jestem nienormalny, bo ostatnio mówi mi to coraz więcej osób.

– Z czym to jest związane?

– Angela też – dodał.

– Bardzo mnie to dziwi – odparł kolega Angeli.

– To przez Michaela Boltona – ciągnął Winter. – Wiesz, kto to jest?

– Chyba każdy wie.

– Facet jest bardzo dobry.

Andersson nic nie powiedział, nie kiwnął nawet głową. Sięgnął po szklanę z wodą, jakby nie miał odwagi na niego spojrzeć.

– Nie znam się na muzyce popowej – powiedział Winter.

– Ale wiem, że większość kawałków nadaje się do posłuchania tylko raz. Kompletnie nic nie znaczą. Co innego Bolton. Do jego tekstów można wracać raz za razem.

– Rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Że lubisz Michaela Boltona.

– Właśnie to ludzie tak komentują. A jak tobie się podoba Bolton?

– Ja... nie mam zdania.

– Aha. Rozumiem, że się dystansujesz.

– Okej, to nie moja muzyka.

– Nie słuchałeś wystarczająco uważnie.

Andersson żuł racucha, bo co innego miał robić.

– Żarty sobie robisz – powiedział, ale z uśmiechem.

– Ani trochę.



- Myślisz, że jesteś Boltonem?
  - Czasem, ale... nie. Chociaż często chciałbym nim być. Jest wprawdzie starszy ode mnie, ale przystojny.
  - Groteskowe urojenia – powiedział Andersson. – Tylko to mi przychodzi do głowy.
  - Nie psychoza?
  - Ty to powiedziałeś – powiedział Andersson.
  - I cały czas chodzi tylko o Michaela Boltona – zauważył Winter.
  - Tak jest. Każdy inny artysta... – Anderson urwał. Machnął ręką, jakby chciał podkreślić, że ciepłe wiatry obejmują swoim tchnieniem wielu wybitnych artystów.
  - Jest na to jakieś lekarstwo? – spytał.
  - Nie.
  - Jedyne chwile, kiedy nie czuję się przygnębiony, to te, kiedy słucham Boltona.
  - To rozwiązanie na krótką metę.
  - A jak wygląda rozwiązanie na dłuższą?
- Anderson przypatrywał mu się uważnie. Może dostrzegął w jego twarzy coś, czego on sam nigdy nie zauważył, patrząc w lustro.
- Brałeś kiedyś leki przeciwko depresji? – spytał Andersson.
  - Na Michaela Boltona?
  - Zostawmy na chwilę Boltona.
  - Odpowiedź brzmi: nie.
  - Nie brałeś takich leków?
  - Nie brałem.
  - Może spróbujemy?
  - Odpowiedź brzmi: tak.

TWARZ CHŁOPCA JEST jak obraz, którego człowiek nigdy nie widział, a mimo to natychmiast rozpoznaje. Ta myśl przyszła mu do głowy, gdy siedząc w sypialni przy Calle Ancha 14, w świetle sączącym się przez spuszczone drewniane żaluzje, znów patrzył na tę twarz na ekranie laptopa. Z ogródka kawiarnianego na ulicy, zaraz obok jego bramy, dochodziły głosy. Ale to był tylko gwar. Był jak tło dla tej niewyraźnej, ale rozpoznawalnej twarzy, podobnie jak głosy z dołu, też rozpoznawalne. Pozostałeś człowiekiem? – spytał tę twarz na ekranie. Kim się stałeś? To ty, prawda? Nie umiałeś zapomnieć, oni też nie.

Jak ja mam cię znaleźć?

Czy zaprowadzi mnie do ciebie Mårten Lefvander?

Usłyszał, że brama na dole się otwiera. Rozległ się znajomy chrobot i zgrzyt pięknie pordzewiałych zawiasów, jeszcze z czasów mauretańskich.

Ze schodów dobiegały głosy Angeli i Lilly. Piękny pogłos wbudowany w dom. W północnej Europie, kiedy się buduje dom, eliminuje się takie rzeczy. Tam jest miejsce dla tylko jednego poziomu natężenia głosu. Nie to co tu. Tu wszystko płynie, bez początku i bez końca, pomyślał. A głos nie brzmi tak samotnie.

Usłyszał, że są na tarasie. Lilly się zaśmiewała. Twarz zniknęła z ekranu. Wyłączył laptopa. Zamknął i wyszedł. Poszedł do nich, na górę.

Ringmar dostał wiadomość, kiedy był w drodze do Amandy Bersér: na Guldhedstorget stoi źle zaparkowany samochód z dwoma mandatami za wycieraczką. Co najmniej dwoma. Bmw, nowy model, bliżej nie potrafili określić. Zadzwoił do Anety.

– Jedziemy. Zobaczymy się na miejscu. Lefvander jeździ bmw.

Na Toltorpsdalen sprawdził numer rejestracyjny samochodu

Lefvandera.

W okolicy Sahlgrenska panował duży ruch. Lekko ubrani piesi i rowerzyści, bo pojawiły się pierwsze zwiastuny lata. Wierzę, wierzę w lato, pomyślał słowami piosenki. Wierzę, wierzę w powrót słońca. W tej części świata człowiek do końca wierzy w lato, ta wiara nigdy nie mija. Nagle poczuł, że rozpiera go radość życia.

Wbrew przepisom przejechał przez środek Wavrinskys plats. Bo może, pomyślał, bo to moje życie.

Aneta już była na miejscu.

– To samochód Lefvandera – powiedziała. – Ma uchylony bagażnik. Z tego co widać, nie ma w nim nic dużego.

Kiwnął głową. Samochód stał w słońcu, oświetlony ze wszystkich stron. W poprzek dwóch miejsc do parkowania, przed sklepem spożywczym Tempo. Wyglądał na pusty, czysty i schludny, jak jego właściciel, który Ringmarowi też wydawał się pusty, czysty i schludny. Ale to było wrażenie, nie opinia. Zajrzał do środka. Na tylnym siedzeniu leżał niedbale rzucony koc. Mogło coś pod nim być. Podniósł wzrok. Ktoś wyszedł z kliniki po drugiej stronie zdecydowanie przerośniętego placu. Z tyłu dobiegły go jakieś głosy. Odwrócił się. Przed pizzerią Afamia stała grupka młodzieży.

Nie miał wątpliwości, że samochodu nie należy dotykać. Wziął aparat cyfrowy i sfotografował wszystko pod różnymi kątami. Słońce świeciło oślepiająco. Ten, kto zostawił samochód z uchyloną klapą, musiał w tym mieć jakiś cel.

– Okej, można go odholować – powiedział, kiedy skończył.

Torsten Öberg naciągnął na ręce jednorazowe plastikowe rękawiczki. Technicy przygotowywali się do sprawdzania samochodu. Stał w policyjnym garażu. Öberg otworzył lewe tylne drzwi i uniósł róg koca. Ukazało się coś białego. Uniósł koc jeszcze wyżej. Kawalek białego kartonu, dobrze znany wszystkim zainteresowanym. Ktoś coś na nim namalował, tym samym wściekłym pociągnięciem pędzla, i oto mieli czarno na białym: litera M.

Lilly bawiła się pod stojącym trochę dalej parasolem przy wielkich donicach z bambusami. Angela i Winter siedzieli przy stoliku pod drugim parasolem. Popijali fino. Niedługo on zejdzie do kuchni, żeby zrobić lunch. Angela pracowała tylko kilka godzin przed południem.

– Tak czy inaczej, jest już po dwunastej – powiedział, podnosząc kieliszek.

– Cała rodzina to zna – odparła.

– Christer Andersson też.

– Jemu też opowiedziałeś o Hemingwayu?

– Nie, on opowiedział mnie. Od razu się dogadaliśmy.

– Nie miałam odwagi cię spytać. Oczywiście zorientowałeś się.

– Uprzejmie sobie porozmawialiśmy.

– I to wszystko?

– Nie.

– No i... co powiesz?

– O czym?

– Jak się czujesz teraz? A jak przy innych okazjach?

– Mam wypróbować pewien lek. Dlaczego nie?

Kiwnęła głową. Co tu dodawać, nawet nie było mu tak trudno to powiedzieć.

– Rozmawialiśmy też o terapii. Facet nie wydaje się nastawiony wyłącznie na wypisywanie recept.

– Oczywiście, że nie.

– Tak... czuję się, jakbym stał przed wyborem: czy tam, dokąd zmierzam, mam pojechać pociągiem Pendolino, czy bryczką.

– A dokąd zmierzasz?

– Na pewno nie do raju, bo w raju już jestem.

– Kogoś, kto tak mówi, nazywają lizusem – zauważyła. – Ale jak ty to mówisz, to brzmi to inaczej.

– Widocznie nie jestem taki oślizgły.

Podniosła kieliszek. Był zaparowany. Winter miał zimną dłoń, rajsco zimną.

– Spokój duszy – to cel, do którego zmierzam. I prawie jestem na miejscu.

– To dobrze.

– To bardzo dobrze – powiedział Winter. – Pójdiesz ze mną do Espejo po lek na spokój duszy?

– Teraz?

– Im wcześniej, tym lepiej.

Okazało się, że Lilly chce iść pieszo, ulicami Ancha, Cruz, Pasaje Valdés, aż do pomarańczowego rynku. Mieli niedaleko.

Wszedł do Farmacia Espejo. Wykupił receptę na venlafaxin, siedemdziesiątkapiątka. Jedna dziennie, tyle co nic.

Ze wszystkich gęsto rosnących wokół prostokątnego rynku drzew zwisały pomarańcze. Bez żadnej lipy, w każdym razie pomarańcze nie były lipne. Natomiast knajpy przy rynku były nastawione głównie na lekko spiętych turystów, którzy woleli siedzieć pod pomarańczowymi parasolami razem z innymi, podobnymi do nich cudzoziemcami i jeść dania bardziej wymuskane i bezpieczne, bez stworzeń, które by na nich patrzyły z talerzy.

– Tatusiu, głodna jestem – oznajmiła Lilly.

– A co byś chciała, córeczko?

– Pizzę!

– No to jesteśmy we właściwym miejscu.

Elsa poszła po szkole do koleżanki na ulicę Peral, a Lilly zrobiła sobie sjętę. Na ulicy panowała cisza. W to wczesne gorące popołudnie wszyscy siedzieli w domach, nawet psy i zwariowani Anglicy.

Kochali się. Winter miał wrażenie, jakby od ostatniego razu minęło sto lat. Był wtedy młody. Wciąż jestem młody, pomyślał. Nadal potrafię być twardy i jednocześnie miękki, to cud dany mi od Boga.

Nie spali. Prześcieradło leżało na czerwonej mozaikowej podłodze. Ich ciała pokrywał pot, jak słońce rozpryski morza. Wciąż czuł w ustach jej słony smak. Twoja słoność jest bardziej słona od mojej. Spróbował przez minutę nie myśleć o niczym.

Z Plaza de la Iglesia dobiegało łagodne bicie kościelnego dzwonu. Minęło ich balkon i popłynęło na zachód, aż do domu Siv i Bengta w Nueva Andalucia. Dom stał pusty. Czekał na coś, ale Winter nie bardzo wiedział na co. Nie chciał w nim mieszkać, Angela też nie. Dzieci chciały być tam, gdzie się coś dzieje.

Myślami już był gdzie indziej. Te myśli nie chciały odpłynąć na zachód z biciem dzwonów. Płynęły dalej, na północ. Jeszcze tylko kilka dni. Miał wyraźne przeczucie, że kiedy wróci do Göteborga, wszystko rozegra się bardzo brutalnie i bardzo szybko.

Komórka zaczęła wędrować po nocnym stoliku.

– Wyłącz tego skorpiona – powiedziała Angela.

Spojrzał na wyświetlacz.

– To Bertil.

– Oczywiście musisz odebrać.

– Słucham cię, Bertilu.

– Znaleźliśmy samochód Lefvandera. Nawet niezbyt daleko od jego domu, na Guldhedstorget.

– A Lefvander?

– Zniknął. Na tylnym siedzeniu była litera, taka sama jak tamte.

– M? – upewnił się Winter.

– Tak.

– Marconi – powiedział Winter. – Marconiplan albo Park Marconiego. To właściwie to samo.

– Może być – odparł Ringmar. – I jeszcze M jak Mårten.

– Może to część planu – wyraził przypuszczenie Winter.

– Jest dokładnie tak, jak miało być.

– Już niedługo – powiedział Ringmar. – Jak teraz przedstawia się nasz plan?

– Wieczorem do Göteborga odlatuje samolot Norwegian. Sprawdzę, czy się na niego dostanę.

– Eriku, ty się zawsze dostajesz.

Dostał się na samolot. Kiedy startowali, nad Malagą zapadał

zmierzch. W środku poczerwieniało od zachodzącego w oddali, nad Atlasem, słońca. Nigdy nie był w Afryce, ale miał jeszcze na to czas. Miał czas na wszystko.

– Jeden dzień w tę czy w tamtą stronę... – powiedziała Angela.

– Widzę, że rozumiesz – odparł.

– Ja zawsze rozumiem. Aż za dużo.

– Porozmawiamy, jak wrócę.

– Wciąż nie złożyłam wypowiedzenia.

– Wiem.

– Na razie dajemy sobie z tym spokój – stwierdziła.

– Tak jest.

– Eriku, nie chcę, żeby znów coś ci się stało.

– Ja też nie.

– Tym razem nie rób nic sam. Nie zachowuj się jak jakiś bohater, który musi sam wyjaśnić sprawę.

– Nie jestem bohaterem.

– Zażywaś tabletki?

– Tabletkę. Jedną dziennie.

– Zadzwoń do mnie, kiedy już będziesz miał wsiadać na konia, żeby to zakończyć.

– Mówisz to tak, jakby chodziło o jakąś banalną sprawę, Angelo.

– A nie jest banalna?

– Na pewno nie dla tych, którzy są w nią zamieszani.

– Ty też jesteś zamieszany. Bardziej niż ktokolwiek inny.

Bardziej niż ktokolwiek inny, pomyślał, kiedy samolot wznosił się na bezpieczną wysokość dziesięciu tysięcy metrów. Banalność zła, pomyślał.

Na Landvetter czekał na niego radiowóz.

Pół godziny później stał z Ringmarem przed domem Lefvandera. Było już ciemno, ale nie zimno.

– Okej – powiedział i otworzył drzwi wytrychem.

Powoli przeszli przez ciemny dom. Nocne światło wpadało przez okna.

Ringmar zapalił światło w salonie, w głębi domu. Okna wychodziły na ogród. Na stoliku przed kanapą leżał laptop. Obok kilka płyt CD.

- Sprawdział coś – powiedział Ringmar.
- Musiał przerwać – dodał Winter.
- Zobaczmy, co to było.

Winter usiadł na kanapie. Ekran rozbłysnął, laptop nie był wyłączony. Lefvander, jeśli to on, oglądał film. Wcisnął pauzę. Winter pomyślał, że film przypomina te, które już oglądał. Wcisnął play i postaci na filmie poruszyły się. Chodziły po trawniku, po ogrodzie. Było tam kilku młodych mężczyzn, jednego z nich rozpoznał. I chłopiec, może dziesięcioletni. Jego też od razu rozpoznał.

– Czy to Lefvander? – spytał Ringmar, kiedy już usiedli w jego samochodzie. Zostawili go przed domem. Na ulicy nie było żywej duszy. Zrobiło się zimniej. – Mister Mårten miałby być tym, którego poszukujemy?

– Sprawcą? Nie.

– Dlaczego nie? Ten samochód i litera to była wiadomość dla nas.

– Myślę, że on zna mordercę – powiedział Winter. – I że znał go nie tylko wtedy, dwadzieścia kilka lat temu, ale zna go nadal. Wiedział, co się stanie. Byli w kontakcie. On chodził wtedy z Matildą Cors. Należała do paczki.

- Ale nie wiedział, że sam będzie ofiarą?
- Nie, tego plan nie przewidywał. Pod warunkiem że rzeczywiście został ofiarą.
- Myślisz, że był szantażowany?
- Niewykluczone. A potem sam mógł szantażować.
- Oglądał film z tymi ludźmi w ogrodzie. Z chłopcem. To była ostatnia rzecz, jaką robił.
- Nie mógł wiedzieć, że zaraz do niego przyjdziemy – zauważył Winter.
- Nikt nie wiedział.
- Sam miał pojechać na Guldhedstorget.



– Ale jak można wyciągnąć z samochodu opierającego się dorosłego mężczyznę?

– Sam wysiadł – odparł Winter.

Zebrali się w sali konferencyjnej.

– Witamy w domu – powiedziała Aneta do Wintera.

– Nawet nie zauważyłem, że wyjeżdżałeś – powiedział Halders.

– Ja też nie – odparł Winter.

– Więc sprawa ma jakiś związek z Marconim – stwierdził Halders. – Wiedziałem.

– Z Hałą Marconiego – powiedział Winter. – A raczej z Marconiplan.

– Dawnym Marconiplan.

– Wydaje mi się, że ma związek.

– Tak.

– Potrzebujemy jakiegoś dowodu.

– Na co?

– Że zamordowani prowadzili na Marconiplan jakieś zajęcia sportowe dla dzieci, działali społecznie. Sam nie wiem dokładnie, ale to wszystko się jakoś wiąże.

– Coś się stało na Marconiplan?

– Może – odparł Winter. – Tak czy inaczej, są w to zamieszani ludzie z jednej paczki. Sądzę, że gdzie wyjechali i że to się stało tam. Ale zaczęło się na Marconiplan. Wszystko się tam zaczęło. Dlatego facet tam ciągle wraca.

– Ta teoria wymaga potwierdzenia – odezwał się Halders.

– Nie wymaga za to potwierdzenia fakt, że jako zawodnik Proletärens IF rozegrałem na Marconi sporo ciężkich meczów.

– Wiemy, Fredriku – powiedziała Aneta.

– Co przyniosło chodzenie od drzwi do drzwi? – spytał Ringmar.

– Około dwudziestu osób nie otworzyło. Nie udało się również stwierdzić, gdzie są. Chodzi o młodych singli około trzydziestki. Tyle na Mandolingatan i Fagottgatan. Na Dragspelsgatan jeszcze nie skończyliśmy. Cholernie dużo tych mieszkań – zauważył Halders.

– A Park Marconiego? – spytał Winter. – Nowe miasto. Jak

tam poszło?

– Jeszcze tam nie doszliśmy, szefie. Zbyt luksusowo. Pomyśleliśmy, że zaczniemy od slumsów.

– Dlaczego? – spytała Gerda.

– Bo widzisz, maleńka, zawsze należy zaczynać od slumsów. W dziewięciu przypadkach na dziesięć nie trzeba potem stamtąd wychodzić.

– To jest ten dziesiąty przypadek – powiedział Winter.

– Skoro tak mówisz...

– Nie mów do mnie maleńka – zwróciła mu uwagę Gerda.

– No rzeczywiście, jesteś dość duża – przyznał Halders.

– Sprawca ma pieniądze – powiedział Ringmar.

– Tak? – zdziwił się Halders.

– Podejrzewamy, że mógł szantażować Lefvandera. Chciał, żeby mu płacił.

– Przynajmniej w teorii – dodał Ringmar.

– Park Marconiego. Here we come – odpowiedział Halders.

– Tam nie ma aż tylu mieszkań.

– Heden też: here we come – ciągnął Halders. – Mówiłem, że Grova BK gra pojutrze pierwszy mecz w rozgrywkach korporacyjnych?

– Nam na pewno nie mówiłeś – odparł Winter.

– Osiemnasta trzydzieści, boisko numer cztery. To będzie wspaniały piłkarski wieczór. Taktykę przedstawię już na miejscu.

PETER MARK SIEDZIAŁ naprzeciwko Wintera w jego gabinecie. Za otwartym oknem wychodzącym na Fattighusån rozśpiewały się ptaki.

– Znów się spotykamy – powiedział Mark. – Chyba mnie nie przytrzymacie?

– Nie mocniej niż ostatnim razem – odparł Winter.

– Cha, cha.

– Znasz Mårtena Lefvandra? – spytał Winter.

– Kogo?

– Mårtena Lefvandra.

– Kto to jest?

– Ja zadaję pytania.

Mark milczał. Odwrócił się do okna. Patrzył na ptaki, jakby się zastanawiał, co to za gatunek. Winter pomyślał, że nie potrafiłby mu w tym pomóc.

– Czy ktoś ci grozi? – spytał Winter.

– Słucham?

– Czy ktoś ci grozi?

– Dlaczego ktoś miałby mi grozić?

– Za dużo wiesz o okolicznościach sprawy. Mam ci jeszcze wyjaśniać, o co chodzi?

Mark milczał. Widać było, że próbuje zebrać myśli, znaleźć wyjście.

– Tu nie ma możliwości pośrednich – mówił dalej Winter.

– Albo ci ktoś groził, albo nie. – Mårten Lefvander – powiedział po chwili. – To nazwisko łatwiej zapamiętać niż Sture Karlsson.

Mark rozważał w myślach, jakie ma szanse. Pokombinuj sobie, pomyślał Winter. Przypomniał sobie nocną gonitwę na rowerze przez Sztokholm. To chyba było w innym wcieleniu. Kwas mlekowy w mięśniach był jak roztopiony ołów, nudności podchodziły mu do gardła. Jak szalony pedałowal przez

Strandvågen. To była jego walka, jego wyczyn.

Teraz mogłaby przyjść nagroda.

– Jakiego on ma na ciebie haka?

– Ja nic nie zrobiłem – powiedział Mark.

– Nic, czyli co?

– Nic.

– Skąd znasz Mårtena Lefvandera?

– Nie znam go.

– Kiedy się ostatnio widzieliście?

– O co chodzi? – spytał Mark. – Dlaczego pan ciągle pyta o Lefvandera?

– Kiedy się ostatnio widzieliście? – powtórzył Winter.

– Stało mu się coś? – W oczach Marka zapaliło się światełko. Winter od razu je rozpoznał. Światełko nadziei. – Czy on... czy on... – urwał.

– Czy on nie żyje? – dopowiedział Winter. – Możliwe.

– To nie ja! – oświadczył Mark.

Cieszy się? W każdym razie wydaje się zaskoczony.

– A mogłeś to być ty?

– Nie, nie, nie.

Nie była to bynajmniej rozpacz.

– Kiedy się ostatnio widziałeś z Lefvanderem?

– Nie potrafię powiedzieć dokładnie.

– Przed śmiercią Jonatana czy już po?

Mark mruknął coś niezrozumiałe.

– Co powiedziałeś?

– Po morderstwie – odparł Mark. Patrzył w stół. Unikał kontaktu wzrokowego. Już się nie śmiał.

– Po co się spotkaliście?

– Chciałem się dowiedzieć, co wie.

– O czym?

– O tym, co się stało.

– A co wiedział?

– Nic – odparł Mark.

– A nie było odwrotnie? – spytał Winter.

– Jak to odwrotnie?

– Że to Lefvander się z tobą skontaktował, bo chciał się

dowiedzieć, co ty wiesz.

Mark nie odpowiedział.

– Dlaczego on miałby coś wiedzieć? – spytał Winter.

Mark znów coś mruknął.

– Powtórz.

– Bo był z nimi.

– To znaczy z kim?

– Był w tej piłkarskiej paczce.

– W piłkarskiej paczce? Co to?

– To była ta... to, co robili na boisku na Marconiplan.

– Co robili?

– Jak wskazuje nazwa. Treningi piłkarskie. Organizowali dla dzieciaków z okolicy treningi piłkarskie. Raz, dwa razy w tygodniu. Nie pamiętam.

– Kiedy to było?

– Dawno. Dwadzieścia lat temu.

– Jak długo to trwało?

– Niedługo. Chyba kilka miesięcy. Pamiętam, że to było na wiosnę.

– Dlaczego się skończyło?

– Nie wiem. Słowo daję.

– A jak się zaczęło?

– To Le... Lefvander – odparł Mark.

– Mårten Lefvander wymyślił te treningi?

– Wydaje mi się, że on.

– Dlaczego?

– Bo... tam był taki jeden, chciał go trochę rozkręcić.

– Rozkręcić?

– Mówili, że będzie fajnie, będą... trenować dzieci. Fajna zabawa. – Umilkł. Teraz już patrzył na Wintera. – Jonatan już wtedy wiedział, że chce być nauczycielem wuefu. – Rozpłakał się.

Winter odczekał minutę.

– Kogo chciał rozkręcić? Kogoś z rodziny?

– Nie wiem. Słowo daję.

– Za często dajesz słowo – odparł Winter.

– Był jakiś chłopiec. Wszyscy ci chłopcy mieli pewnie około

dziesięciu lat. Nie wiem, ilu ich było. Nie poznałem go. Nie wiem, co to za kuzyn.

– A skąd wiesz, że kuzyn?

– Mówił mi ktoś.

– Kto?

– Nie wiem.

– Ile osób było w tej paczce?

– Nie wiem o nikim innym. Innym niż ci, co... wie pan.

– Należałeś do nich kiedykolwiek?

– Nie, nie.

– A chciałeś?

Mark znów na niego spojrzał. W oczach miał jeszcze ślady łez. Prawdziwych.

– Tak – przyznał. – Ale bardzo się cieszę, że nie należałem.

– Czy on jest wiarygodny? – Ringmar miał wątpliwości.

– Facet mógł ześwirować albo jeszcze gorzej.

– Trzeba wyjść do ludzi, popytać o te treningi dla dzieci – powiedział Winter. – Ktoś musi wiedzieć coś więcej. Na przykład rodzice dzieci, które tam chodziły.

– We Frölundzie?

– Kurwa, wszędzie!

– Uspokój się.

– Jestem spokojny. W życiu nie byłem spokojniejszy.

– A ty masz w ogóle jakieś tętno?

Stali przed gmachem policji. Winter poczuł, że mu gorąco w głowę. W Marbelli pada, a w Göteborgu w połowie maja są dwadzieścia cztery stopnie. Wszystko stanęło na głowie. W nocy, kiedy wrócił do domu, rozmawiał z Angelą przez telefon. Powiedział jej, że czuje, że tabletki już działają. Ty mi tu nie kłam, powiedziała. Ale on nie kłamał. Nie pił whisky. Doktor Andersson powiedział, żeby nie mieszać venlafaxinu z glenfarclas. Uwierzył mu, chociaż miał pewne wątpliwości co do jego wiedzy na temat glenfarclas.

– Tętno mi przyspiesza na myśl o powiązaniach rodzinnych Lefvandera – odparł Winter.

- Jąde do jego byłej żony – powiedział Ringmar.
  - Bądź ostrożny.
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
- Winter nie odpowiedział.
- Wiem, co robię – powiedział Ringmar.
  - Co to niby ma znaczyć?
  - Zajmij się swoimi sprawami.
  - Staram się.
  - Dokąd Mark teraz pójdzie? – spytał Ringmar.
  - Pewnie do domu.
  - Powinien się bać?
  - Jeśli już, to siebie – odparł Winter.
  - Dlaczego dopiero teraz nam o tym opowiedział?
  - Miał nadzieję, że Lefvander tymczasem zdąży zginąć.
  - Może i zginął – powiedział Ringmar.
  - To by było za proste. A do tego za wcześnie.
  - W takim razie możemy jeszcze ocalić komuś życie
- skonstratował Ringmar. – Trzeba poważnie porozmawiać z Gustavem. Zrobię to jeszcze dziś po południu.

Amanda Bersér otworzyła drzwi, zanim Ringmar zdążył nacisnąć dzwonek.

- Gustav jest w szkole – powiedziała.
- Wiem. Za kilka godzin z nim rozmawiam.
- Gdzie?
- Tu, jeśli pozwolisz.
- Dlaczego chcecie go znów przesłuchiwać?
- Zawsze tak robimy – wyjaśnił. – Nie da się wszystkiego wyjaśnić za jednym razem.

Rozejrzała się po przedpokoju, jakby mu dawała do zrozumienia, że w jej domu jest dla niego miejsce. W jej życiu też.

- Mogę cię czymś poczęstować? – spytała.
- Nie, dziękuję.
- Przez telefon wydawałeś się zdenerwowany.
- Moglibyśmy usiąść?
- Co się stało?

- Amando, możemy usiąść?
- Podeszła do kanapy. Usiedli.
- Mårten zniknął – powiedział Ringmar.
- Podniosła rękę do ust.
- To ma związek z tym, co się działo wcześniej – powiedział Ringmar.
- Ale... kto...
- Kto się za tym kryje? Próbujemy to ustalić.
- Mårten. Co on takiego zrobił?
- Znał Jonatana – odparł Ringmar. – Z dawnych czasów. Nie powiedziałaś mi o tym.
- Z dawnych czasów? Nie rozumiem.
- Czego nie rozumiesz?
- Bertilu, mówisz, jakbyś był na mnie zły.
- W takim razie przepraszam.
- Jonatan i Mårten znali się bardzo dawno temu... Myślałam, że to nieważne.
- Nieważne?
- Tak.
- A może wiesz, skąd się znali?
- Nie. – Nachyliła się, jakby zamierzała go dotknąć. – To prawda. Nie pytałam go... to nie są rzeczy, o których się rozmawia z mężem. O byłym mężu.
- Mnie mogłaś powiedzieć – rzekł Ringmar.
- Ale... co miałabym ci powiedzieć?
- Ringmar już miał położyć rękę na jej dłoni, ale się powstrzymał.
- Chciałbym, żebyś mi opowiedziała o kuzynach Mårtena.

Winter i Halders pojechali trasą imienia Daga Hammarskjölda, aż do zjazdu Marconiego.

- Signor Marconi – powiedział Halders. – Kim on właściwie był?
- Wynalazcą – odpowiedział Winter.
- Tak, wiem, że był wynalazcą. I miał fioła na punkcie radia.
- Uważa się go za wynalazcę radia.



– A kiedy żył?

– Wiem, że umarł w swoim domu w Rzymie w latach trzydziestych, przed wojną.

– Można by pomyśleć, że umarł tu, w Järnbrott – zauważył Halders. – Wszystkie ulice i place mają nazwy związane z radiem. O, tam jest tabliczka: Radiatorget. A tu Antennngatan.

– Dostał Nobla z fizyki – przypomniał Winter.

– Pierwszy i jedyny laureat z Järnbrott.

– Jego matka pochodziła z irlandzkiej rodziny producentów whisky Jameson – dodał Winter.

– A, dlatego tyle o gościu wiesz.

Pojechali w stronę Frölunda targ. Domy przy Mandolingatan lśniły jak czerwone złoto.

– Jest Hala Marconiego – powiedział Winter, wjeżdżając na parking.

Wokół wrzała praca. Przewożono materiały budowlane. W powietrzu unosił się kurz i łoskot młotów pneumatycznych. Winter poczuł w nosie gorący pył. W głowie mu huczało. Halders coś powiedział, wskazał na uszy. Pewnie chodziło mu o ochraniacze na uszy. Może w następnym wcieleniu będę musiał się nauczyć języka migowego, pomyślał Winter. Wydaje. Się. Trudny. Do. Pojęcia.

Zadzwonila komórka. Nie słyszał sygnału, ale poczuł wibracje w kieszeni na piersi. Torsten Öberg, wydział techniczny.

Öberg coś powiedział, ale on nie słyszał.

Wrócił do samochodu, wsiadł i zamknął drzwi.

– Na dywaniku w samochodzie Lefvandera znaleźliśmy ładne ślady butów – powtórzył Öberg.

– To dobrze.

– Więc to nie Lefvander.

– Rozumiem.

– Shomi pracuje nad jego twardym dyskiem – powiedział Öberg. – Mówi, że uda się odzyskać część skasowanych wiadomości.

– To wspaniale.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Parku Marconiego.

– Zamierzacie gdzieś wchodzić?  
– Nie martw się, nie ma powodu.  
– Zadzwoni, gdybyście mieli gdzieś wejść. Jestem w pogotowiu. Zostańcie na zewnątrz, o ile to możliwe.

– Wydajesz się podniecony.

– To przez Shomiego. Mówi do siebie.

Rozłączyli się.

Halders czekał przed halą. Weszli do środka. Było chłodno. Powietrze było suche, ale przyjemne.

Lodowiska już nie było.

I nikogo oprócz nich.

– Spodziewałeś się, że tak będzie? – spytał Halders.

– Tak.

– Koniec. Facet już tu nie wróci.

– Ciekawe, co go tak ciągnie do tego miejsca – mruknął Winter do siebie.

Halders ruszył do wyjścia.

– Może nas obserwuje – powiedział, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

– Właśnie o to chodzi – powiedział Winter. – Żeby obserwować, widzieć. Wszystkie ofiary widziały z okien miejsca, gdzie zostały potem zamordowane.

– Co to znaczy?

– To się musi wiązać z tym, co mu zrobili.

– Więc chodzi o zemstę?

Winter nie odpowiedział. Rozglądał się powoli, jakby próbował uchwycić cały obraz i przytrzymać go wraz z domami, ulicami, betonem, szkłem, wózkami transportowymi, ciężarówkami i robotnikami na budowie.

– Opowie nam o tym – powiedział Winter. – Albo on, albo Lefvander.

– Lefvander już gdzieś leży z foliową torbą na głowie.

– Nie, bo wtedy porywanie go byłoby bez sensu.

– To twoja teoria – zauważył Halders.

– A jaka jest twoja?

– Lefvander zostawił sobie na koniec, bo chciał, żeby w i e d z i a ł, zanim zginie. Lefvander był z nich najgorszy.

- To nie wyklucza mojej wersji.
- Nic nigdy nie wyklucza twojej wersji, Eriku.
- To już nie jest dla mnie takie ważne – stwierdził Winter.
- No jasne. Chodźmy.

Przeszli sto metrów, które dzieliły ich od lśniącego nowością osiedla pięciu domów o fasadach w kolorze wyblakłej cegły, „bezpiecznej oazy znajdującej się w odległości spaceru od terenów zielonych i centrum handlowego, komunikacji miejskiej i terenów nadmorskich”, jak napisano na stronie internetowej firmy budowlanej NCC. Według tego tekstu to istny raj. Jest tu znacznie lepiej niż tam, gdzie teraz mieszka, przy Vasaplatsen. Około trzech milionów koron za dwupokojowe mieszkanie. Nie umiał ocenić, czy to dużo, czy mało.

Na placu zabaw nie było dzieci. W ogóle nikogo nie widzieli.

– On może nas obserwować – powtórzył Halders. – Widział nas obu.

– Nie ma go w domu – powiedział Winter.

– Może tu mieszkać – stwierdził Halders, rozglądając się powoli.

Winter wyjął z kieszeni marynarki jakiś papier. Spis.

– Zaczniemy od budynku numer jeden A. – Wskazał go całą dłonią.

Usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi. Ringmar spojrzął na Amandę. Wyraźnie się zdziwiła. Potem jakby ktoś rzucił na podłogę plecak.

– Czyżby Gustav już skończył lekcje? – spytał Ringmar.

– Widocznie – odparła, wstając. – Czy coś się stało?

Ringmar również wstał i wyszedł do przedpokoju. Drzwi były jeszcze otwarte. Gustav stał w przedpokoju. Na widok Ringmara odwrócił się i dosłownie wy p a d ł z mieszkania. Ringmar słyszał, jak zbiega po schodach. Co za okropny pogłos. Stał jak wryty. Co, u dia...

– Co się dzieje?!

Usłyszał, że krzyknęła, ale już pędził po schodach, zupełnie

jak nastolatek. Ciekawe, jak długo wytrzyma. Przed czymś takim powinno się przez godzinę rozciągać, ale kto mógł przewidzieć. Już był przed domem, spojrzął w lewo, potem w prawo. Gustav biegł przez parking, był na Toltorpsgatan. Ruszył za nim. To bieg mojego życia, pomyślał. Jego życia też.

Przebiegli szkolny dziedziniec i biegli dalej, na wschód, w stronę szpitala. Ringmar nie został daleko w tyle. Zobaczył, że chłopak jest w jednym bucie. Widocznie zdjął jeden w przedpokoju. Drugiego nie zdążył i nagle zobaczył upiora.

Chłopak utykał, coś sobie zrobił w nogę. Ringmar biegł i słyszał chrzęst pod własnymi nogami. Szkło, żwir i inne cholerstwo. Zaschnięte psie gówna. Był coraz bliżej i jeszcze miał siłę. Ciągnęło go w łydkach, ale dawały radę. Gustav właśnie dobiegł do szpitalnych przybudówek. Przeskoczył przez Häradsatan, jak ranny pies. Jezu, to przecież t a m, to znaczy t u, w cieniu kotłowni leżało ciało Jonatana Berséra, naprzeciwko dawnych mieszkań służbowych. Czy on o tym wie? On również przebiegł przez ulicę. Gustav zatrzymał się pod murem. Nie mógł ani go przeskoczyć, ani przejść pod spodem, ani ominąć. Padł na kolana. Ringmar zobaczył krew na jego prawej skarpetce.

- Nie dotykaj mnie!
- Nie zrobię ci nic złego.
- Zostaw mnie.

Ringmar przykucnął na brudnym asfalcie. Tuż obok, ale nie dotykał go. Na kurtce nie miał plam, wyglądała na nową. Tu i teraz, pomyślał Ringmar. Dlatego się mnie przestraszył.

– Z kim się spotkałeś, kiedy uciekłeś z domu? – spytał najłagodniej, jak umiał.

Gustav spojrzął na niego. Miał w oczach strach, ale teraz był to strach innego rodzaju, jakby koszmar ze snu wdarł się do jego życia na jawie.

– On powiedział, że ich wszystkich pozabija – odezwał się dziwnym głosem, jakby mówił przez sen. – Wszyscy mieli zginąć za to, co mu zrobili.

- A co mu zrobili?

Gustav nie odpowiedział. Zdjął skarpetkę i zaczął oglądać

stopę. Z trzech palców leciała mu krew. Spojrzał w niebo. Na to pytanie jeszcze nie był gotów odpowiedzieć.

– Gdzie on teraz jest? – spytał Ringmar.

– Nie wiem.

– A jak się nazywa?

– Marcus.

– Marcus. Jak dalej?

– Nie pamiętam.

– Byłeś u niego?

– Nie.

– Gdzie byliście?

– Jeździliśmy jego samochodem.

– Dokąd?

– W różne miejsca.

– Nad morze?

– Nie wiem. Może. Bałem się.

– To zrozumiałe, że się bałeś – odparł Ringmar. – Ale już nie musisz się bać.

Chłopak nie odpowiedział. Rozglądał się, jakby widział to wszystko po raz pierwszy i nie wiedział, jak się tu znalazł.

– Pamiętasz, czy byliście nad morzem?

– Przypominam sobie, że przejeżdżaliśmy przez most.

– Most? Który?

– Nie pamiętam.

– Älvsborgsbron?

– Tak... przez ten.

– I dokąd pojechaliście?

– Na Hisingen...

– A dokładnie dokąd?

– Nad morze...

– Gdzie nad morze? Na którą plażę?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej tam nie byłem.

Zwiesił głowę. Dłużej nie da rady. Trzeba z tym skończyć. Jeszcze tylko ostatnie pytanie.

– Gustavie, dlaczego on chciał się z tobą spotkać?

– Powiedział, że mnie uratuje. Mówił, że tylko on może mnie uratować.

ZOBACZYŁ, JAK CHŁOPIEC wychodzi z domu i idzie na przystanek. Czekał na autobus. Podjechał i otworzył drzwi po stronie pasażera. Chłopak wsiadł. Poznał samochód i nie zdziwił się, kiedy zobaczył za kierownicą j e g o.

Pojechali nad morze. Chłopak był wyczerpany, jakby w ogóle nie spał.

Dał mu pospać. Śnić i zapomnieć.

Nie ma się czego wstydzić, powiedział, kiedy chłopak się obudził, a potem znów zasnął. Mnie też się to przydarzyło i nie wstydzę się.

Nie powiedział, że przez wiele lat się wstydził, że myślał, że to on jest zły, ale chłopiec zrozumiał, że tak nie było.

Możesz tu zostać, jak długo zechcesz. Mam radio. Możemy posłuchać radia.

Chłopiec miał poczucie, że nie ma się gdzie podziać.

Tu nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Pewnego dnia zagrają sobie w piłkę w Ruddalen. Kiedyś, powiedział. Dlaczego nie należysz do żadnego klubu? Ja chciałem, ale jakoś się nie złożyło.

Wysadził go na stacji benzynowej. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Musi zrealizować plan.

Nie może tego zawalić.

To ostatni punkt, potem będzie wolny. Wtedy będzie mógł spać do woli.

MÅRTEN LEFVANDER SŁYSZAŁ krzyki mew. Z podłogi widział tylko niebo za oknem. Leżał w niewygodnej pozycji, z rękami przywiązanymi do nóg.

Przecież przyszedł dobrowolnie, aż do samego domu. Marcus wyrósł na silnego mężczyznę i obezwładnił go, jak tylko na chwilę się odwrócił.

Mewy krążyły nad zatoką, jakby objęły w posiadanie cały świat. Tylko one tu są. Sezon plażowy jeszcze się nie zaczął. Szkoda, bo może miałby jeszcze szansę się uratować.

Leżał na boku i ledwo mógł się ruszyć. Wszystko go bolało. Nie zasłużyłem na to, pomyślał. To nie ja. Ja nic nie zrobiłem.

Usłyszał kroki. Przyszedł. Marcus. Zobaczył coś kątem oka. Co to takiego? W blasku słońca zalśniło jak srebro. Zamknął oczy. Jestem nieprzytomny, pomyślał. Nic się nie stanie, jeśli będę nieprzytomny.

– Słyszysz mnie?

Nie odpowiedział. Odpłynął tak daleko, jak to było możliwe, na drugą stronę rzeki, wysoko, do Guldheden, Johannebergu. Tam był wolny.

– Wiem, że mnie słyszysz – powiedział Marcus. – Chcę, żebyś posłuchał.

Lefvander otworzył oczy.

– Wróciłem na dawne boisko.

– To...

– Cicho! – przerwał mu Marcus. – Masz słuchać!

Lefvander starał się słuchać.

– To był ostatni raz – dodał Marcus. – Więcej nie będzie.

Lefvander słuchał, słuchał.

– Za pierwszym razem ty mnie tam zabrałeś. – Jego głos brzmiał już spokojnie. – Ty.

Lefvander poczuł, że coś dotknęło jego pleców.

– I to ty zabrałeś mnie tutaj.

Znów poczuł coś na plecach. Coś go dotknęło, ale lekko, całkiem lekko.

– A teraz ja zabrałem tu ciebie.

– Nie mogę... nie widzę cię – powiedział Lefvander.

– Jestem tu.

– Marcus, skończmy z tym. Nie możesz zrobić nic więcej.

Nie dostał odpowiedzi. Potwornie go to przeraziło. Wcześniej też się bał, ale ten strach był inny, zimny jak podłoga, na której leżał. Przeszło po niej tchnienie północnego wiatru. Drzwi wychodzące na plażę były otwarte.

– Pomogłem ci z mieszkaniem – powiedział, zdając sobie sprawę, jak niemrawo to zabrzmiało.

– Za późno.

– Marcus, nigdy nie jest za późno!

– Za późno na wszystko.

– Wciąż mogę ci pomóc!

– Nigdy mi w niczym nie pomogłeś, stryjku Mårtenie.

– Mogę ci pomóc!

– Jak wtedy, kiedy tu byliśmy?

– Ja nie mogłem... nie wiedziałem...

– Kiedy byliśmy TUTAJ.

W pustym pokoju jego głos odbił się echem. Zagłuszył mewy, wiatr i szum fal.

– Od tamtej pory byłem tu tylko raz – powiedział Marcus.

– Całkiem niedawno.

Marcus Gład. Twarz taka sama jak wtedy, te same włosy, ale teraz jest dużo wyższy, dużo silniejszy. Tylko nazwisko się nie zgadzało<sup>30</sup>. Przybrał je, kiedy miał dwadzieścia kilka lat.

– Nawet nie wiedziałem, czy dom jeszcze stoi.

– Ja też nie – powiedział Lefvander.

– Zamknij się!

Kątem oka znów dojrzał jakiś błysk. Lefvander poczuł, że zaraz się posika albo coś gorszego, ale musiał to powiedzieć:

– Ja się niczego nie domyślałem... – powiedział cicho.

– Czego się nie domyślałeś?

– Co się dzieje.

---

<sup>30</sup> Gład znaczy po szwedzku wesoły, radosny.



– Szukali mnie! Uciekłem, ale złapali mnie nad wodą, grozili, że utopiają. Potem znów mnie zanieśli na górę i dotykali. Gwałcili! Wszyscy po kolei! Byłeś tam! A potem mnie puścili...

– Ja nic nie zrobiłem – powiedział Lefvander.

– Zamknij się! Jak ktoś nic nie zrobił, to tak samo jakby zrobił!

– Nie ja...

– Zamknij się – powiedział Marcus, już spokojniej.

– Wszyscy są tak samo winni i wszyscy poniosą karę.

Lefvander milczał.

– Poniesiesz karę – powiedział Marcus.

Zapadła cisza. Lefvander ujrzał ogromny kościół, katedrę.

– Nie wszyscy zostali – powiedział po chwili. – Ich już nie możesz ukarać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeden już nie żył, kiedy... z tym zaczęłaś.

– Tak, tak, już sobie z tym poradziłem – odparł Marcus.

– Poradziłeś sobie? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dla ciebie to bez znaczenia.

– Tak to zapamiętałaś? – ciągnął Lefvander. – Naprawdę tylko to zapamiętałaś z tamtego wieczoru?

Marcus nie odpowiedział.

– Co pamiętasz?

– Tłumaczyłem ci. Kiedy ci mówiłem, co zrobię.

– Nic mi nie tłumaczyłaś.

– Może nie tak, jak byś chciała. To i tak bez sensu.

– Ja nie wiedziałem – powtórzył Lefvander. – Przysięgam. Nie wiedziałem, co się stanie. Tobie.

– Wszyscy wiedzieli.

– Nie, Marcus.

– Następnego dnia rano wszyscy wiedzieli, co się stało.

– Bardzo mi przykro.

– Wreszcie to powiedziałem. Od dawna chciałem to powiedzieć.

– Bardzo mi przykro, Marcus.

– Wszystkim jest przykro.

– Nikt tego nie planował.

– To było zaplanowane od SAMEGO POCZĄTKU.

Jego głos znów odbił się echem. Brzmi, jakby był popsuty i śmiertelnie niebezpieczny, pomyślał Lefvander.

– Ale nie przeze mnie, wiesz o tym.

– Milczałeś. Nie pomogłeś mi.

Marcus poruszył się za jego plecami.

Chłopiec, pomyślał.

– Widzisz, co ze mnie wyrosło. Co się ze mną stało.

– Pozwolili nam tu mieszkać za darmo, pod warunkiem że odmalujemy dom – ciągnął. – Myślisz, że tego nie pamiętam? Mielśmy malować dom, pływać i grać w piłkę.

– Malować? W ogóle tego nie pamiętam – powiedział Lefvander.

– Niewiele wyszło z tego malowania, prawda? Malowałem, ale znacznie później. Postanowiłem, że namaluję te litery. Chciałem poczuć zapach farby.

Poruszył się. Ciężko oddychał, jakby ziajał.

– Gdzie oni są? Gdzie ONI są?

– Jacy oni, Marcus?

– Przecież podałem im wszystko na talerzu. Dlaczego ich jeszcze nie ma?

– Masz na myśli policję?

– Będziesz tu jeszcze, kiedy się zjawią – powiedział Marcus.

– Będziesz czekał.

Lefvander znów poczuł za plecami jakiś ruch. Jakby ktoś przeciął sznury, jakby go uwolnił, żeby mógł poruszyć rękami, nogami, wybiec, odlecieć i nigdy nie wrócić, nie pamiętać. Czuł się, jakby odpływał z prądem, jakby leżał na odbijającej od brzegu tratwie.

– A ja chciałem tylko popływać – dobiegły go słowa Marcusa, a może kogoś innego. Głos zabrzmiał jakoś inaczej. – Przecież przyjechaliśmy, żeby pływać. Tylko tego chciałem.

Teraz sobie popływaj, pomyślał Lefvander. Teraz możesz robić, co chcesz.

WINTER I HALDERS STALI przed domem numer pięć na osiedlu Park Marconiego. Z domu numer trzy wyszło na podwórko dwoje dzieci. Zaczęły się bujać na huśtawce. Z balkonu na pierwszym piętrze pilnowała ich kobieta. I cały czas obserwowała dwóch mężczyzn stojących pod zacienioną bramą domu numer pięć.

– Okej. Z tego co wiemy, mieszka tu czterech singli. Trzech nie ma w domu, czwarty nie ma o niczym pojęcia. Zresztą jest za stary – podsumował Halders.

– Mniej więcej w tym wieku co ty i ja – zauważył Winter, patrząc na swoją listę.

– Co ty i ja.

Zaznaczył kółkiem nazwiska pozostałych: Claes Bergtorff. Marcus Glad. Jonas Strömberg.

Zapisał jego smartfon. SMS.

– Fredriku, mógłbyś zadzwonić do Torstena? Nie chcę blokować swojego telefonu.

– Zawsze do usług, szefie – powiedział Halders. Wybrał numer wydziału technicznego i podał komórkę Winterowi.

– Słucham cię, Torsten. Masz coś, tak?

– Shomiemu udało się odzyskać kilka adresów mailowych

– powiedział Öberg. – Żadnych maili, same adresy.

– Okej, słucham.

– Właśnie, a gdzie ty jesteś?

– Nadal w Parku Marconiego.

– Jeden to mark14@telia.se, drugi glad@gmail.com.

Winter spojrzał na listę. Marcus Glad, budynek 1A, pierwsze piętro. Byli tam, dzwoniли do drzwi, pukali.

– Przyda się na coś? – spytał Öberg.

– Jeszcze jak! Przy okazji dziękuję Shomiemu osobiście.

– Mark to pewnie ten Peter Mark.

– Ja też tak sądzę. A ten drugi mieszka tutaj.

Weszli do mieszkania z bronią gotową do strzału, w pełnej gotowości. Nabój w lufie, zwolniony kurek. Pistolety zaślniły w ostrym blasku słońca jak czarne płomienie.

Halders kiwnął głową i ruszył w lewo, do kuchni. Winter poszedł na wprost przez mały przedpokój. Po prawej zobaczył sypialnię: starannie posłane łóżko, małą komódkę i krzesło. Chyba służyło za nocny stolik. Poszedł dalej.

– Widzisz te pudełka? – spytał Halders, stając za nim.

Winter spojrzał: trzy albo cztery, nieużywane, pomyślał. Żadnych liter. Pudełka na tort leżały na parkiecie w salonie, na wprost. Po prawej stała kanapa. Płaski telewizor, stół, lampa podłogowa. To wszystko. Na podłodze leżały rozrzucone gazety. Poplamione czarną farbą. Pędzel sterczał ze szklanego słoika, do połowy wypełnionego rozpuszczalnikiem. Zapach był bardzo wyraźny.

– Tu się malowało i pisało – zauważył Halders.

Winter zobaczył przez okno Halę Marconiego, linię tramwajową do Frölunda targ, dom kultury i krzaki, w których czekały na nich zwłoki Roberta Halla.

– Teraz trzeba tylko znaleźć tego skurwysyna – stwierdził Halders.

– Samochód Lefvandera – powiedział Winter.

– Co?

– Dlaczego on zostawił samochód Lefvandera? Nie prościej byłoby nim odjechać?

– Fakt, zostawił samochód z literą. Z literą Lefvandera.

– Chciał nam pokazać. I o to chodzi cały czas. On na nas czeka, wiesz. Wciąż czeka. Teraz.

– Co ma do tego samochód?

– W środku musi być jeszcze coś, coś, co nam powie, gdzie on jest – odparł Winter.

– Skoro tak mówisz...

– Przecież ten samochód stoi u nas. Pojadę tam.

– Podwożę cię. Ja pojadę do naszego przyjaciela Petera Marka. Może on coś wie.

Poszli do samochodu. Pokrywała go warstwa pyłków, przykryta warstwą kurzu. Halders zaczął kichać.

– Moja jedyna słabość – powiedział.

W schowku bmw Lefvandera był tylko tysiącstronicowy egzemplarz żółtych stron.

– Opróżnił schowek – zauważył Winter i zabrał się do kartkowania.

– Więc to tu powinniśmy znaleźć wskazówkę – powiedział Öberg.

– Musi być coś jeszcze – upierał się Winter.

– Sześćdziesiąt osiem map – odparł Öberg. – To żadna wskazówka. To obelga. Kolejna.

– Musi być jeszcze coś – powtórzył Winter.

Przewrócił kilka kartek i poczuł coś pod palcami. Otworzył na stronie z mapą przeglądową. Ktoś przykleił do niej zdjęcie. Czarno-białe, cienkie, skan innego zdjęcia. Był na nim brzeg morza, skały, po lewej stronie majaczył budynek z kilkoma szczytami. Na morzu widać było wysepkę. Na niej coś, co wyglądało na kamienny kopiec, ale mogło być błędem skanera. Czerń zlewała się ze światłem. Zdjęcie było do niczego.

– Aha – powiedział Öberg.

– To tam – powiedział Winter.

– Domyślam się.

– On tam teraz jest. Z Lefvanderem.

– Dom nad morzem. Facet nie ułatwia nam sprawy – zauważył Öberg.

Winter patrzył na zdjęcie. Kurde, gdzie to może być? Może do końca życia szukać tego domu i tej plaży.

Ringmar zdążył już wrócić na komendę. Przedtem musiał zanieść Gustava do domu. Chłopak trząsł się od płaczu. Na razie wystarczy. Trzeba mu pomóc. Amanda Bersér nie zdążyła nic powiedzieć o krewnych Lefvandera, a kiedy wrócił z Gustavem, było już na to za późno.

To Marcus Gład, powiedział mu Winter. Chyba jakiś krewny. Mam tu zdjęcie, chodź, to ci pokażę.

Siedzieli naprzeciwko siebie w pokoju Wintera. Stojący na podłodze stary panasonic grał Coltrane'a. Wszystko było jak dawniej.

Ringmar spojrział na zdjęcie, na brzeg, na morze.

Podniósł wzrok.

– Marne to zdjęcie.

– To wszystko, co mamy – odparł Winter.

– Może wystarczy – powiedział Ringmar, patrząc na zdjęcie.

– Ja chyba wiem, gdzie to jest.

– Co ty mówisz?!

Ringmar uniósł wiotką kartkę i palcem wskazał wysepkę.

– To mi wygląda na Torholmen. Poznają te kamienie. Są dość charakterystyczne. Perspektywa też się zgadza.

– Tokholmen?

– Nie, Torholmen.

– Gdzie to jest?

– Lilleby – odparł Ringmar. – Kąpielisko morskie Lilleby. Jeździliśmy tam, kiedy Martin i Moa byli mali. Ja też tam jeździłem w dzieciństwie.

– Nigdy tam nie byłem – powiedział Winter. Wstał. Już był gotów przejechać pół Hisingen.

– Cóż, to nie było miejsce dla wyższych sfer.

Ringmar pojechał Kongahällavägen i skręcił na północ, w Lillebyvägen.

– Co tam zastaniemy? – spytał.

– Naprawdę nie wiem, Bertilu.

– Lefvandera?

– Prawdopodobnie.

– Marcusa Głada?

– Jeśli zechce.

– Dlaczego miałby nie chcieć? Przecież chciał, żebyśmy rozpoznali Torholmen.

Winter nie odpowiedział. Wokół zielenił się maj. Wkrótce

znów będą razem, pomyślał. Mama, tata i dzieci. Będą się kąpać na własnej plaży i rzucać kamyki do morza, i udawać, że na tej dzikiej parceli stoi dom.

Ringmar pamiętał, że w Lilleby, za kempingiem, był stary ośrodek szkoleniowy. Nie wiadomo, czy nadal jest czynny.

– O ile sobie przypominam, należał do IOGT<sup>31</sup>, ale domyślałam się, że mógł go wynająć każdy.

– No to na pewno tam – odparł Winter.

– Chyba nie można tam podejść niezauważenie. Stoi na otwartym terenie.

– Nie będziemy się zakradać – powiedział Winter.

– Ale zachowamy ostrożność, prawda?

– Dlatego jedziemy razem.

Przejechali przez Sävvisken. Wkrótce będą na miejscu.

– Jak oni mogli trzymać to w tajemnicy przez tyle lat?  
– dziwił się Ringmar.

– Brak empatii, tak sądzę.

– Dar niebios, co?

– Chciałoby się czasem mieć ten dar – odparł Winter.

– Oj tak. Zamiast tego empatycznego żużlu w głowie.

– W następnym wcieleniu będziemy tak mieli.

– Wtedy będzie jeszcze gorzej – zauważył Ringmar.

– W następnym zbiera się to, co się zasiało w poprzednim.

– Ludzie pozbawieni empatii albo mający jej niewiele nie mają również zdolności do autorefleksji – zauważył Winter.

– Trzeźwa samoocena opiera się na umiejętności patrzenia na siebie z perspektywy kogoś innego. Także kogoś, kto patrzy na nas z góry.

– Tak jest, chłopie.

– Cały czas chodzi o empatię.

– Akurat w naszej pracy raczej o jej brak – powiedział Ringmar.

– W takim razie my powinniśmy stawiać na empatię. To brzmi jak frazes, ale to prawda.

– Oczywiście, że prawda.

– Czy Marcus Gład jest pozbawiony empatii? – zapytał

---

31 IOGT – międzynarodowa organizacja propagująca trzeźwość.

Winter.

– Dowiemy się w swoim czasie.

Ten czas przyszedł bardzo szybko. Minęli pusty parking. Pod ogromnym błękitnym niebem sprawiał wrażenie jeszcze bardziej opuszczonego.

Ringmar jechał na zachód krętą, wąską drogą. Asfalt położono tam chyba niedawno.

– O, tam jest Torholmen – powiedział, wskazując głową.

Winter widział skały, ale nie przypominały tych ze zdjęcia. Nic nie przypominało tego, co było na zdjęciu.

– Jesteś pewien? – spytał.

– Nie.

Przed sobą mieli budynek, ośrodek szkoleniowy. Czort wie co to. Winter nie mógł się dopatrzeć żadnej tablicy. Drzwi były zamknięte. Przed domem nie było żadnego samochodu.

Zaparkowali i wysiedli. Winter słyszał krzyki mew. Morze było bardzo blisko. Oddziaływały ich od niego tylko skałki. Wąski pasek piasku i już. Lilleby zaczynało się odsuwać od słońca. Cienie wciąż były krótkie.

– Halo! – zawołał Winter. – Jesteśmy.

Ringmar spojrział na niego.

– Spodziewa się nas, prawda? – powiedział Winter.

– Będzie odpowiedź?

– Zobaczymy.

– Nie zamierzam tu stać i czekać.

– Ja też nie – odparł Winter i ruszył do domu. Wydawało się, że stoi w cieniu, choć dookoła nie było roślin, które by zasłaniały słońce. Dziwne. Okna wyglądały jak zamalowane czarną farbą, za to fasadę pomalowano na ciemnoczerwono. Dom był piętrowy.

Drzwi okazały się otwarte.

Weszli i od razu znaleźli się w dużej sali. Hallu nie było.

W głębi, pod oknem, ktoś leżał na boku. Wydawało się, że patrzy na nich, że ich obserwuje. Winter trzymał w ręku sig-sauera, ale nie celował do tego, kto leżał na podłodze. To był Mårten Lefvander.

Ringmar już przy nim był. Pochylił się, dotknął jego szyi



i sprawdził puls.

– Żyje, ale chyba jest nieprzytomny – powiedział, podnosząc wzrok.

– Zadzwońię po karetkę. – Winter wybrał skrócony numer.

– Nie widzę żadnych urazów – powiedział Ringmar, pochylając się nad Lefvanderem. Nagle drgnął i aż się cofnął.  
– O Boże...

Winter ruszył do niego. W tym samym momencie usłyszał głos w słuchawce. Szybko powiedział, kim jest i gdzie jest, i że to pilne. Stał obok Bertila. Spojrzał i zrobiło mu się gorąco. Nie mógł na to patrzeć. Plecy Lefvandera były jak otwarty krater. Widać było odsłonięty kawałek kręgosłupa.

– Co robimy? – spytał Ringmar.

– Trzeba znaleźć Glada – odparł Winter.

– Nie ma go.

– Musi tu być.

– Myślisz, że chce się z nami spotkać?

– Oczywiście.

– Chce nam zrobić coś złego?

– Jeśli nie będzie musiał, to nie – odparł Winter.

– Uważasz, że jest zdolny do empatii?

– Jestem tego pewien. W przeciwnym razie nie zrobiłby tego, co zrobił.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Ringmar.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – powiedział Winter. – I nie chcę. – Rozzłościł się. Złość spadła na niego nagle, jak grom z jasnego nieba. – Tłumaczenie jest bez sensu.

SKAŁKI MIENIŁY SIĘ w słońcu jak białe złoto. Plaża rozciągająca się u ich stóp była pusta. Morze spokojne, jakby wiatry umknęły do innego świata. Powierzchnia wody przypominała puste lustro, ogromny arkusz folii rozpiętej nad czymś, w czymś wcześniej było życie. Mewy zniknęły.

Winter się obejrzał. Ringmar stał przed drzwiami. Był jak zapewniający poczucie bezpieczeństwa cień. On zawsze jest i będzie, pomyślał Winter. W czarnych okularach Ringmara odbijało się słońce.

Winter znów spojrział na morze.

Coś się tam ruszało.

Coś małego, jakby kamień unosił się na wodzie.

Piłka.

Głowa.

Zostawiła za sobą Torholmen i płynęła na otwarte morze. Była dwadzieścia metrów od wyspy, teraz już trzydzieści. Widział ją przez okulary słoneczne.

Ringmar też zobaczył. Stał teraz obok niego.

– To on – powiedział Ringmar. – Płynie.

– Widzę.

– Do Szkocji jest dość daleko – zauważył Ringmar. – Nawet do Skagen. Zawiadomię policję wodną.

– Do tej pory facet zdąży utonąć.

Ringmar nic nie powiedział.

– Słyszałeś, co powiedziałem?

– Tak.

Głowa sunęła po powierzchni, jakby płynęła sama, bez ciała.

– Nic nie czujesz, Bertilu? Żadnej empatii?

– Otóż czuję. Jemu jest najlepiej tam.

– Jest teraz zupełnie sam – powiedział Winter. Zrzucił marynarkę, rozpiął spodnie, zdjął buty i skarpetki.

– Eriku, co ty wyprawiasz?!

Nie odpowiedział. Koszulę ściągnął już w biegu, został w samych bokserkach. Miał dwukolorowe, wyglądały jak bermudy. Nie rzucałby się w oczy wśród plażowiczów.

– Eriku? Eriku!

Słyszał, jak Ringmar krzyczy za nim, ale z tego przecież nie będzie żadnego pożytku. Z krzyku nic nie wynika. Wynika tylko z biegu, z działania. Czuł absolutny spokój. Tak miało być. Wprawił się w ten stan całkiem odruchowo.

Woda może i była zimna, ale nie czuł tego. Najpierw rzucał się w przód. Biegł, jak długo się dało. W pewnej chwili znalazł się pod wodą. Wyplął. W tej jednej krótkiej chwili pod wodą zorientował się, że wciąż ma na nosie okulary słoneczne. Zobaczył przez nie inny świat w innym świetle. Opowie o tym nurkom, kiedy to się skończy, kiedy już się napływają. Był dobrym pływakiem. Pływał nawet kraulem, jak teraz. Brał oddech co czwarty wyrzut rąk. Australian crawl. To mógłby być tytuł filmu, piosenki. Michael Bolton, australijska pływaczka Dawn Fraser. Czytał o niej. Była królową basenów, kiedy się urodziłem. Czytał o wszystkich, wiedział wszystko. Wiem wszystko, pomyślał. Kiedy już do niego dopłynę, opowiem mu, co będzie, co będziemy robić razem, ja i Marcus.

W ustach poczuł słony smak. Inny niż słoność kobiety. Opowiem Angeli, kiedy to się skończy. Wszystko, czego nigdy jej nie mówiłem. Ona też mi opowie. Będziemy rozmawiać o wszystkim, o w s z y s t k i m. Zaszczypało go w oku. Zgubił okulary. No i dobrze. Na chwilę przestał płynąć. Musiał się zorientować, gdzie jest. Już był daleko od brzegu. Zobaczył jakiś ruch, całkiem niedaleko. Głowa Marcusa, no a czyja? Znów ruszył. W morzu byli teraz tylko oni dwaj, na całym szlaku do Szkocji, do Ameryki, Oceanu Spokojnego, Australii, całego świata. Chyba dobrze bym się czuł w Australii. Na przykład w Perth, w australijskim Perth. Ale szkockie Perth też jest niezłe. To oryginał, jak szkockie Dallas. Muszę zadzwonić do Steve'a. Dawno nie rozmawialiśmy. Tak bywa, tak już jest. Nie, nie, nie, nie. Teraz zaczyna się prawdziwe życie. Ojciec coś mi zrobił, bił mnie. To trauma. Co jeszcze mi zrobił? Coś się stało. Powiedział coś, czego nie mogłem zapomnieć, chociaż

teraz nie pamiętam. Wciąż mi to towarzyszy, każdemu wyrzutowi rąk. Kurwa, zrobił coś, co miało wpływ na całą resztę mojego życia. Już wtedy je zmieniło. W końcu sobie przypominę, o-to-w-tym-wszystkim-chodzi, myślał w rytm wymachów. Ale nie tylko o to, to nie może być wszystko, oni...

Urwał, przestał płynąć, rozejrzał się.

Głowa Markusa unosiła się dziesięć metrów dalej. Przestał płynąć. Patrzył w niebo, jakby chciał, żeby go oślepiło słońce.

– Marcus! Marcus!

Słyszał, jak jego słowa niesie wiatr. A niech sobie lecą, gdzie chcą. Wydały mu się żałosne i nic nieznaczące, jak statki pływające po morzach świata. Ruszył, tym razem żabką. Marcus unosił się na wodzie, poruszany prądem.

– Marcus.

Jeszcze tylko kilka metrów. Prawie mógł go dotknąć.

– Marcus, to ja. Erik Winter. Z policji.

Widział jego głowę, ale nie twarz. Słońce ją wymazało, został tylko czarny okrąg.

– Pomogę ci – powiedział Winter.

– Nie podpływaj do mnie!

– Już jestem – odparł Winter. – Zostanę tu. Zostaniemy tu.

– Ja nie chcę – powiedział Marcus.

– Czego nie chcesz?

– Nie chcę... – Reszta zdania zginęła w szumie wiatru.

Winter stał w miejscu. Marcus unosił się na wodzie. Nie ruszał rękami, jakby czekał, aż podwodny prąd zniesie go na otwarte morze. Winter czuł ten prąd na nogach. Był jak morski wąż oplatający jego ciało, żeby je pociągnąć dalej, jak siła zła. Ale tu i teraz wciąż działają siły dobra.

– Znaleźliście Mårtena? – spytał Marcus. Poruszył głową.

– Tak. Zaraz powinna przyjechać karetka.

Nie chciał się odwracać, żeby sprawdzić. Może nawet już jest. Nie spojrział na łódź od chwili, kiedy rzucił się do wody.

– Żyje – powiedział Marcus, jakby stwierdzał fakt.

– Zazwyczaj jest wprost przeciwnie.

– To znaczy kiedy?

Był już bardzo blisko. Marcus się nie poruszył. Jeszcze jeden

ruch rąk i mógłby go dotknąć. Wyglądał bardzo młodo, zupełnie tak samo jak na filmach. Jak dziesięcioletni chłopiec.

Zaszumiało mu w głowie, jakby nic podobnego nigdy mu się nie przydarzyło. Jakby tu i teraz kończyło się jego dotychczasowe życie. To jego ostatnie chwile w mundurze.

– Kiedy, Marcus?

– Zachowywał się, jakby był pozbawiony kręgosłupa – odparł Marcus. – Chciałem sprawdzić, czy jednak ma kręgosłup.

– Kręgosłupy mogą być różne – zauważył Winter.

– Jakiś miał – powiedział Marcus. – Przekonałem się i dlatego nie dokończyłem.

– Dobrze zrobiłeś – odparł Winter.

– Zimno mi – powiedział. Był zaledwie dziesięcioletnim chłopcem płynącym samotnie przez Morze Północne. Zawsze samotnie.

– Niedługo przyplynie łódź i nas zabierze – powiedział Winter. Był tuż obok.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknął Marcus.

– Nie dotknę cię.

– Nie dotykaj mnie – powtórzył ciszej.

Winter usłyszał jakiś odgłos niesiony wiatrem. Rozbrzmiewał coraz głośniejszy. Widocznie byli dalej od łądu, niż myślał. Słuch go nie mylił. Zbliżała się szybka łódź policyjna. Najwyraźniej była gdzieś w pobliżu.

– Ja chciałem tylko grać w piłkę – powiedział Marcus.

– Wiem.

– Tylko tego chciałem. Naprawdę dobrze grałem.

– Wierzę ci.

– To prawda. Mógłbym do czegoś dojść. Miałem talent.

Winter nie wiedział, co powiedzieć, choć bardzo chciał.

– Potem już nigdy nie grałem – ciągnął Marcus.

Winter się nie odezwał. Wszystko, co mógłby powiedzieć, byłoby nie na miejscu.

– Ciągle wracałem na Marconiplan. Nie mogłem przestać, chociaż wcale nie chciałem. Muszę z tym skończyć.

– Rozumiem cię, naprawdę – powiedział Winter.

– Ale potem Marconiplan zniknęło. Zbudowali tam to

cholerne lodowisko. Myślałem, że to mi pomoże zapomnieć, ale stało się wprost przeciwnie.

Pomoże mi zapomnieć, pomyślał Winter.

– I w końcu już tylko jedna rzecz mogła sprawić, żebym przestał do tego wracać.

– Ale też nie pomogła – dopowiedział Winter.

– Nie... nie pomogła – odparł Marcus.

Winter zobaczył łódź. Wyrosła z morza jak chmura na pustym niebie. Błękitno-biała jak niebo i morze, jak IFK<sup>32</sup>. Marcus też zobaczył.

– Nie!

– To łódź, o której ci mówiłem – powiedział Winter.

– Nie!

Marcus zamachał rękami. Już nie utrzymywał się na wodzie, zaczął tonąć. Jego głowa zanurzyła się pod wodę. Wypłynęła i znów się zanurzyła. Winter złapał go za lewą rękę i spróbował pociągnąć. Płynął do tyłu. Jeszcze raz. Chwycił lepiej. Poczul, że chłopak go złapał. Trzymał go mocno i płynął do tyłu. Był spokojny, czuł się bezpieczny. Wiedział, co robi, wiedział, że już nigdy nie zostanie ściągnięty na dno. To się stało raz i wystarczy na całe życie. Marcus znieruchomiał. Dał się pociągnąć do łódki, jakby ćwiczyli ratowanie topielca. Łódź się zatrzymała.

Sekunda i zostali wyciągnięci z wody. Winterowi nie było zimno. Marcus szczekał zębami. Winter poprosił o koce. Objął Marcusa i trzymał go przez całą drogę do przystani, do miasta.

---

32 IFK – IdrottsFöreningen Kamraterna, Koleżeńskie Stowarzyszenie Sportowe.

HALDERS PRZEDSTAWIŁ TAKTYKĘ: strzelić więcej bramek niż przeciwnicy, a puścić mniej, utrzymać się przy piłce i cały czas atakować.

Ringmar stał na bramce. Halders wziął na obronę Anetę i Öberga. Na środku pola postawił Wintera i Gerdę, i nową gwiazdę: Mickego Hedlunda, który przyszedł do wydziału miesiąc wcześniej. Rezerwy nie mieli. To była poważna wada.

Drużynę przeciwną tworzyli medycy. Brali udział w rozgrywkach po raz pierwszy. Halders stwierdził, że będą dla Grova BK łatwym kąskiem: Spójrzcie na nich, boją się, już przegrali. Uznał, że Grova BK to lepsza nazwa niż Grova FF. Brzmi jak historyczna Gårda BK.

- Fredriku, tylko spokojnie i grzecznie – powiedziała Aneta.
- Co to niby ma znaczyć? – spytał.
- To, co powiedziałam.

Winter rozciągał mięśnie. Opierał się o drzewo w Gamla allén. Deszcz padał na Heden, prawdopodobnie na całe miasto. Zaczął już poprzedniego dnia późnym wieczorem. Kiedy opuszczał komendę, słońce świeciło jeszcze mocno. Marcus Gład spał. Pomyślał, że wolalby nie mieć jego snów. Chłopak niewiele mówił. To będzie bardzo długa opowieść, a w dodatku bez zakończenia.

W nocy, żeby uciszyć chaos, który miał w głowie, wypił kilka szklaneczek glenfarclas. W końcu był gotów. Pora rozegrać ten cholerny mecz.

- Eriku?

Odwrócił się.

– Jazda – powiedział Halders, machając ręką w stronę boiska i mokrej sztucznej murawy.

Szedł na rzucanie moneta. Na środku boiska już stali sędzia i kapitan przeciwnej drużyny, pewnie jakiś nieustraszony ortopeda.

Sędzią był stary znajomy.

- Halders, tym razem proszę grzecznie.
- Nie będę odpowiadał na prowokacje – rzucił Halders.
- Jestem sędzią i mam na ciebie oko.
- Gramy czy jak?
- A o co chodzi? – spytał ortopeda.
- Gównu cię to obchodzi – odparł Halders.
- Właściwie to Fredrik został dożywotnio wyłączony z rozgrywek w Korpen – wyjaśnił sędzia.
- Nie dziwię się – powiedział ortopeda z uśmiechem.
- Do zobaczenia na boisku. Spróbuj pochodzić bez rzepki kolanowej – powiedział Halders.
- Lubię takie gadanie – odparł ortopeda.

Winter dostał piłkę. Odbiła się od uda przeciwnika stojącego na środku boiska. Dryblując, minął tłustego doktora i podał na wysokości kolan w stronę bramki. Hedlund przejął piłkę i kopnął wyżej. Wyglądało to wręcz śmiesznie łatwo, jak wszystko, co trudne. Piłka wpadła do bramki. Winter podniósł ręce w zwycięskim geście. Usłyszał, jak Halders wrzeszczy: Veni, vidi, vici! A potem wycie publiczności. Sukces przyprawił go o zawrót głowy. Dlaczego nie mogłoby tak być zawsze? Halders już do niego dopadł i podniósł do góry, do nieba, tam gdzie jego miejsce.

Po pierwszej połowie było jeden do jednego. Drużyna Grova BK potrzebowała odpoczynku jak mało czego. Öberg zwymiotował pod tym samym drzewem, pod którym wcześniej rozciągał się Winter. To drzewo musiało znieść niejedno.

- Tylko nie pijcie za dużo wody – mówił Halders każdemu, kto chciał słuchać.
- Dobrzy są – powiedział Hedlund.
- Są g ó w n o warci – odparł Halders. – Zaraz ich pokonamy. Są wykończeni.
- Gdybyśmy chociaż mieli rezerwę – powiedziała Aneta.



– Takie marudzenie jest przeciwnie skuteczne – stwierdził Halders. – W następnym meczu będziemy mieli więcej zawodników.

Sędzia zagwizdał, zaczęła się druga połowa.

Zajęli pozycje. Winter wciąż przeżywał zawrót głowy po udanym dryblingu i jeszcze lepszym podaniu. Hedlund podał do tyłu i pobiegł, żeby stanąć na lewo od lekarki z iksowatymi nogami. Winter podał piłkę Hedlundowi. Hedlund musiał podbiec. Winter ruszył naprzód. Znowu dostał piłkę. Cudownie strzelił samą kostką i w chwili gdy piłka wbiła się w lewy górny róg bramki, zrozumiał, że temu powinien być poświęcić całe życie.

Cała drużyna rzuciła się na niego. Halders coś wrzeszczał. Wintera niemal ogarnął szal.

Sędzia gwizdnął i wznowił grę. Gruby doktorek, potykając się, dotarł do pola karnego Grova BK i został powalony kopniakiem. Powalił go Halders. To oczywiste. Co ten tłuszcioch miał tam do roboty? Winter był w stu procentach po stronie Haldersa: ad nocendum potentes sumus – jesteśmy zdolni szkodzić, nikt nam tego nie odbierze.

Sędzia zagwizdał i rzucił się naprzód. Punkt karny. Wskazując na Haldersa, wyjął z kieszeni na piersi kartkę, c z e r w o n ą: wykluczenie z gry do końca meczu i automatyczne wykluczenie z następnego.

Halders znieruchomiał, jakby dostał udaru.

Sędzia wzniosł kartkę ku niebu. Niech ją zobaczą wszyscy bogowie.

– Słuchaj... – powiedział Ringmar. Opuścił bramkę i podbiegł do sędziego. – To niesprawiedliwe.

– Wylatuje – powiedział sędzia. – Ciebie też wykluczę, jak się będziesz klócił.

– Chyba zwariowałeś – stwierdził Ringmar.

– Czerwona kartka! – krzyknął sędzia, machając mu przed nosem kartką, którą już wcześniej trzymał w ręku.

– Przecież masz tylko jedną i już ją wykorzystałeś – sprzeciwił się Ringmar.

– Cofnij oba wykluczenia – powiedział Winter, stając przed

sędzią. Spojrzał mu w oczy i stwierdził, że całkiem mu odbiło. – Kara się może należy, ale nie wykluczenie.

– Wylatujesz! – krzyknął sędzia wariat i machnął mu kartką przed nosem.

Jedna kartka, trzy ofiary. Tak nie może być. Winter wyrwał mu kartkę i przedarł na pół. Potem na cztery, potem na sześć kawałków. I rozrzucił jak konfetti. Greta, Aneta i Öberg zgotowali mu owację. Był to gest nieprzyzwoity i obraźliwy, więc oni również zostali formalnie wykluczeni z gry. Został tylko młody Hedlund. Ze strachu przed konsekwencjami tej awantury schował się za drzewami. Za godzinę cała ta historia trafi na strony internetowe wszystkich mediów, a wydział zabójstw zostanie wykluczony z rozgrywek korporacyjnych na najbliższe dwanaście milionów lat.

Sędzia miał pianę na ustach, autentycznie. I próbował łapać oddech. Chciał coś powiedzieć, ale to już nie miało znaczenia.

– Okej, to my idziemy – oznajmił Winter i ruszył.

Tamci poszli za nim. Medycy też.

Podeszli do Haldersa.

– Co tam, Fredriku?

Halders nie odpowiedział. On też miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć.

– Już po meczu – powiedział Winter. – Wygraliśmy dwa do jednego.

To było piękne przedpołudnie. Winter zaparkował pod cmentarzem i wysiadł. Bolało go całe ciało, ale czuł się dobrze. Wczoraj na boisku zrobił, co należało, chociaż to był bunt. Ale czemu nie? Rano przesłuchał Marcusa Glada. Będzie więcej rozmów.

Dziesięć minut później znalazł nagrobek. Marcus opisał dokładnie, jak ma iść cmentarnymi alejkami. Odczytał nazwisko. Już nie miało znaczenia. Zdjął mech z podstawy grobu i znalazł namalowaną na kamieniu czarną farbą literę: N.

Wracał do samochodu wśród śpiewu ptaków. Zostało jeszcze C, przypisane zapewne Peterowi Markowi, kłamliwemu

rowerzyście. Chyba uratowałem mu życie, pomyślał Winter. Wsiadł do samochodu i wyjechał na Mariagatan w chwili, gdy ulicą szybko nadjechał rowerzysta. Nic mu się nie stało, bo Winter wciąż miał znakomity refleks. Nie miał kasku. Przewrócił się, ale wstał i spojrzał na niego ze złością.

– Odbiło ci? – powiedział.

Dziękuję

– panu komisarzowi Torbjörnowi Åhgrenowi za wnikliwą lekturę, celne uwagi i życzliwe wsparcie

– Elisabeth i Little Stephenowi

– Stigowi Hansénowi za decyzję

– Ricie z oczywistych względów

– Perowi Planhammarowi

– Manfreds Brasserie i Enoteca Maglia

– człowiekowi, który mnie nie przejechał na przejściu dla pieszych na Linnégatan.

Dziękuję

Hanoi, Kuala Lumpur i George Town

Stureplanowi w Sztokholmie i Stureplanowi w Sävsjö.

Dziękuję wszystkim, którzy po tylu latach wciąż mnie wspierają. Wielkie dzięki.


W Göteborgu policja znajduje ciało mężczyzny. Trup ma plastikową torbę naciągniętą na głowę. Przy zwłokach leży oddarty kawałek kartonu, a na nim namalowana grubym pędzlem litera.

Wkrótce pojawiają się kolejne ofiary. Za każdym razem ciała opatrzone są kawałkiem kartonu z jedną literą. Komisarz Erik Winter usiłuje poskładać elementy układanki, aby odczytać słowo-przesłanie. Nie ustaje też w poszukiwaniu powiązań między zamordowanymi osobami. Czy zdoła dociec prawdy?

*Park Marconiego* to dwunasty tom bestsellerowego cyklu powieści kryminalnych połączonych postacią komisarza Erika Wintera. To pełne napięcia thrillery o mrocznych zakamarkach ludzkiej duszy. Opowiedziane z ironicznym dystansem, zmuszają do refleksji nad sprawami daleko odbiegającymi od sensacyjnej fabuły.

**Åke Edwardson** (ur. 1953 r.) znany i ceniony autor kryminałów. Jako pisarz zadebiutował w 1995 r., przedtem pracował jako dziennikarz i wykładowca uniwersytecki. W latach 1981–1982 był oficerem prasowym przy ONZ na Bliskim Wschodzie. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych szwedzkich autorów.

Edwardson od wielu lat cieszy się międzynarodowym uznaniem, a jego książki zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, w tym trzykrotnie nagrodę Szwedzkiej Akademii Pisarzy Kryminalnych.

Dostępna także jako 

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

www.czarnaowca.pl

 de ckare.pl

Cena: 39,90 zł

ISBN 978-83-7554-859-4



9 788375 548594 >

lesiojot